

ŚWIATOWA SALA KONCERTOWA NOSPR

CENA 5 ZŁ (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

ŚLĄSK

Nr 10 (227) • ROK XIX • PAŹDZIERNIK 2014



UCZELNIA ELITARNA CZY EGALITARNA
– rozmowa z rektorem Uniwersytetu Śląskiego
prof. WIESŁAWEM BANYSIEM

DAGMARA DRZAZGA

– Dante odrodził się w Katowicach

HENRYK SZCZEPAŃSKI – Paderewski i Korfanty

GRAŻYNA BARBARA SZEWCZYK – Z wizytą u noblisty
TOMASA TRANSTRÖMERA

Poezja i proza: KAROL MALISZEWSKI,
JOANNA STORCZEWSKA-SEGIETA

Kadr z filmu „ONIRICA – Psie Pole” w reżyserii Lecha Majewskiego





Oczekiwany od miesiąca wydarzeniem gali inaugurującej nową siedzibę NOSPR był koncert Krystiana Zimermana, który tego wieczoru wykonał *Koncert fortepianowy d-moll op. 15* Johanna Brahmsa. Narodową Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia poprowadził Alexander Liebreich. *(Więcej o koncercie i Festiwalu Otwarcia NOSPR pisze Karol Buła na str. 8-9. Prezentujemy również – na IV stronie okładki – fotoreportaż Zbigniewa Sawicza z uroczystości otwarcia, jak i wydarzeń je poprzedzających.*

Polacy Mistrzami Świata w Piłce Siatkowej Mężczyzn 2014! By sięgnąć po złoto musieli w meczu finałowym, który odbywał się 21 września w katowickim Spodku, pokonać drużynę Brazylii. Dokonali tego, osiągając wynik 1:3. Polska reprezentacja po 40 latach wygrała cały turniej, zajmując pierwsze miejsce na światowym podium. To historyczne zwycięstwo wywołało euforię nie tylko wśród kibiców tej dyscypliny sportu. Świętował cały kraj!



Nowym biskupem Kościoła ewangelicko-augsburskiego został bp Marian Niemiec. Konsekracja i wprowadzenie bp. elekta odbyły się 14 września, w kościele ewangelicko-augsburskim pw. Zmartwychwstania Pańskiego w Katowicach. Bp Marian Niemiec na biskupa diecezji katowickiej został wybrany 10 maja przez synod diecezjalny. Na urządzie zastąpił bp. Tadeusza Szurmana zmarłego 30 stycznia tego roku.

Nasz partner



Rybnik. Miasto z ikrą.

KAROL MALISZEWSKI

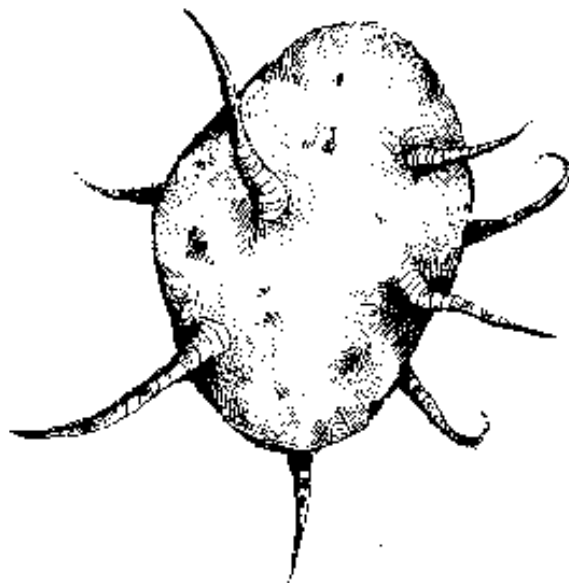
Ziemskość

Oto ziemskość, mamó, i ziemistość,
tamte plamki na ziemniakach to są morza, lądy;
dobrze nam się żyje na Księżycu,
wyciągniętym palcem wiecznie wskazujemy,

mógłbym długo trzymać cię za zimną rękę,
ale teraz muszę lecieć w wibrację komórki,
potem mgła, co wkracza między nasze górki
stawi moje metalowe ciało;

wreszcie znajdą rozsypane części,
rzeczowniki głównie, no i imiesłowy,
śledczemu nie przyjdzie do głowy
sprawdzić, co wskazuje palec;

media skupią się tylko na pustce,
bo za kciukiem gwiazd nie widać wcale,
oto ziemskość, mamó, i ziemistość
cery wnuków skulonych w ziemniakach.



Rys. Wojtek Łuka

Karol Maliszewski. Urodził się w 1960 r. w Nowej Rudzie, gdzie mieszka do dzisiaj. Pracuje w Instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Wrocławskiego. Opublikował osiem zbiorów wierszy – ostatnie to „Potrawy pośmiertne”, 2010 i „Ody odbite”, 2012 oraz siedem książek prozatorskich, m.in. „Faramucha”, 2001, „Sajgon”, 2009, „Manekiny”, 2012, „Przemysł-Szczecin”, 2013. W roku 1999 ukazała się jego książka krytycznoliteracka pt. „Nasi klasycyści, nasi barbarzyńcy”, a w 2001 druga książka tego typu, zatytułowana „Zwierzę na J. Szkice o wierszach i ludziach”. Ostatnio wydał: „Rozproszone głosy. Notatki krytyka” (2006), „Po debiucie” (2008), „Pociąg do literatury” (2010). Jest współautorem podręcznika „Jak zostać pisarzem”, 2011.

Nr 10 (227), Rok XIX, PAŹDZIERNIK 2014 r.

WYDAWCA:
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH
TADEUSZ SIERNYprezes
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
Tel. 32 253-62-21
e-mail: zarzad@slaskwn.com.pl
gtl@gtl.home.pl
www.gtl.org.plWSPÓLWYDAWCA:
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1
Tel. centr. 32 20 83 700
informacja: info@bs.katowice.pl
sekretariat: bs@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:

DARIUSZ ROTT
Redaktor naczelnyWIESŁAWA KONOPELSKA
Zastępca redaktora naczelnego,
Sekretarz redakcjiKATARZYNA BERETA
Dział krytyki literackiej
portal www.slaskgtl.plFELIKS NETZ
Dział poezji i prozyMARIA SZTUKA
Dział kulturalnyBOGDAN WIDERA
Dział społeczno-historycznyWOJCIECH ŁUKA
Dział graficznyIRENA FALKIN-SIBIGA
KorektaADRES REDAKCJI:
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
Tel./fax 32 206-82-71

e-mail: redakcjaslask@onet.pl, msk.slask@gmail.com

DTP: STP „KorGraf”
40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12
Tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48
e-mail: korgraf@korgraf.com.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań
tel. 61 633 71 65Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja
zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian ty-
tułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji.Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatu-
ry „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio –
w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych.
Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL – redakcja mie-
sięcznika „Śląsk”, PKO PB SA I O/Katowice 92
102023130000 3302 00202176. Prenumerata roczna – 60 zł,
półroczna – 30 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane
pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział S.A.
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 5 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo

„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECIE CYFROWEJ
pod adresem:<http://www.sbc.org.pl/dlibra/publication?id=19462>

W NUMERZE:

PUBLICYSTYKA

5. Józef Wycisk APELEM CZY REKOMENDACJAMI?
6. Maria Szuka ELITARNA CZY EGALITARNA? Rozmowa z rektorem Uniwersytetu Śląskiego prof. Wiesławem Banysiem
8. Karol Bula NOWA SALA KONCERTOWA W KATOWICACH – ZASŁUŻYLI NA NIĄ ORKIESTRA I ŚLĄSCY MELOMANI
10. Grażyna Barbara Szewczyk HONORIS CAUSA DLA SZWEDZKIEGO NOBLISTY TOMASA TRANSTRÖMERA
12. Dagmara Drzazga DANTE ODRODZIŁ SIĘ W KATOWICACH. Rozmowa z Lechem Majewskim
18. Maria Dębicz W BERLINIE, NA SALZUFER...
20. Henryk Szczepański PADEREWSKI W KATOWICACH
26. Wiesław Koterski DLACZEGO CHODNIK NIE LUBI POLITYKI. Rozmowa z Edwardem Łaskiem, prezydentem Mysłowic
28. Bogdan Zeler SPOWIEDŹ POETY
30. Agnieszka Sikora O PAMIĘCI I NIEPAMIĘCI
36. Edyta Korepta JAK BŁĘDNY RYCERZ WĄLCZYŁAM O MOJE WIATRAKI. Wspomnienie o Janinie Podlodowskiej
39. Barbara Janas-Dudek KAROL MALISZEWSKI NA „WOLNOŚCI CZYTANIA”
40. Marta Balaga PO GODZINACH. Rozmowa z Shawnem Christensenem i Pauliem Wesleyem
42. Aleksandra Mieczysłowska, Adam Regiewicz DEKALOG POLSKI – REAKTYWACJA PO LATACH

FELIETONY

25. NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYBSZA
Marek S. Szczepański W STARYM POLSKIM KINIE
31. Z MOICH GÓREK
Witold Turant POWITANIE JESIENI
55. KOLEKCJA MALARSTWA POLSKIEGO
Wojciech Grabowski RAFAŁ MAŁCZEWSKI
59. MIĘDZY NUTAMI
Magdalena Dziadek KATOWICCY STYPENDYŚCI NA ESTRADZIE „SILESII”. KONCERTY DEDYKOWANE ROMANOWI BERGEROWI
63. PORADNIA JĘZYKOWA
Katarzyna Wyrwas CZY MOŻNA MÓWIĆ W *IKEE*? CZY NAZWĘ *IKEA* MOŻNA ODMIENIAĆ W TAKI SPOSÓB?
65. ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSzczyzna
Jan Miodek FRAZEOLOGIZMY GWAR ŚLĄSKICH

PLASTYKA

48. Witold Kociński NAJSZLACHETNIEJSZA METAFIZYKA
49. ZBIGNIEW PODSIADŁO. FOTOGRAFIA. Sosnowieckie Centrum Kultury Zamek Sielecki w Sosnowcu.
50. PIOTR KOSSAKOWSKI „MISZUNG”. Rondo Sztuki Katowice
51. Wiesława Konopelska MALARZ MIASTA
76. Michalina Wawrzyczek-Klasik NAPRZECIWI KOLORU
77. JEANINE COHEN I JAVIER FERNANDEZ. BWA Katowice

KINO

56. Jan F. Lewandowski BEZ FESTIWALOWEGO BlichTRU

KSIĄŻKI

60. Katarzyna Bereta ZBIÓR MINITRAKTATÓW I TESTAMENT GORZKICH PRAWD
61. Marek Mikolajec O ŚWIADOMOŚCI PIOTRA MATYWIECKIEGO
62. Katarzyna Krzan KSIĄŻKA = KULTURA
62. Katarzyna Bereta O FIZYCZNEJ OBECNOŚCI BOGA W KREMATORIUM I O OBSESJI ŚMIERCI
63. Adriana Urgacz-Kuźniak DZIENNIKI SZCZĘŚLIWE
64. Bogdan Widera KRÓTKO O KSIĄŻKACH

POEZJA I PROZA

1. Karol Maliszewski ZIEMSKOŚĆ
16. Karol Maliszewski WIERSZE
32. Joanna Storzewska-Segieta OBLĘDY

EKOLOGIA

44. Jerzy Machura POWRÓT PUSTYNI
46. Jolanta Matiakowska PUSzcZA NAD ŚLĄSKIEM

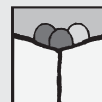
STAŁE RUBRYKI

4. ŚLĄSKI MIESIĄC
66. Z ŻYCIA BIBLIOTEK
Krysztyna Kusak NOWA PRZESTRZEŃ KULTURY
67. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE
URODZINY KATOWIC
68. OPOLSKIE

NOTATNIKI KULTURALNE

69. Janusz Wójcik OPOLE
70. Wiesława Konopelska KATOWICE
72. Maria Szuka SOSNOWIEC
73. Jan Picheta BIELSKO
74. Joanna Kotkowska CZĘSTOCHOWA
75. Jacek Sikora ZAOLZIE

NA OKŁADCE:

Kadr z filmu „ONIRICA – PSIE POLE”, reż. Lech Majewski
Fot. Lech Majewski

Drodzy Czytelnicy

zmiany są wpisane w przyrodę i codzienną ludzką egzystencję. Świat wokół nie jest już taki, jaki był podczas naszych dziecięcych wędrówek i fascynujących eksploracji dorastającego człowieka. Tempo przeobrażeń z roku na rok jest coraz szybsze, dlatego czasami ulubiona uliczka czy zaprzyjaźniona kawiarnia może nabrać zupełnie obcego dla nas wyglądu w ciągu zaledwie kilku dni, a nawet godzin. Pojawiają się wciąż nowe technologie, urządzenia audiowizualne i szereg innych nowoczesnych rozwiązań. Świat przenosi się też do przestrzeni wirtualnej, w której obecnie można załatwić niemal wszystko – od zakupu pietruszki po złożenie wniosku w urzędzie. Inną kwestią są społeczne i psychologiczne skutki tego cywilizacyjnego przeskoku, nad którymi jednak nie miejsce i czas tutaj medytować.

W tej nieustannie zmieniającej się rzeczywistości musi odnaleźć się także pismo z dziewiętnastoletnią tradycją, jakim jest miesięcznik „Śląsk”, a także jego założyciel i wydawca, którym jest Górnośląskie Towarzystwo Literackie w Katowicach. W tym roku uczyniliśmy ważny krok w stronę unowocześnienia czasopisma oraz Towarzystwa, uruchamiając stronę internetową www.slaskgtl.pl. Jest ona zarówno witryną prezentującą aktualną działalność i historię GTL-u, jak i przestrzenią, w której pragniemy promować szeroko pojętą kulturę, tworzoną wspólnie na terenie Górnego Śląska oraz województwa śląskiego.

Chciałabym zwrócić Państwa uwagę szczególnie na trzy rubryki. Pierwszą jest „Sylwetka tygodnia”. Będziemy w niej przybliżali Czytelnikom członków Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, publikując krótką informację biograficzną o wybranym twórcy, bibliografię jego dorobku oraz fragment twórczości. Z czasem powstanie dzięki temu internetowy słownik biograficzny GTL-u. Ważnym działem będzie również „Esej na dwa głosy”. W zamierzeniu ma to być dwugłos na jeden wybrany temat. Wreszcie trzecia interesująca rubryka to „Galeria miesiąca”, w ramach której prezentować będziemy sylwetki i twórczość lokalnych grafików, malarzy, fotografików, rzeźbiarzy oraz innych artystów plastyków, którzy związani są ze Śląskiem poprzez urodzenie lub zamieszkanie.

Mam nadzieję, że pojawienie się w wirtualnej przestrzeni strony www.slaskgtl.pl przysporzy wielu nowych Odbiorców także tradycyjnemu miesięcznikowi, który już w kolejnym, listopadowym numerze wejdzie w dwudziesty, jubileuszowy rok swego istnienia.

czasu telewizyjną „Kuchenną rewolucję”. W skrócie – nic z tego nie wyszło, właściele wrócili do poprzedniego wystroju (nieco kiczowatego), na dodatek poczuli się urażeni promocją i pozwali twórców programu. A teraz... postanowili sprzedać lokal.

■ **EKOLODZY** protestują, bo w Beskidzie Małym (okolice Andrychowa) na powierzchni 300 hektarów powstaje ma wielki kompleks turystyczno-narciarski m. in. z krytym stokiem. Ekolodzy z Pracownicy na rzecz Wszystkich Istot z Bystrzy obawiają się, że inwestycja zniszczy przyrodę. Gigantyczna inwestycja na granicy Śląska i Małopolski chce zrealizować właściciel ośrodka narciarskiego na Czarnym Groniu w Rzykach w gminie Andrychów. Planuje on zrobić sieć wyciągów narciarskich na stokach Potrójnej, Turonia, Klimaski i Leskowca wraz z infrastrukturą towarzyszącą (parkingi, naśnieżanie, oświetlenie), połączyć stacje górnych wyciągów kolejami gondolowymi.

■ **TRWA** odbudowa drewnianego kościołka na Stecówce w Istebnej, który spłonął w grudniowym pożarze. Fundamenty już są, rosną ściany. Jest nadzieja, że jeszcze w tym roku będzie gotowy w stanie surowym.

■ **KONCERT** charytatywny na rzecz Tomasza Kowalskiego odtwórcy roli Ryszarda Riedla w spektaklu „Skazany na bluesa” miał miejsce 5 września w Teatrze Śląskim w Katowicach. Przypomnijmy, że aktor uległ ciężkiemu wypadkowi, a dochód z imprezy przeznaczono na jego leczenie i rehabilitację. Na scenie wystąpili m.in. Renata Przemysk, Arkadiusz Jakubik,

Łukasz Łyczkowski, zespół Oberschlesien.

■ **SZOLKA** Tyju, tak nazywa się pomysły właścicieli herbaciarni, pubów i galerii designu na ożywienie ulicy Rycerskiej w Bytomiu. Pierwsze Bytomskie Święto Herbaty trwało od 12 do 14 września.

■ **JEDYNA** w regionie i Polsce wypożyczalnia podręczników działa od 13 lat w Zabrze. Prowadzi ją Katolickie Stowarzyszenie Civitas Christiana. Rodzin korzystających z tej formy pomocy przybywa. Jeszcze trzy lata temu było ich 739, a rok temu już 800.

■ **KATOWICKI** Holding Węglowy podjął decyzję o zamknięciu kopalni Kazimierz-Juliusz w Sosnowcu, co wzbudziło górnicze protesty (17 września) i w efekcie podziemny strajk 150 górników (od środy 24 września do soboty 27 września), który nieoczekiwanie zakończył się sukcesem. Po kilkunastogodzinnych, trudnych negocjacjach, w wyniku podpisanego porozumienia górnicy otrzymali zaległe wypłaty, gwarancję zatrudnienia i fedrowania kopalni do końca przyszłego roku. Odwołano też skompromitowanego prezesa KHW.

■ **ZJAZD** dwóch tysięcy anestezjologów odbył się w Wiśle w ramach XVII Międzynarodowego Zjazdu Polskiego Towarzystwa Anestezjologii i Intensywnej Terapii.

■ **MINĄŁ** roczek nowej Elce, kolejce linowej Parku Śląskiego w zupełnie nowej odsłonie niż tej, która zapisała się w pamięci PRL-owskich pokoleń. Uruchomiono ją po gruntownej modernizacji 8 września 2013 roku. W ciągu ostatniego roku przejechało nią aż 215 tysięcy osób.

■ **IZABELA** Kloc zwyciężyła w wyborach uzupełniających do Senatu, jakie odbyły się w niedzielę 7 września w Rybniku (wcześniej jednak zaliczyła nieudany start do Parlamentu Europejskiego). Kloc zastąpiła Bolesława Piechę z PiS, który został euro parlamentarzystą.

■ **PROMOCJA** książki „Religia. Świat wokół serca” autorstwa Marii Trepińskiej odbyła się 9 września w Zabrze. Autorka spisała wspomnienia Jana Sarny o wybitnym śląskim kardiochirurgu, Zbigniewie Relidzie.

■ **DOBRE** wieści: przybędzie tysięcy miejsc pracy w Rybniku. A to dopiero początek. Aż 900 mln zł zainwestują firmy w Podstrefie Jastrzębsko-Żorskiej KSSE. Tu podpisano w ostatnim czasie umowy z 23 firmami z różnych branż – od produkcji tłumików, przez branżę spożywczą, motoryzacyjną, po tworzywa sztuczne.

■ **WKROTCE**, w listopadzie, wybory samorządowe. We wrześniu zarejestrowano w woj. śląskim 900 komitetów wyborczych (330 w Katowicach, 313 w Częstochowie, 248 w Bielsku-Białej). Niektóre z bardzo egzotycznymi nazwami np. Komitet Wyborczy Wyborców Uczciwych, Sprawdzony Gospodarz, KWW Gucio w Bojszowach, BIBA (Bielska Inicjatywa Bezpiecznej Aglomeracji). Jedyne problem z rejestracją miał Komitet Chcemy Wszyscy Dostatniej Polski – w skrócie ChWDP – uznano za nieprzypadko-

wą zbieżność ze skrótem obraźliwym dla policji.

■ **„MOJE Katowice”** to tytuł książki Lecha Szarańca, twórcy i organizatora re-stytuowanego w 1984 roku Muzeum Śląskiego w Katowicach, a także pierwszego dyrektora tej placówki. Premiera książki odbyła się 22 września w Bibliotece Śląskiej. Publikacja zawiera wybór jego felietonów, jakie pojawiają się kilku lat w katowickim dodatku „Dziennika Zachodniego”.

■ **ZDOLNY** niesamowicie 3-latek w Piekar Śląskich, Rafał Szoltyś, rzucił na kolana widownie programu „Mam talent?”, a jego występ [po śląsku] stał się hitem Internetu. Mama Rafałka, pani Monika, jak i producenci programu nie kryją zaskoczenia – spodziewali się odzewu, ale nie aż tak wielkiego.

■ **PRYWATNE** kopalnie są na plusie, państwowe na minusie – i to grubym. Tak w skrócie wygląda sytuacja w górnictwie. Prywatne w dobrych czasach inwestowały – a nie przejadały zysków, jak państwowe molochy – i teraz zbierają profity. A jeśli chodzi o liczby – 91 mln zł zysku netto w I półroczu tego roku odnotowała kopalnia Bogdanka. A Kompania Węglowa przyniosła w samym tylko 2013 roku 700 mln zł strat. I zamierza sprzedać kopalnie Jankowice, Chwałowice, Bobrek i Piekary, by podreperować swoje finanse.

■ **KATOWICE** bez Uszoka – brzmi nieprawdopodobnie, ale to prawda. Długoletni prezydent Katowic Piotr Uszok, i bezkonkurencyjny kandydat na to stanowisko, zaskoczył wszystkich deklaracją, iż rezygnuje ze startu w listopadowych wyborach samorządowych. I nagle, po 16 latach Uszokowego rządzenia, okazało się, że żadna z partii nie ma dobrego kandydata... I że najlepiej byłoby dla wszystkich, gdyby jednak Uszok wystartował... Ale to już niemożliwe. Bitwa o Katowice rozpoczęta.

■ **NAZYWASZ** się Wiselka? Masz krewnych w Wiśle. Mieszkają tu 183 osoby o tym nazwisku. 20 września urzędowo w Wiśle wielki zjazd rodziny Wiselków, którzy według jednego z podań wywodzą się od rycerza Imko Wiselki, założyciela Wisły. Dwa lata temu także w Wiśle odbył się zjazd rodziny Cieślaków, na który przybyło 300 osób.

■ **TERAZ** już nie Wojskowe Zakłady Mechaniczne w Siemianowicach, ale Rosomak SA w Siemianowicach. Michał Rumin, rzecznik prasowy firmy, zmianę brandu (czyli marki) tłumaczy tym, że zarówno w Polsce, jak i zagranicą Zakłady Mechaniczne nazywane są „Rosomak”, bo to ten sztandarowy produkt polskiej zbrojeniówki zyskał niewątpliwą sławę i uznanie.

■ **DWUSTU** śląskich górników zablokowało 24 czerwca polsko-rosyjskie przejście graniczne w Braniewie przez które docierał do Polski „ruski węgiel”, znacznie tańszy (i gorszy) od polskiego. Skutecznie – premier Ewa Kopacz obiecała przyspieszyć prace nad reformą górnictwa.

Apelem czy rekomendacjami?

JÓZEF WYCISK

To pytanie stawiali sobie zapewne organizatorzy IV Europejskiego Kongresu Małych i Średnich Przedsiębiorstw. Czym zmobilizować polskich polityków, aby działalność małych i średnich firm stała się w naszym kraju łatwiejsza? Wybrano obie odpowiedzi. Apel Programowy ukazał się dość szybko i tak naprawdę jest jednym, dramatycznym wołaniem o poprawienie warunków działania firm w Polsce. Na rekomendację przyjdzie nam poczekać, ponieważ jest to rzetelny i rzeczowy skrót z licznych debat toczonych w czasie Kongresu. Jednak w tej chwili chyba wszyscy możemy sobie postawić to samo pytanie – apel czy rekomendacje? Zanim jednak poszukamy odpowiedzi, musimy przyznać, że dziś w naszym kraju, debata publiczna sięgnęła dna. Stereotyp i populizm to dziś dwa podstawowe narzędzia społecznego komunikowania. Wedle jednego ze stereotypów każdy przedsiębiorca to burżuazyjny, imperialistyczny kapitalista. Jeśli więc ktoś się zastanawia „jak ułatwić działalność przedsiębiorców” jest w myśl wspomnianego stereotypu ustawiany w szeregu wrogów narodu, czyli tych, którzy sprzyjają niewolniczej eksploatacji społeczeństwa. Dość oczywisty skądinąd pogląd, że z bezrobociem walczą przedsiębiorcy tworząc miejsca pracy i zatrudniając ludzi jest bardzo niechętnie przyjmowany do wiadomości. Zdaniem większości – z bezrobociem przecież tak naprawdę to walczy minister od bezrobocia..

Wróćmy do rekomendacji. Zapewne ukażą się także i po tym, IV już Europejskim Kongresie Małych i Średnich Przedsiębiorstw. To wielostronicowe wydawnictwo, żeby nie powiedzieć „książki”, w których organizatorzy Kongresu przedstawiają wnioski wypływające z kilkunastu dyskusji. Ale czy ktoś owe rekomendacje w ogóle czytuje? Jeśli popatrzymy na to, jak wygląda okołobiznesowe otoczenie, przepisy prawa, system podatkowy, musimy dojść do wniosku, że chyba nie, więc apel, czyli tekst mieszczący się na jednej stronie maszynopisu, łatwy do przeczytania nawet dla jakże zabieganego polityka, zawsze może się przydać.

Niestety, nie sądzę, aby ktokolwiek przeczytał czy to rekomendacje, czy apel. Wspieranie biznesu kończy się w Polsce na deklaracjach. Co więcej – deklarujący to czy tamto, w istocie rzeczy są przekonani, że wiele dla polskiego biznesu robią. Wicepremier Janusz Piechociński, obejmując honorowy patronat nad Kongresem, napisał do organizatorów: „Tworzenie korzystnych warunków rozwoju sektora mikro, małych i średnich przedsiębiorstw jest niezbędne dla budowy przyszłości konkurencyjnej Europy i za-

pewnienia silnego i długotrwałego wzrostu gospodarczego. Cieszę się, że wspólnie możemy efektywnie wspierać przedsiębiorców, zwiększając możliwości ich konkurencyjności zarówno na rynku krajowym, jak i zagranicznym”. Słowa zaiste – przepiękne. Tymczasem w Apelu Programowym Kongresu, w drugim punkcie dowiadujemy się, że uczestnicy kongresu domagają się: „zapewnienia stabilności, przewidywalności i przejrzystości ładu prawnego i gospodarczego dla MŚP poprzez podjęcie działań mających na celu uproszczenie oraz wzmocnienie spójności i wewnętrznej zgodności funkcjonujących regulacji prawnych, podniesienie jakości stanowionego prawa oraz zmianę złych przepisów prawa podatkowego, restrykcyjnego prawa pracy i nieefektywnej biurokracji.”

Tegoroczny Europejski Kongres MŚP trwał 4 dni, w jego ramach odbyło się 45 wydarzeń, zarejestrowało się 3400 uczestników, przybyli przedstawiciele 35 krajów. Los sprawił, że w dniu rozpoczęcia spotkania w Pałacu Prezydenckim nowy rząd odbierał nominacje. Tym samym żaden z polityków nie wziął udziału w inauguracji obrad. Jednak Kongres trwał kilka dni, a przecież nie każdy minister przekazywał obowiązki swemu następcy. Ministrowie gospodarki i finansów pozostali na stanowiskach, ale do Katowic było im za daleko. Może inaczej – nie po drodze. Tymczasem zjawiał się na obradach polityk z innej półki, polityk innej klasy. Był to Ferdinando Nelli Feroci, Komisarz UE ds. Przemysłu i Przedsiębiorczości. To sytuacja dosyć oryginalna, ponieważ – nie uwłaczając godności Nelli Ferociemu – jest komisarzem tylko „na chwilę”. Objął funkcję w połowie lipca, a przestanie ją pełnić na początku listopada. Tymczasem na Kongresie się pojawił, aby wysłuchać opinii sektora MSP. Jak podkreślał – po latach koncentrowania się UE na walce z kryzysem, nadszedł czas, aby pomyśleć o przyszłości. Aby skoncentrować się na zwiększaniu konkurencyjności i innowacyjności firm. Jak sam powiedział: „w tej chwili KE weszła w tryb słuchania”. Chodzi m.in. o to, aby przedefiniować część zapisów Small Business Act for Europe czy też programu Europa 2020. Nelli Feroci podkreślał, że to nie on, ale następna Komisja Europejska będzie musiała zastanowić się nad ułatwieniem w dostępie małych i średnich firm do kredytów, w upraszczaniu procedur administracyjnych i innych ułatwieniach. I pomimo tego, że – podkreślił – nie jest to zadanie dla Nelli Ferociego, komisarz jednak na kongresie był obecny. Bo jest politykiem innej klasy. Która potrafi zaprezentować coś konstruktywnego, a jedno-

cześnie takiej, która wyznaje zasadę iż polityk powinien słuchać obywateli.

Jeśli ktoś wsłuchał się w opinie wyrażane przez przedsiębiorców w czasie Kongresu mógł dojść do wniosku niezbyt optymistycznego. Przedsiębiorcy, szczególnie mikro i mali są po prostu zmęczeni. Walka o codzienne przetrwanie pozbawia ich swobody w myśleniu, działaniu. Polskie firmy nie mają polskiej fantazji. To wszystko zostało zamordowane biurokratyczną mordęgą. Wiedzą o tym organizatorzy Kongresu, poświęcili bowiem spore fragmenty obrad takim kwestiom jak na przykład rozwój firm, sięganie po unijne dotacje czy wreszcie internacjonalizacja firm. To ostatnie, to zresztą jest kolejna kwestia, która funkcjonuje gdzieś w obrębie polskich schematów potrzebnych do uprawiania populistycznej polityki. Ileż to razy mogliśmy przeczytać w takiej lub innej gazecie o tym, jakie to to miliardy wpływają z Polski w postaci zysków zagranicznych firm. Nikt jakoś nie chce zadać pytania, dlaczego polskie firmy nie korzystają z globalizacji, nie korzystają ze wspólnego unijnego rynku i ściągają zysków do Polski. Dlaczego nikt nie stawia pytania – co zrobiliśmy jako kraj, aby polskie firmy przywoziły do ojczyzny cudze miliardy. Co więcej problemem jest to, że nasze firmy nie chcą w ogóle wychodzić poza granice kraju. Przede wszystkim dlatego, że są głównie małe i małeńkie. Z tym problemem wiąże się także inny – polskie małe i średnie firmy nie chcą rosnąć. A skoro tak, przestańmy się łudzić, że polskie małe i średnie będą innowacyjne. Innowacyjny jest tylko ten, kto chce się rozwijać i zdobywać nowe rynki. Polskie firmy chcą po prostu być takie, jakie są. A ich zmęczenie bierze się na przykład stąd, że – wedle danych Komisji Europejskiej – polski przedsiębiorca traci na procedury eksportowe 17 dni, a unijny 12. Na procedury importowe dwa tygodnie, a średnio w Unii zajmuje to 11 dni. Na to, aby zająć się formalnymi aspektami podatkowymi polski przedsiębiorca traci 286 godzin, unijny – średnio – 193 godziny.

Na koniec jedna uwaga, czyli kamyk wrzucony do ogródka przedsiębiorców. W ostatnim punkcie programowego apelu czytamy, że konieczne jest: „wspieranie inicjatywy zapewnienia przedsiębiorcom sektora MSP pełnej i publicznej reprezentacji wobec administracji rządowej i samorządowej oraz możliwości wyrażania wspólnego stanowiska

W procesie legislacyjnym poprzez uchwalenie przez polski Sejm ustawy o powszechnym samorządzie gospodarczym”. I tu dotykamy ważnej kwestii – polski, szczególnie mały i mikro biznes jest słabo zorganizowany. Nie jest partnerem ani dla samorządu terytorialnego ani dla władz krajowych. Sytuacja sektora MSP jest więc w pewnej części skutkiem tego, że sektor ten nie chce się zorganizować i walczyć o swoje. Z drugiej strony = jeśli działała w Polsce milion osiemset tysięcy firm, to na dobrą sprawę można powiedzieć, że milion osiemset tysięcy ich właścicieli to grupa ludzi, których problemami nie zajmuje się dziś nikt. Szkoda.

Z rektorem Uniwersytetu Śląskiego
prof. zw. dr. hab. WIESŁAWEM BANYSIEM
rozmawia MARIA SZTUKA



Fot. Agnieszka Szymala

Elitarna czy egalitarna?

– Spotykamy się w przededniu 47. inauguracji roku akademickiego na Uniwersytecie Śląskim, to okazja zarówno do refleksji nad minionym okresem, jak i czas na planowanie. Zacznijmy może od krótkiego przypomnienia, co przyniósł ubiegły rok?

– Z konieczności będzie to podsumowanie w pigułce, zwłaszcza że w każdej z perspektyw: międzynarodowej, krajowej, legislacyjnej czy finansowej działo się bardzo wiele. Powiem więc tylko o najważniejszych sprawach. Bardzo nas cieszy rozpoczęcie budowy długo wyczekiwanej nowej siedziby Wydziału Radia i Telewizji im. K. Kieślowskiego. Otwarcie gmachu planowane jest za dwa lata. Udało się nam także pozyskać środki na kontynuację rozbudowy Śląskiego Międzyuczelnianego Centrum Edukacji i Badań Interdyscyplinarnych w Chorzowie. W ra-

mach drugiego etapu powstanie Centrum Nauk Stosowanych, które wzbogaci obiekt o kolejny budynek naukowo-dydaktyczny wyposażony w nowoczesne laboratoria, aparaturę oraz pracownie, w tym m. in. technologii chemicznej, materiałów inteligentnych oraz pracownie specjalistyczne. Z nowego modułu korzystać będą między innymi naukowcy i studenci z Wydziału Informatyki i Nauki o Materiałach, Instytutu Chemii i Instytutu Fizyki. Inwestycję planujemy zakończyć pod koniec sierpnia przyszłego roku. W dziedzinie zarządzania uczelnią staramy się optymalizować strukturę kosztów, pozyskując dodatkowe środki. Około 15 procent naszego budżetu pochodzi z działalności naukowo-badawczej, jeszcze niedawno, przed kilkoma laty były to przychody na poziomie zaledwie 8 procent, ideałem byłby wzrost do 50 proc., co według definicji amerykańskiej pozwoliło-

by uzyskać status uniwersytetu badawczego, ale to trudny próg do osiągnięcia dla polskich uczelni. Tendencja zwykła pozwala na optymistyczne prognozowanie w granicach 30 procent w najbliższych latach.

– **Te dodatkowe środki są niezbędne?**

– W konsekwencji niżu demograficznego zmniejsza się dotacja podstawowa, musimy więc kompensować te braki dodatkowymi środkami finansowymi, wiele z nich pochodzi z pozyskiwanych różnego typu grantów.

– **Ubiegły rok przyniósł wiele zmian w szkolnictwie wyższym...**

– Bardzo intensywnie działaliśmy na rzecz nowelizacji ustawy „Prawo o szkolnictwie wyższym”, a także ustawy „o tytule i stopniach naukowych”. Postulowaliśmy, aby w części dotyczącej wymagań stawianych kandydatom ubiegającym się o stopień doktora, doktora habilitowanego czy tytuł profesora najważniejszym i zasadniczym kryterium była ocena osiągnięcia lub osiągnięć naukowych, bo tylko one powinny decydować o awansie. Usilnie wspieraliśmy także idee certyfikacji, zaliczania doświadczenia zawodowego, efektów kształcenia nieformalnego, czyli istniejącego poza systemem uczelni, na poczet części kursu akademickiego prowadzącego do dyplomu.

– **Dlaczego to jest tak ważne?**

– Dotyczy bowiem wielu zawodów. Posłużyć mi przykładem pielęgniarki, która posiada doświadczenie zawodowe, ale z różnych względów nie mogła uzyskać dyplomu, proponowane przepisy pozwalają uwzględnić umiejętności praktyczne w toku przygotowywania dyplomu. Podobną zasadę stosuje się w Holandii czy Francji, to jest bardzo ważny element ponieważ wpisuje się w niezwykle istotny proces, jakim jest *lifelong learning*, czyli kształcenie ustawiczne, pogłębianie wiedzy przez całe życie, podnoszenie kwalifikacji i umiejętności.

– **To głos już nie tylko rektora Uniwersytetu, ale także przedstawiciela Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich (KRASP), której Pan Rektor przewodniczy od 2012 r. Czy łączenie tych dwóch funkcji nie nastęrcza trudności, z jednej strony bowiem trzeba reprezentować interes dużej zbiorowości, z drugiej nie tracić z pola widzenia własnej uczelni.**

– KRASP reprezentuje wszystkie uczelnie w Polsce, także więc i nasz Uniwersytet. Nie ma mowy o trudnościach, wprost przeciwnie łączenie tych dwóch funkcji pomaga w realizacji każdej z nich. Przewodniczący Konferencji musi znać wszystkie bieżące problemy, a one wszędzie są bardzo zbliżone niezależnie czy dotyczą politechnik, akademii, czy uniwersytetów. Znajomość zarządzania uczelnia pozwala na wpływanie zarówno na legislaturę, jak i na te akty prawne, które powinny być ulepszone bądź zmienione. KRASP jest emanacją środowiska akademickiego reprezentowanego przez rektorów, podobnie jak rektor jest emanacją swojej uczelni. Jednym z zadań Konferencji jest konstruowanie takiego prawa, które jest najkorzystniejsze dla środowiska akademickiego i najlepiej sprzyja wykonywaniu misji uczelni, a także wypracowanie modelu finansowania, zarówno szkolnictwa jak i nauki, na takim po-

ziomie, abyśmy nie pozostawiali w ogonie Europy.

– **Jakie wyzwania stoją przed Konferencją w nadchodzącym roku?**

– Chciałbym, aby do końca tej kadencji w KRASP dwie najważniejsze sprawy znalazły właściwe rozwiązanie. Pierwsza dotyczy selektywnej deregulacji ustawy „Prawo o szkolnictwie wyższym” tak, aby dawała ona zdecydowanie większe władztwo uczelniom. Trzeba jednak pamiętać, że zwiększenie autonomii oznacza nie tylko przywileje, ale przede wszystkim większą odpowiedzialność poszczególnych jednostek. Drugim elementem, nad którym bardzo intensywnie pracujemy jest wariantowe finansowanie szkolnictwa wyższego. Postulujemy między innymi o to, aby dotacja ministerialna była przekazywana uczelniom publicznym na cały cykl kształcenia, począwszy od trzyletnich licencjatów do studiów magisterskich a nie jak to jest obecnie – z roku na rok, kiedy wysokość dotacji jest zmienna i zależna od wielu czynników, między innymi od liczby studentów w danym roku akademickim. Ten ruch jest o tyle ważny, że zniknąłby czasami stawiany zarzut o pokrywaniu się liczby studentów przyjmowanych na I rok studiów z liczbą opuszczających uczelnię absolwentów – zjawisko to pojawia się nieraz tu i ówdzie. Trzeba jednak przyznać, że trochę wymusza je obowiązujący obecnie algorytm, decydujący o wysokości dotacji i premiujący zamrożenie także za liczbę studentów. Zatem zamrożenie wysokości finansowania na wejściu i dotarcie z tym budżetem do końca cyklu kształcenia, pozwoliłoby uczelniom pilnować jeszcze bardziej niż teraz jakości kształcenia i wymagań stawianych studentom. Mamy także na uwadze ustabilizowanie wysokości wynagrodzeń z możliwością podniesienia stawek i uwzględnienie dodatku inflacyjnego. Chodzi o to, aby i te różnice były przekazywane na cały cykl edukacyjny, bez względu na zmieniającą się w tym okresie liczbę zatrudnionych pracowników w danej uczelni, to dałoby okazję do dodatkowego wynagradzania tych, którzy na to zasłużyli. Te pomysły będziemy przedstawiać Pani Minister, Pani Premier i Panu Prezydentowi w maju przyszłego roku.

– **Skoro mowa o deregulacji odpowiedzialności, to nasuwa się pytanie – kto miałby ją weryfikować?**

– Błędne decyzje rektorskie przyniosły szybko złe efekty. Złe zarządzanie uczelnią będąc przed wszystkim omiającą kandydaci na studia, w krótkim czasie znajdzie to odzwierciedlenie w spadku jakości badań naukowych, zmniejszonej liczbie grantów, co w efekcie *per saldo* w bezpośrednim przełożeniu wpłynie na obniżenie dochodów uczelni. Jak widać – niepotrzebna jest żadna siła nadzorująca, weryfikacja jest przejrzysta. Przy zwiększeniu autonomii uczelni, dzięki dokonaniu selektywnej deregulacji, odpowiedzialność ponoszą wszyscy uczestniczący w procesie decyzyjnym i realizacyjnym, z rektorem na czele. Tak pojęta autonomia motywuje do jak najlepszej pracy, do doskonalenia poziomu kształcenia, do poszukiwania coraz atrakcyjniejszych ofert edukacyjnych, do poszerzania zakresu badań naukowych, słowem podnosi jakość i konkurencyjność uczelni, a o to przecież chodzi.

– **Uniwersytet Śląski jest bardzo widoczny w regionie, świadczą o tym nie tyl-**

ko spektakularne akcje typu „WampirUS”, ale festiwale nauki, konkursy wiedzy, licea uniwersyteckie, kiermasze, działania na rzecz pokrzywdzonych, podnieć prawne...

– Taka powinna być rola uniwersytetu XXI wieku. Zainicjowane przez nas wychodzenie uczelni z murów i kreatywne włączanie się w życie regionu wyznacza jakość nowoczesnie rozumianej Nowej Społecznej Odpowiedzialności Uniwersytetu. To obok kształcenia i badań naukowych trzecia równie ważna misja uczelni. Uniwersytety dziecięce, młodzieżowe, maturalne, trzeciego wieku, różnego typu studia podyplomowe, współpraca z biznesem, samorządami, etc. sprawują, że zgodnie z zapisami Wielkiej Karty Uniwersytetów Europejskich uczelnia staje się rzeczywistym centrum życia intelektualnego, kulturalnego i społecznego miasta i regionu a jednocześnie buduje akademicką współodpowiedzialność za rozwój lokalnej społeczności. Stąd ta swoista butada, by obok *university* w języku angielskim mówić też o *university*. Pisane przez „s” wskazuje na uniwersalne wartości, które staramy się promować ponad granicami, pisane przez „c” – zakorzenienie się i związanie z miastem i regionem.

– **W ideę „university” znakomicie wpisuje się planowana dzielnica akademicka.**

– To duże i bardzo ważne przedsięwzięcie, zarówno dla społeczności akademickiej, jak i dla mieszkańców Katowic. Nowa siedziba Wydziału RTV zapoczątkuje rewitalizację zdegradowanego kwartału ulic Pawła – Wodna – Górnicza, który po przebudowie i zagospodarowaniu powinien stać się przestrzenią otwartą dla wszystkich, silnie zintegrowaną z tkanką miasta. Wprowadzie zasadnicze centrum stanowi kampus Uniwersytetu Śląskiego, to wynika z topografii, ale dzielnica skupiałaby także środowisko Uniwersytetu Ekonomicznego, Akademii Sztuk Pięknych, Akademii Muzycznej, Politechniki Śląskiej, słowem wszystkich katowickich uczelni. Znajdujące się w pobliżu: siedziba NOSPR, Muzeum Śląskie, „Oko miasta” czyli Rondo Sztuki, ulica Mariacka pretendująca do rangi miejskiego centrum rozrywki tworzą znakomite warunki do wykrowania strefy akademicko-kulturalno-rozrywkowej, skupiska nowoczesnej śląskiej „bohemy”. We współpracy z Urzędem Miasta Katowice, w ramach zintegrowanych inwestycji terytorialnych, dzięki dobrej współpracy z panem prezydentem Piotrem Ustką, pozyskaliśmy także środki na adaptację jednej z naszych siedzib, starego budynku Narodowego Banku Polskiego, na rzecz tworzonego właśnie Centrum Integracji Twórczej. Ta nazwa nie jest przypadkowa, chodzi bowiem o integrację wszystkich środowisk począwszy od dzieci, poprzez młodzież, środowisko ludzi dojrzałych oraz okolicznych mieszkańców. Rolą uniwersytetów jest wzbudzać zdrowy ferment, stanowić naukową i kulturalną esencję miasta.

– **Pierwsze efekty integracji już są widoczne, Uniwersytety Śląskie Dzieci i Trzeciego Wiek biją rekordy popularności.**

– Rzeczywiście znakomicie funkcjonują zarówno Uniwersytet Śląski Dzieci, Młodzieży, Maturzystów jak i oczywiście

Trzeciego Wiek. W strukturze naszej uczelni znajduje się Centrum Kształcenia Ustawicznego, jednostka pozawydziałowa, która prowadzi działalność edukacyjną dla osób w każdym wieku – dzieci, młodzieży, a także dorosłych. Jednym z zadań centrum jest także certyfikacja doświadczenia zawodowego, prowadzi ono również różnego typu kursy, między innymi języka angielskiego oraz realizuje program executive MBA – to są propozycje z najwyższej półki dla wszystkich, chcących się uczyć przez całe życie.

– **Uniwersytet Śląski wkracza w nowy rok akademicki ze wzbogaconą ofertą kształcenia.**

– Proponujemy studia na 68 kierunkach, w tym na dziesięciu nowych, i ponad 200 specjalnościach. Sądząc po dużym zainteresowaniu studentów, nowości okazały się atrakcyjne. Na Wydziale Nauk Społecznych pojawiły się: *Doradztwo polityczne i publiczne, Bezpieczeństwo narodowe i międzynarodowe, Stosowane nauki społeczne*, Wydział Nauk o Ziemi wzbogacił ofertę o *Studia regionalne*, ciekawe propozycje znalazły się na Wydziale Etnologii i Nauk o Edukacji, gdzie można studiować *Oligofrenopedagogikę z arteterapią* i *Animację społeczno-kulturalną z edukacją kulturalną*, Wydział Matematyki, Fizyki i Chemii oferuje *Informatykę stosowaną* natomiast Wydział Filologiczny proponuje *Informację w instytucjach e-społeczeństwa, Mediteraneistykę i Sztukę pisaną*. Początkowo kierunek ten wzbudzał wiele emocji, ale program nauczania oparty na najlepszych wzorach zachodnich uniwersytetów, okazał się znakomitą ofertą dla przyszłych dziennikarzy, literatów, scenarzystów gier komputerowych czy twórców portali internetowych, o czym świadczą znacznie przekroczony limit przyjęć na pierwszy rok.

– **Najważniejsze wyzwania w nadchodzącym roku akademickim...**

– Jak najliczniejsze i skuteczne aplikacje o środki na badania naukowe z programu HORIZON 2020. To największy w historii program finansowania badań naukowych i innowacji w Unii Europejskiej, którego imponujący budżet przewidziany na lata 2014–2020 wynosi 77 mld euro. To zrozumiałe, że konkurencja będzie ogromna, ale nie należy się tym zrażać, chcemy także bardziej intensywnie zabiegać o środki w naszych rodzimych agendach, czyli w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju oraz Narodowym Centrum Nauki.

– **Jaka powinna być uczelnia XXI wieku – elitarna czy egalitarna?**

– I taka i taka! Jestem zwolennikiem, aby egalitaryzm, czyli absolutna dostępność kształcenia na poziomie wyższym, był rzeczywistością dla wszystkich, to nasz społeczny obowiązek. Bardzo podoba mi się hasło Konferencji Rektorów Francuskich Uniwersytetów i z przyjemnością je zawsze przytaczam: *Uniwersytet jest szansą! złapcie ją!* Ta dewiza dokładnie odpowiada temu, co robi nasz Uniwersytet. W chwili odpowiedniego uregulowania finansowania uczelni, takiego jak wyżej przytaczaliśmy, problem egalitaryzmu i elitaryzmu zniknie, uczelnia będzie egalitarna na wejściu, a elitarna na wyjściu.

– **Dziękuję za rozmowę.**



Sala koncertowa NOSPR przy placu Kilara 1

KAROL RAFAŁ
BULA

Nowa sala koncertowa w Katowicach – zasłużyli na nią orkiestra i śląscy melomani

Gdy przed kilkoma laty otwarto nową salę w Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach, fakt ten skwitowałem felietonem zatytułowanym „Najpiękniejsza w Polsce, a może w Europie”. 1. października Katowice wzbogaciły się o kolejny obiekt – nową siedzibę Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia ze wspianą salą – najpiękniejszą w Polsce, a myślę, że jedną z najpiękniejszych na świecie. Piszę to z całą odpowiedzialnością.

W udzielonym mi w ubiegłym roku wywiadzie obecny dyrektor artystyczny zespołu Alexander Liebreich podkreślił, że dla podniesienia prestiżu znakomitej orkiestry konieczne jest stworzenie jej najlepszych warunków lokalowych i wyraził nadzieję, że w znajdującym się w budowie nowym

gmachu powstanie sala koncertowa, która sprostą najwyższym wymogom technicznym i akustycznym, tak by NOSPR mogła swymi koncertami, radiowymi nagraniami antenowymi i płytowymi zachwycić świat. Zasłużyła sobie też na to znakomita orkiestra i tłumnie uczestnicząca w jej koncertach katowicka publiczność. Stało się! Odbył się inauguracyjny koncert symfoniczny, w najbliższej perspektywie są dziesiątki (!) imprez muzycznych, na które czekają spragnieni dobrej muzyki melomani. Sala koncertowa w październiku gości m.in. Filharmoników Wiedeńskich, ubóstwianego nie tylko w Polsce Krystiana Zimmermana, światowej sławy tenora Piotra Bezczałę, Urszulę Kryger, Jadwigę Rappe, Zespół Śpiewaków Miasta Katowic „Camera Silesia”, a sala kameralna Zespół

Kameralny z Wiednia, Sekstet smyczkowy NOSPR, Kwartet Śląski, Sekstet jazzowy Jana Ptaszyna Wróblewskiego i wielu innych znakomitych artystów.

Otwierający sezon w nowej sali koncert 1 października zaostrzył z pewnością apetyty miłośników muzyki. Był porywający! Żadne zdjęcie nie odda wrażenia, jakie na widzach wywiera sala koncertowa. Może ona konkurować z najpiękniejszymi na świecie. Wizja nowoczesnego pomieszczenia dla katowickiej orkiestry symfonicznej ma zapewne wielu ojców, wszak projektując je trzeba było mieć na uwadze multum czynników na czele z wygodami dla muzyków i 1800 słuchaczy oraz sprzyjającą wykonaniu i wysłuchaniu muzyki akustyką; tę wykonała renomowana japońska firma Nagata Acoustics. Stanowiąca jądro budynku sala koncertowa i cały



Fot. Bartek Barczyk

Koncert inauguracyjny poprowadził Alexander Liebreich

kompleks mieszczący salę kameralną, salę prób, pomieszczenia dla muzyków oraz administracji itp. są dziełem katowickiego biura architektonicznego pod wodzą Tomasza Koniora.

Ze zrozumiałych względów uwaga słuchaczy koncertu inauguracyjnego była skupiona głównie na sali koncertowej. Tu odbywało się prawdziwe misterium sztuki. Rozświetlona tysiącem lamp, zachwycała oczy stonowanymi barwami boazerii, skupiała wzrok na znajdującej się w centrum jasnej estradzie, na której po chwili pojawiła się witana gromkimi brawami umiłowana orkiestra. Jeszcze tylko czekać było trzeba na maestra Liebreicha – dyrygenta koncertu i solistkę pierwszego utworu Ewę Tracz. Ta związana z katowicką Akademią Muzyczną artystka – zdobywczyni licznych nagród i wyróżnień na międzynarodowych konkursach wokalnych – zaskoczyła publiczność stylizowanym na śląski strój regionalnym kostiumem i barwnym wiankiem na blond włosach, zapewniając stosowną oprawę wczesnemu dziełu Witolda Lutosławskiego opartemu na pieśniach ludowych z Górnego Śląska – z Istebnej, ziemi pszczyńskiej i gliwickiej oraz Łagiewnik. Trzeba zaznaczyć, że *Tryptyk Śląski na sopran i orkiestrę symfoniczną* nie jest dziełem dla wielkiego polskiego kompozytora reprezentatywnym – powstał w 1951 roku na konkretne zamówienie i realizował ówczesne założenia estetyczne. Zgodzić się przecież trzeba, że był to piękny symboliczny akcent na rozpoczęcie festiwalu otwarcia wspaniałego przy-

bytku sztuki na Śląsku. Potem na estradę wkroczyła Joanna Wnuk-Nazarowa, dyrektor naczelny i programowy NOSPR oraz Piotr Uszok, prezydent miasta Katowice, by powitać publiczność i przekazać jej najbardziej istotne informacje związane z powstaniem nowego gmachu. Obok nich wnet stanęła grupa ludzi najbardziej zasłużonych w realizacji szczytnego zamiaru. Byli wśród nich były minister kultury i dziedzictwa narodowego Bogdan Zdrojewski, prezes Zarządu Polskiego Radia Andrzej Siezieniewski, architekt Tomasz Konior. Podziękowania za trud popłynęły do szeregu osób zgromadzonych na estradzie i pozostających na widowni. Po przerwie nastąpiła druga część koncertu, honorująca pozostałych w szczególnie serdecznych związkach z NOSPR kompozytorów ich własnymi dziełami. Zabrzmiały więc *Przebudzenie Jakuba* Krzysztofa Pendereckiego, *Siwa mgła na baryton i orkiestrę* Wojciecha Kilara z Wiesławem Ochmanem w partii solisty oraz *Trzy tańce na orkiestrę op. 34* Henryka Mikołaja Góreckiego. O ile kompozycja Lutosławskiego nie mogła dać podstaw do oceny akustycznej wartości sali – wydawało się nawet, że brzmieniu dzieła zabrakło pełni, to prezentacja tych pozycji musiała przekonać słuchaczy do wysokiego kunsztu japońskiej firmy. Orkiestra poziomem wykonania sprostała wysokim wymaganiom niemałej przestrzeni i selektywnej akustyki sali koncertowej. Po kolejnej przerwie salę zapęłniły dźwięki dwóch arcydzieł XIX stulecia: *I Koncert fortepianowy d-moll op. 15* Johanne-

sa Brahmsa i *IX Symfonia d-moll op. 125* Ludwiga van Beethovena. Gorąco przywitany solista *Koncertu* Brahmsa – Krystian Zimerman, nader rzadko goszczący wśród uwielbiających go śląskich melomanów, ponownie zachwycił ich swoim mistrzostwem, interpretując dzieło Brahmsa z właściwą sobie wrażliwością, która każe słuchaczom zapomnieć o wszelkich zawiłościach technicznych *Koncertu*. Maksymalnie skupiony na zapewnieniu partii orkiestrowej koniecznej precyzji i głębi wyrazu Aleksander Liebreich wznosił się na szczyt, kierując orkiestrą partnerującą znakomitemu soliście. Ukoronowaniem koncertu była *IX Symfonia van Beethovena* z symboliczną, szczególnie wobec towarzyszących jej wykonaniu okoliczności, Schillerowska *Odą do Radości*. Znakomity kwartet śpiewaków z Melanie Diener (sopran), Anną Lubańską (mezzosopran), Christianem Elsnerem (tenor) i Dimitrym Ivashchenko (bas) oraz przygotowanym przez Petera Dijkstra Chórem Bayrischer Rundfunk pod dyrekcją Alexandra Liebreicha zapewnili wykonaniu światowy poziom i można tylko mieć nadzieję, że żywot tak wykonanego dzieła, podobnie jak wcześniej zaprezentowanych utworów, znajdzie przedłużenie w nagraniu płytowym, które nie tylko gwarantowałoby częstsze obcowanie z piękną muzyką, ale dałoby możliwość przywoływania pamiętnego wielkiego przeżycia z dnia otwarcia nowego domu Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach.



Noblista Tomas Tranströmer i prof. Grażyna B. Szewczyk po uroczystości w bonnierowskiej willi.

GRAŻYNA
BARBARA
SZEWCZYK

Honoris causa dla szwedzkiego noblisty Tomasa Tranströmera

Uroczystość nadania przez Uniwersytet Śląski tytułu doktora *honoris causa* wybitnemu szwedzkiemu poecie i laureatowi Nagrody Nobla w dziedzinie literatury Tomasowi Tranströmerowi była wydarzeniem niezwykle i wyjątkowym w dziejach śląskiej Alma Mater. Wyjątkowa po pierwsze, że odbyła się w Sztokholmie, ale nie w budynku uniwersyteckim, lecz w prywatnej willi jednego z największych szwedzkich wydawców Alberta Bonniera, w Nedre Manilla, po drugie, że uczestniczący w niej rektorzy, dziekani, laudatorzy i recenzenci dwóch uczelni, Uniwersytetu Śląskiego i Uniwersytetu Jagiellońskiego¹, nie wystąpili przed publicznością w czarnych uniwersyteckich togach. Uroczystościom, w którym wzięli udział zarówno przedstawiciele polskich placówek w Szwecji (Ambasada RP, Instytut Polski), jak również wojewoda uppsalski, przewodnicząca Rady Miasta Sztokholmu, grono Polaków mieszkających od wielu lat w Szwecji, szwedzcy sławiści oraz krytycy i tłumacze Tranströmera, towarzyszyły oficjalne polsko-szwedzkie rozmowy przebiegające w atmosferze

serdeczności sprzyjającej dyskusji o naukowej współpracy.

Uchonorowanie szwedzkiego noblisty wyróżnieniem *honoris causa* 12 września 2014 r. miało także inny wymiar. Było wyrazem uznania dla jego poetyckiego dorobku i podziękowaniem za liryczne strofy, wypowiedzianym w imieniu wielu polskich czytelników, których urzekły oryginalne metafory i obrazy przyrody, surowe, rozjaśnione migającymi barwami i pełne tajemniczych dźwięków. Osobiste kontakty Tranströmera z Polakami – gościł dwukrotnie w Polsce, w 1987 i 1993 r., – ze znawcami jego poezji z Krakowa i Katowic – zaowocowały wymianą myśli i przyczyniły się do spopularyzowania jego utworów w różnych – nie tylko akademickich – kręgach odbiorców.

Wracając do uroczystości w bonnierowskiej willi, w czasie której z portretów „spoglądali” na zaproszonych gości znakomici pisarze i skaldowie szwedzcy z przełomu 19. i 20 wieku, np. Gustaf Fröding, Verner von Heidenstam, Selma Lagerlöf, August Strindberg, warto przypomnieć jej główne części. Po odśpiewaniu pieśni

Gaudeamus igitur przez chór akademicki Uniwersytetu Jagiellońskiego – występ został wcześniej nagrany i pokazany na ekranie multimedialnym – głos zabrała wnuczka Karla Bonniera, Eva Bonnier, zaznajamiając z ponad stuletnią historią domu i działalnością oficyny wydawniczej. Z kolei przemówili w języku angielskim obaj rektorzy, przedstawiając krótkie biogramy naukowe laudatorów i recenzentów twórczości Tranströmera. Po wystąpieniach laudatorów (szwedzki przekład polskiego tekstu wygłoszonego przez prof. zw. dr. hab. Józefa Olejniczaka z Uniwersytetu Śląskiego, widoczny był na ekranie, natomiast tekst laudacji dr hab. Magdaleny Wasilewskiej-Chmury z UJ wygłoszony został w języku szwedzkim, a jego polskie tłumaczenie pokazano na ekranie) państwo dziekani odczytali tekst nadania tytułu doktora *honoris causa* w języku łacińskim. Uroczystość zakończyła się wręczeniem Poecie przez obu rektorów dyplomów, statuetek i wybranych na tę okazję prezentów (wydawnictwo UŚ przygotowało publikację książkową z tekstami laudacji i recenzjami oraz wybranymi tłumaczeniami poezji Tranströmera w przekładzie Leonarda Neugera i Grażyny B. Szewczyk, a artysta z Cieszyna zaprojektował ciekawą w kolorystyce i kształcie „rzeźbę” ze szkła), odśpiewaniem *Gaude Mater Polonia* oraz recytacją kilku wierszy w wykonaniu znanego szwedzkiego aktora teatralnego i filmowego Kristera Henrikssona. Oficjalna część zakończyła się odegraniem narodowych hymnów Szwecji i Polski, po czym na tarasie z widokiem na jezioro Mälaren i w kilku pomieszczeniach willi prowadzono ożywione rozmowy, wymieniano uwagi i adresy i podziwiano wystrój wnętrza.

Podczas trwającej prawie dwie godziny uroczystości Tomas Tranströmer i małżonka Monika ze wzruszeniem i w skupieniu przeżywali przebieg ceremonii. Następnego dnia (13 września) niewielkie grono osób² zostało zaproszone przez państwa Tranströmerów do ich mieszkania w kamienicy położonej w południowej dzielnicy miasta, Söder. Rozmowa w pokoju pełnym regałów z książkami, z fortepianem w tle – Poeta po wylewie krwi do mózgu w 1990 r., utracił zdolność mówienia, co nie przeszkadza mu porozumiewać się z rozmówcami wzrokiem, gestami i być rozumianym – dotykała m.in. sztuki przekładu i pisania wierszy haiku, a także polsko-szwedzkich stosunków kulturalnych i społeczno-politycznej sytuacji Szwecji w przededniu wyborów³. Pani Tranströmer odpowiadała cierpliwie na pytania, nie ukrywając, że wymiana zdań sprawiała jej radość. To niezwykle spotkanie zbliżyło nas i połączyło myślami, uświadamiając, że Polacy i Szwedzi

dzi mają sobie wiele do powiedzenia i że poezja Tranströmera promieniuje siłą pokonywania tego, co rozdziela. Jej siła tkwi w krótkich, muzycznych wersach zagęszczonych obrazami, w których Poeta upamiętnia swoich bliskich, ale także ulubione miejsca i szwedzką przyrodę. Pisząc, zatrzymuje upływający czas, przekracza granice nieskończoności i podróżuje ku światom utkanym z metafor i symboli.

Nadanie T. Tranströmerowi tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Śląskiego było inicjatywą chwalebna i w pełni uzasadniona. Do grona znakomitości obdarzonych tym wyróżnieniem – w poprzednich dziesięcioleciach otrzymali je na śląskiej uczelni E.

Ionesco, J. Szajna, J. Derrida, T. Różewicz, S. Mrożek – dołączył we wrześniu 2014 r. szwedzki Poeta, laureat Nagrody Nobla, utalentowany pianista i kompozytor, pisarz, którego twórczość wyrasta z muzycznych i malarskich pasji i obejmuje refleksją wciąż nowe pola doznań. „To wspaniałe czuć, jak wiersz mój rośnie, a ja sam się kurczę” [...] pisał w wierszu „Poranne ptaki”.

Każde spotkanie z jego poezją jest kluczem do zrozumienia współczesnej szwedzkiej liryki przyrody i liryki refleksyjnej. Tranströmer potrafi połączyć różne wymiary czasu i spowodować, że człowiek stając się częścią jego magicznych krajobrazów, nie czuje się samotny i opuszczony; poszu-

kując kogoś, *innego, bliskiego, obcego*, odnajduje przestrzeń rozjaśnioną światłem dnia i kolorami budzącej się do życia natury. ■

¹ W delegacji Uniwersytetu Śląskiego uczestniczyli JM Rektor prof. zw. dr hab. Wiesław Banyś i Prorektor prof. zw. dr hab. Ryszard Koziół oraz dwaj dziekani, prof. zw. dr hab. Rafał Molenczyk i prof. zw. dr hab. Marian Kisiel, poza tym laudator prof. zw. dr hab. Józef Olejniczak i recenzenci prof. zw. dr hab. Grażyna Barbara Szewczyk i prof. dr hab. Leonard Neuger. Uniwersytet Jagielloński reprezentował JM Rektor prof. zw. dr hab. Wojciech Nowak, Dziekan Wydziału Filologicznego prof. zw. dr hab. Elżbieta Górka oraz laudatorka dr hab. Magdalena Wasilewska-Chmura.

² W spotkaniu uczestniczyli: panowie Dziekani R. Molenczyk i M. Kisiel, laudator J. Olejniczak, recenzenci i tłumacze M. Wasilewska-Chmura, L. Neuger, G. B. Szewczyk, tłumacz Andres Bodegård przekładający polską poezję na język szwedzki, Anna Tillgren reprezentująca wydawnictwo Alberta Bonniera i państwo Tranströmer.

³ 14.09. odbyły się wybory do parlamentu szwedzkiego.

Poranne ptaki

Budzę auto,
szyba pokryta jest pyłkiem kwiatowym.
Wkładam słoneczne okulary.
Pieśń ptaków ciemnieje.

W tym czasie jakiś człowiek kupuje gazetę
Na stacji kolejowej
w pobliżu wielkiego wagonu towarowego
który cały jest rudawy od rdzy
i połyskuje w słońcu.

Nie ma tu żadnego wolnego miejsca.
W poprzek wiosennego ciepła zimny korytarz
ktoś wychodzi spiesząc się
i opowiadając jak doniesiono na niego
aż do dyrektora.

Przez tylne drzwi krajobrazu
przeleciała sroka
czerń i biel. Ptak Heli.
I kos, który się wierci na wszystkie strony
aż wszystko stanie się rysunkiem malowanym węglem,
z wyjątkiem białych sukien na sznurku od bielizny:
Chór Palestrina:

Nie ma tu żadnego wolnego miejsca.

To wspaniałe czuć, jak wiersz mój rośnie,
A ja sam się kurczę.
Rośnie, zajmuje moje miejsce.
Przepędza mnie.
Wyrzuca mnie z gniazda.
Wiersz jest gotowy.

(Z tomu: T. TRANSTRÖMER: *Klanger och spår*,
przeł. G.B. SZEWCZYK)

Fasada

Na końcu drogi widzę władzę
A podobna jest do cebuli
z zachodzącymi na siebie twarzami,
które jedna po drugiej odpadają...

Teatry pustoszeją. Północ.
Litery migają na fasadach.
Tajemnica listów bez odpowiedzi
Opada z zimnym blaskiem.

(Z tomu: T. TRANSTRÖMER: *Den stora gåtan*,
przeł. G.B. SZEWCZYK)

Preludium

Przebudzenie jest jak skok spadochronowy ze snu.
Uwolniony z duszącego wiru podróżny
opada w kierunku zielonego pasa poranka.
Rzeczy rozpalają się. Jak zawisły pod niebem skowronek
rejestruje rozkołysane podziemne światła
potężnych systemów korzeniowych. Ale na ziemi
w tropikalnej obfitości stoi zieleń,
z podniesionymi ramionami, wsłuchując się
w rytm niewidocznej stacji pomp. A on
opada w kierunku lata, spuszczonej
w oślepiający krater, przez szyb z wilgotnej zieleni stuleci
dygocząc pod słoneczną turbiną. Wtedy podróż
w pionie zostaje na moment zatrzymana,
a skrzydła rozpościerają się
nad spływającą wodą, spoczynkiem rybitwy.
Niespokojny dźwięk lura
z epoki brązu
wisi nad przepaścią.

W pierwszych godzinach dnia świadomość obejmuje świat
jak ręka dotykająca kamienia nagrzanego słońcem.
Podróżny stoi pod drzewem. Czy po
skoku przez wir śmierci,
pojawi się nad jego głową światło?

(Z tomu: T. TRANSTRÖMER: *17 dikter*,
przeł. G.B. SZEWCZYK)



Lech Majewski

Dante odrodził się w Katowicach

DAGMARA DRZAZGA

Na ten wywiad umawiamy się w mieszkaniu Lecha Majewskiego na katowickiej Koszutce. Końcówka sierpnia, szósta wieczór. Majewski siedzi tyłem do okna, a ponieważ zapada zmierzch, jego twarz powoli staje się nieczytelna. Widzę jedynie coraz ciemniejszy zarys sylwetki. Odnoszę wrażenie, jakby rzeczywistość dawała znak, że przejdziemy do innego wymiaru, w którym materia ma tylko symboliczne znaczenie. Na wszelki wypadek kilka razy sprawdzam, czy działają dwa przyniesione przeze mnie dyktafony. Urządzenia pracują bez zarzutu.

– *Dante rinasce in Polonia, czyli Dante odrodził się w Polsce* – tak po włoskiej premierze twojego filmu *Onirica – Psie pole* napisała „Corriere della Sera”, największy dziennik włoski. Sparafrazuje ten tytuł i powiem, że *Dante odrodził się w Katowicach*. Brzmi nieprawdopodobnie, jednak ten renesans był tutaj możliwy. Jak do niego doszło?

– Moje filmy nie powstają z dnia na dzień, nie reaguję na rzeczywistość w sposób natychmiastowy, tematy długo we mnie doj-

rzewają. Z czasem następuje formuła gestacji i narodzin. *Psie pole* jest domknięciem tryptyku opartego o wizjonerskie dzieła wizualne. Z jego lewej strony widzę *Ogród rozkoszy ziemskich*, który do współczesnej rzeczywistości transponuje elementy z oryginalnego dzieła Hieronimusa Boscha pod tym samym tytułem. Centralny panel to *Młyn i krzyż* będący moim spotkaniem z Bruegelem, zaś *Onirica – Psie pole* jest prawym skrzydłem tego ołtarza.

– **W moim filmie *Świat według Bruegela* powiedziałaś, że zachwyciłeś się obrazami malarza w młodości, kiedy godzinami oglądałeś je w Kunsthistorisches Museum w Wiedniu. Otworzyły się wówczas pewne przestrzenie. Jak było w przypadku Dantego?**

– Dantego nie trzeba nawet czytać, żeby sporo o nim wiedzieć, bo on funkcjonuje bardzo intensywnie w kulturze europejskiej, podskórnie krąży w pracach innych artystów. Dante to gigant, jego cień kładzie się na całej Europie. Fenomenalne jest to, że istnieją dzieła sztuki w historii człowieka, które mają swoją własną grawita-

cję – ich materia literacka, wizualna, czy też architektoniczna jest tak gęsta, że tworzą ruch grawitacyjny wokół siebie. Mają mnóstwo planet, przechwytyują pomysły; idee krążą wokół nich, jak wokół słońca.

– **I „Boska komedia” jest właśnie taką gwiazdą?**

– Ma ogromną siłę! „Boska komedia” to gigantyczna liczba inspirowanych Dantem cytatów, odniesień, parafraz, alegorii we wszelkich dziedzinach sztuki. Dla mnie Dante jest też malarzem – tworzy niebywale intensywne, zagęszczone wizje. A ich natłok sprawił, że nie jeden malarz połamiał sobie pędzel lub rylce na próbie ich ilustracji. Przechodząc przez kolejne kręgi *inferno*, człowiek się – dosłownie! – przedziera przez obrazy. Obrazy, które ranią, kaleczą, przerażają. Nie na darmo Dante mówi na początku: „Wstąpiłem do ciemnego lasu”, bo przedziera się przez gąszcz, w którym niewiele widać. Gałęzie nagle wyskakują, ciernie rozrywają twarz. Mam fizyczne poczucie przechodzenia przez bolesną gęstość tych obrazów. W *Purgatorio*, czyli czyśćcu – trwa nieustanna wspi-

naczką na poszczególne poziomy, a następnie w *Paradiso* kosmiczna podróż, gdzie razem z duchem Beatrycze unosimy się przed oblicze Boga i doświadczamy „miłości, która porusza słońcem i gwiazdami”. To są wizje i one fascynują. Oczywiście, Dante jest poetą. Kiedy czytają go Włosi słyszą piękno muzyki dantejskiej frazy, która inspirowała polskich romantyków i bezustannie daje natchnienie wielu poetom XX wieku, takim jak np. Thomas Stearns Eliot. Niestłuchane, że Dante potrafił stworzyć taką muzykę słów!

– W twoim filmie pojawia się „Boska komedia” w oryginale. Znam poemat z polskiego przekładu, ale po włosku usłyszałam go po raz pierwszy. Zdałam sobie wówczas sprawę, jak głęboko zapadają nam w podświadomość te frazy. Jak to się stało, że oryginalne fragmenty dzieła znalazły się w *Psim polu*?

– Początkowo w czasie montażu używałem angielskich nagrań, bo wiedziałem, że film pójdzie w świat. Język angielski to *lingua latina* dzisiejszych czasów. Potem jednak pomyślałem, że jeśli już słuchać poematu w obcym języku, to może warto sięgnąć do oryginału. Tak się akurat złożyło, że Jarek Mikołajewski [poeta, pisarz, eseista i tłumacz – *przyp. D.D.*] miał swój wieczór poetycki w Instytucie Polskim w Rzymie i włoski aktor Massimiliano Cutrera czytał jego wiersze po włosku. Spodobał mi się głos aktora, więc poprosiłem, żeby mi przeczytał fragmenty poematu Dantego. Cutrera poszedł do studia, przysłał mi nagranie, które zrobiło na mnie piorunujące wrażenie, podobnie zresztą jak na tobie. Dokładnie to samo poczułem. Początkowo nie tłumaczyłem tych słów, bo dla mnie ważna była muzyka oryginału. Jednakże nawet Włosi w swoim kinie musieli Dantego przetłumaczyć, niejako uwspółcześnić, ponieważ poemat jest napisany w języku starowłoskim i dzisiaj już nie wszyscy go rozumieją.

– Włosi zatytułowali film *Onirica...*

– To słowo pojawia się u Dantego. Włosi długo myśleli nad tytułem i znaleźli taki klucz do filmu. Brzmi jak imię kobiece, a jednocześnie przywołuje stan zawieszenia sennego pomiędzy wizją a jawą.

– Wiem, że film był pokazywany we Włoszech z wielkim powodzeniem.

– W największych gazetach – „Corriere della Sera”, „Avvenire” i „La Repubblica” pojawiły się całostronicowe ogromne artykuły. „Corriere della Sera” nazwał film arcydziełem. „La Repubblica” stworzyła antologię wszystkich filmów inspirowanych „Boską komedią” i uznała, że *Onirica* najlepiej oddaje ducha Dantego. No, jeżeli takie słowa padają ze strony Włochów... Dante jest ich narodowym poetą, każde dziecko go zna, a tu nagle *Polacco* może coś takiego zrobić!

– Niedawno wróciłeś też z ITALIA DOC – najstarszego festiwalu pełnometrażowych filmów dokumentalnych we Włoszech. Na tym festiwalu przewodniczącymi jury byli kiedyś Pier Paolo Passolini, Michelangelo Antonioni i Luchino Visconti, a w tym roku był Lech Majewski.

– To pewnie pokazuje stopień zaufania do mnie. Tym bardziej że wszystkie filmy były po włosku, nie miały angielskich napisów.

– Uchonorowali cię także nagrodą!

– *Uhonorio una vita per le arti* – to nagroda za całokształt twórczości.

– Gratuluję!

– Grazie!

– Wróćmy do filmu. *Młyn i krzyż* powstał na kanwie obrazu Pietera Bruegela z 1564 roku, teraz cofnąłeś się do początku XIV wieku. Przerzuciłeś most, który łączy 700 lat...

– Jeden z włoskich dziennikarzy zauważył, że używam przewodników z przeszłości do opowiadania o teraźniejszości. Zapytał: „Czy zdaje pan sobie sprawę, że dokładnie to samo robił Dante? Aby opowiedzieć o Florencji sobie współczesnej, Dante użył Wergilego, żyjącego 1300 lat przed nim. Zastosowałem analogiczny zabieg, żeby opowiedzieć o Polsce, która – podobnie jak wówczas Florencja – jest podzielona. Rozłamy biegną w poprzek rodzin i pokoleń.

Florentyńczycy niszczyli siebie nawzajem, jak mało które inne miastopanstwo w owym czasie. Gwelfowie i Gibelini bezustannie walczyli, mordując się nawzajem. Gwelfowie podzielili się na Białych i Czarnych, którzy też zaczęli się zwalczać. Dante, nieodrodny syn Florencji, został skazany na śmierć, więc uciekł do Rawenny, gdzie znalazł schronienie u franciszkanów. I właśnie z tego bólu, odrzucenia i rozpacz powstała „Boska komedia”.

– Ale „Boska komedia” jest przecież utworem miłosnym!

– Na tym właśnie polega paradoks! To wielki poemat miłosny! Dodatkowo, jego bohaterką jest Beatrycze, z którą Dante nawet nie rozmawiał! Widował ją tylko w kościele.

– Może dlatego to uczucie było tak silne, bo było idealne, platoniczne?

– Dante ożenił się z Gemmą, Beatrycze wyszła za mąż za szlachcica Mone z drugiej strony rzeki i to właściwie koniec. Umarła bardzo młodo. Miłość Dantego nigdy nie była zrealizowana, nawet nie została wypowiedziana. Wszystko do czego doszło, to jedno pozdrowienie na ulicy, na odległość. Takie były czasy. Dziś bardzo trudno jest nam zrozumieć perspektywę emocjonalną ówczesnych ludzi. Byli inaczej uformowani.

– Odwiedziliście Muzeum Dantego?

– Tak, ale nie polecam nikomu, bo to pułapka turystyczna. Jest tam jednak jedna rzecz, która zrobiła na mnie wrażenie: na najwyższym piętrze wisi spory plakat. Zapisano na nim wszystkie 100 pieśni „Boskiej Komedii” w czytelnym dla oka druku. To jest niezwykle, że ktoś zawarł tak gigantyczną treść na tak małej powierzchni! Absolutny fenomen!

– Samym fenomenem jest także trójdzielna konstrukcja poematu: podzielony na trzy księgi, każda z nich zawiera 33 pieśni (+ 1 w *inferno*) i kończy się słowem gwiazda...

– Dziś już nikt nie potrafi tak pisać. Mało tego – uznalibyśmy to za zbyt dobre.

Kunszt, jako taki, został wysadzony w powietrze przez bezformie XX wieku. Nauczaliśmy się podziwiać koszmara, brud, marazm, błoto; wmawia się nam, że śmieci są sztuką. To w szerszym wymiarze odzwierciedla upadek człowieka. Dante by świetnie znalazł na to miejsce: jesteśmy w VII kręgu *inferno*. Tam się dzieją takie sceny.

– Zapewne dlatego wracasz do dawnych Mistrzów? Kiedy kręciłam *Świat według Bruegela* powiedziałeś mi, że często z nimi rozmawiasz. Ponoć mają więcej do powiedzenia niż żywi?

– Robiąc *Młyn i krzyż* miałem wrażenie, że jestem w stanie rozmawiać z Bruegelem. Dosłownie zadawałem pytania i po jakimś czasie słyszałem odpowiedzi. Oczywiście, może to być wytwór mojego umysłu, jednak te odpowiedzi przychodziły! Sądzę, że istnieje jakaś formuła komunikacji z przeszłością.

– Oglądając *Psie pole* czułam się tak, jakbym wchodziła do twojego życia. Wpuszczasz mnie jako widza bardzo głęboko, dotykasz największych swoich życiowych traum. Nie czuleś lęku, żeby opowiedzieć o tym publicznie? [Nawiązują tu do tragicznego wypadku samochodowego, w którym zginęli bliscy reżysera. On sam cudem ocalał – *przyp. D.D.*]

– Trudne pytanie. Artysta, który chce mówić prawdę, musi umieć mówić o swoim doświadczeniu życia. To *condicio sine qua non*. Nie kryję się w swoich filmach za czymś, co nie jest moje. Nawet jeżeli to Bruegel, Wojacek czy Basquiat odnalazłem coś, czym oni mnie obdarowali. Chciałem się z nimi spotkać i wykorzystałem do tego celu formułę filmu.

W *Pokoju saren, Krwi Poety*, czyli *Szklanych ustach* i w obecnym filmie jest bardzo dużo moich osobistych wizji. Opowiadam o swoim życiu wewnętrznym, bo szanuję widza i chcę mu dać coś, co mam najcenniejszego. Nie chcę go przyciskać, żeby się spał, roześmiał, podskoczył ze strachu. Nie interesuje mnie to, co Wojciech Has nazywał hydrauliką filmową – takim przyciskaniem różnych guzików i działaniem na człowieka, jak w doświadczeniach Pawłowa na psach. Zapraszam widza do rozmowy i to się sprawdza. Na pewno nie jest to oferta dla wszystkich. Sporo osób odrzuci taką formułę, bo jest dla nich niezrozumiała i niebezpieczna: proponuje rozmowę wewnętrzną. A ludzie nie chcą rozmawiać, chcą uciekać. Żyjemy w czasach, w których największe pieniądze zarabia się na ucieczce, szczególnie na ucieczce od samego siebie. Dlatego w wielu filmach jest ten ekstermalny pęd, który ma cię oddalić od własnego wnętrza. Płacisz za popcorn, colę i oglądanie pędzących pociągów czy eksplodujących ludzi. W momencie, kiedy ktoś zaczyna widza konfrontować, pojawia się niebezpieczeństwo. Na szczęście istnieją ludzie, którzy potrzebują dialogu. Do nich adresuję moje filmy – swoją pracę traktuję jak powołanie.

– Nie boli cię to?

– Mnie artyści pomogli swoją sztuką, moim ideałem jest również komuś pomóc. I to działa! Okazało się, że są ludzie,



ONIRICA – PSIE POLE, reż. Lech Majewski

Zdjęcia: Lech Majewski



którzy odbierają mój przekaz. Wiem, bo piszą do mnie maile, listy.

– **Czy robiąc ten film nie rozrywałeś blizn, które nosisz? Wszedłeś w swoje rany bardzo głęboko.**

– Nie musiałem wchodzić, wciąż tam jestem. To się cały czas dzieje we mnie. Te wszystkie warstwy współistnieją ze sobą, nie muszą specjalnie zakładać kesonu, żeby się w tę głębię opuścić i z przerażeniem się temu przyglądać. Byłem w objęciach śmierci i uważam, że to podstawowe doświadczenie mojego dojrzałego życia. Paradoksalnie nauczyłem się, że śmierć jest naszym największym przyjacielem.

– **Śmierć jest naszym największym przyjacielem?**

– Nie ma większego. Jest prawdziwa i nieunikniona. Potrafi przez to dobrze i mądrze doradzić. Jakby człowiek nie bał się śmierci, ale z nią rozmawiał, łatwiej by mu było podjąć wiele decyzji.

– **A jeśli śmierć zabiera nam najbliższych?**

– Sam fakt umierania bliskich jest oczywiście bolesny dla żyjących.

– **Powiedziałeś kiedyś, że po tym tragicznym wypadku uratowała cię sztuka. Co ocala twojego bohatera? On ucieka od sztuki, idzie do pracy w supermarkecie.**

– Jego życie całkowicie się załamuje, nagle cała literatura – wszystko, co wkładał przestaje mieć znaczenie. Na początku filmu przechodzi przez *inferno*, na końcu przez *paradiso*. Wkłada słuchawki i słucha Dantego.

– **To miłość go ratuje?**

– Jak mówi Dante.

– **Na ile bohater *Psięgo pola* jest twoim alter ego?**

– Wszyscy bohaterowie moich filmów – może poza Biggsem z *Więźnia Rio* – są w jakimś sensie mną. Nadałem im bardzo wiele własnych cech. Nawet jeśli to był Wojacek, czy Basquiat dużo indiosynkrazji przeszło do nich ode mnie.

– **W filmie jest więcej wątków autobiograficznych, na przykład ciotka iranijska grana przez Elżbietę Okupską.**

– Tak, to ważna postać dla mnie. Ona z kolei cytuję mnie z „Metafizyki”: „Nie wiadomo, kto umarł, a kto żyje, bo są ludzie, których pogrzebałam za życia”. Jedną z mądrzejszych wskazówek, które dostałem od śmierci jest to, jak ją rozumiemy. Czy tylko jako akt fizyczny? A ile myślimy osób psychicznie pogrzebali? Mnóstwo! Rodzice – dzieci, dzieci – rodziców, przyjaciół, kochanków! I jakoś nie rozpaczamy z tego powodu! Absolutna większość z nas nie ma pojęcia czym jest śmierć! Po mojej tragedii byłem w stanie wewnętrznej próżni, zawałił mi się świat! Po miesiącu szoku, w którym nie byłem w stanie powiedzieć słowa, zacząłem zasysać gigantyczne ilości książek. W obrębie jednego roku przyswoiłem ich więcej, niż w ciągu całego życia. A jednocześnie miałem dziwną świadomość spraw ostatecznych; co jest prawdą, a co nie. „Metafizyka” jest książką, która powstała z tych przemyśleń, pewnie „Hipnotyzer” też, ale przede wszystkim „Metafizyka”.

– **Jak pojawiały się wizje, które są w twoim filmie?**

– Przychodzą niezapowiedziane, jak wiersze. To jest pewna formuła poezji.

– **Widzisz film przed oczami zanim sięgniesz po kamerę?**

– Oczywiście, w dużej mierze. Wszystkie sceny w filmie to wizje, które już wcześniej widziałem. Kwestia niania je na nic narracyjną jest trochę wtórna. Nigdy nie wprowadziłem rzeczy obcej w stosunku do moich wewnętrznych wizji, dlatego nie jestem zainteresowany ilustrowaniem żadnej tezy. Pragnę uczciwie przekazać obrazy, które się tworzą, *vide orka wołami*. Namawiano mnie, żebym zrezygnował z tych wołów, bo już nigdzie na świecie woły nie chodzą w zaprzęgu. Wół, żeby pójść w zaprzęgu musi być kondycjonowany od maleńkości. Powiedziano mi, że jeżeli się upieram przy wołach, to musimy jechać do Chin, ponieważ jeszcze tylko tam są takie woły. Cały zastęp ludzi szukał wołów. Doprowadzałem ich do pasji – dlaczego woły, a nie konie pociągowe?

– **No właśnie, dlaczego?**

– Bo w oryginalnej wizji były woły. Nie miałem wyboru. Tak to widziałem. Ta wizja broni się sama. A potem pokazywałem film w National Gallery w Londynie i prestiżowa gazeta „Art Newspaper”, która pisze o wszystkich najważniejszych wydarzeniach na polu sztuki, w artykule na całą stronę jako niezapomniane zdjęcie dała moje woły orzące hipermarket. Nie wspomnę w ilu gazetach we Włoszech te woły chodzą! To jest obraz, który głęboko zapada ludzium pod czaszkę. Dlaczego zatem upierałem się przy wołach? Bo chciałem być uczciwy w stosunku do impulsu, który uformował wizję. Teraz – już na zimno – myślę, że woły są bardziej chthoniczne, pierwotne i bardziej przynależą do ziemi. Stąd diapazon pomiędzy współczesnym hipermarketem, a orką jako aktem pierwotnym jest pełniejszy, głębszy, gdy orzą woły, a nie konie. Człowiek osiodłał konia później niż zaprzął woły.

– **Rzeczywiście, to ujęcie „wcisła” w fotel. Jak powstawały efekty, które widzimy w twoim filmie?**

– Z budżetem, który miałem nawet bym nie śmiał marzyć, żeby robić takie efekty w Ameryce, czy gdziekolwiek na świecie. W Pakistanie, Indiach są wielkie farmy komputerowe. Tam nad jednym 30 sekundowym ujęciem pracuje trzy tysiące ludzi! Każdy bierze po klatce i robi efekt. Na szczęście mam w Polsce wspólnałych współpracowników, którzy są w stanie siedzieć nad filmem bardzo długo. Pracowałem zaledwie z kilkoma osobami, co było i czasochłonne, i pracochłonne. W tej dziedzinie mamy w Polsce wybitnych artystów. Mało kto wie, że większość gier komputerowych na świecie jest realizowanych przez polskich grafików komputerowych.

– **Sięgnąłś także do ludzi stąd, kiedy kręciłeś zdjęcia.**

– Jestem patriotą lokalnym, w wielu filmach wykorzystywałem potencjał Śląska: Siwczyk, Sikora, Skrzek, Okupska, Jędrusik... Na festiwalu w Kazimierzu podszedł do mnie prof. Braleczyk i powiedział, że *An-*

gelus jest jego kultowym filmem, bo odkrywa w śląskiej gwarze staropolskie rdzenie. To dlatego, że ci ludzie są naprawdę stąd...

– **Podobno po premierze Włosi zachwycali się Katowicami i pytali, gdzie leży takie piękne miasto?**

– Chcieli nawet przejeżdżać i zwiedzać. Mówili, że w tym filmie miasto jest pięknie sfotografowane i przez to magiczne.

– **Dlaczego zdecydowałeś się na katowicki nokturn?**

– Lubię noc i jej wybiórczość. Poza tym przypominam, że adaptowaliśmy Dantego. Tam panuje mrok, dopiero w końcówce pojawiają się światło i jasność.

– **Mrok panuje także w metafizycznych ilustracjach Gustawa Doré. Czy dlatego znalazły się w twoim filmie?**

– Tak, w moim odczuciu Doré najpełniej oddał klimat „Boskiej komedii”. A wielu malarzy na niej poległo, nawet sam Botticelli „połamał zęby” na Dantem. Botticelli miał boską, piękną linię, malował Wiosnę, Wenus, więc jak miał pokazać *inferno*? To mu się nie udało. Zważ, że umysły północne są bardziej predestynowane do tworzenia obrazów piekielnych, *vide* Hieronimus Bosch czy Peter Bruegel. Jak się przechodzi przez muzea, to świetnie widać – najstraszniejsze wizje ludzkich cierpień tworzą malarze z północy. Na południu zbyt jasno świeci słońce, aby przywoływać ponure rzeczy. Dante jest pewnego rodzaju wyjątkiem.

– **Mam przed sobą twój debiutancki tomik sprzed prawie czterdziestu lat. Pozwolisz, że zacytuję:**

To miasto

jak naga fala

pochłonięte nocą

Niesie twoje ciało w odblasku witryn

W świetle wilgotnych pachwin bram.

– **Zdumiewające! To jakbyś wówczas pisał o filmie *Onirica*...**

– Istnieje taka teoria, że człowiek jest genialny do dwudziestego trzeciego roku życia, potem albo rozwija swój geniusz, albo go niszczy. Właśnie wtedy ma miejsce wszystko, co najważniejsze. Wówczas jesteśmy najbardziej wrażliwi. Moje lata formatywne przypadły na Katowice, dlatego wracam tu jak bumerang. Miłosz zapewne miał to na myśli, gdy mówił o małej ojczyźnie i jej pejzażu wewnętrznym. Krążyć wokół Katowic całe życie, bo to moja kolebka.

– **Dziękuję za rozmowę. Ładna klamra nam się stworzyła.**

– Ona bezustannie istnieje.

DAGMARA DRZAZGA – reżyser wielu filmów dokumentalnych, wśród nich wyprodukowanego dla TVP2 *Świata według Bruegela* o realizacji *Mhyna i krzyża* Lecha Majewskiego. *Świat według Bruegela* otrzymał m.in. Prix Italia dla najlepszego dokumentu artystycznego w 2010 podczas tego najważniejszego i najstarszego (była to jego 62 edycja) festiwalu dokumentalnych filmów telewizyjnych na świecie.

KAROL MALISZEWSKI

Mitologia

Nie będzie zmiłowania. Z brzucha żony
wyjdą prządki, które tam zawsze były.
Zaraz, jak im po łacinie?
Znajomy aptekarz, klasycysta, wiedziałby.
Ostatnio już nie przychodzi na szachy.
Zaraz, jak właściwie długo?
Ile przeszłości jest w słowie „ostatnio”?

One wiedzą. Te, co w dzień cicho siedzą.
W nocy się odważają kruczyć w jej żołądku.
Nieraz nasłuchują. I myślę, kim jest byt
tuż obok. Jak bardzo przyłożony do rany,
którą jestem. Ten anioł zesłany.
Moja klacz trojańska. To właśnie dzieje się
za jej białą skórą.

I nie wiem, jak to wyłączyć.
Zrywam się spocony, roztrącam zasłony.
Zaczyna się liczenie ognisk i namiotów,
widać je na niebie. Czekają na znak,
na szczęk nożyc. Prządki wychodząc
z tej swojej mitologii, przechodzą
na naszą stronę, wracają do życia.

Travel

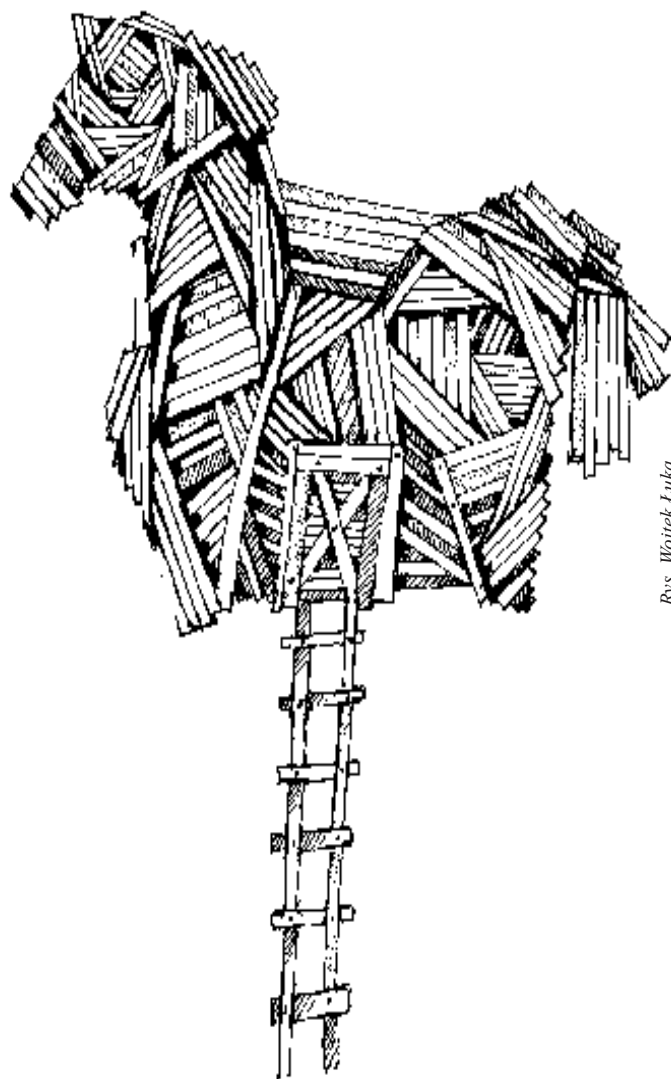
Praga, Wrocław, Władysławowo, Łądek-
Zdrój, kto to objedzie, równo
stawiając szlaczki i niezdołyte
przez mętną wodę wały;
potem czyjąś rękę poprowadzi woźny
(pani zastała, cucona w kanciapie
widzi modre kręgi).

Groupon Travel*
wpływa na rozwój: wierszyk z Wenecji
cuchnie w nadbagażu wodorostem, muszelką,
sarnim spojrzeniem kurtyzany.
Było się w galerii, wysułało euro,
strojąc miny pod ścianą.

Dobrze, że nikt
nie poprosił o esej, stosowny wyraz;
nie wiem, co to jest wszystko,
ale pozostało nietknięte, „gównem
przywieziono z powrotem”
wyrwało się celnikowi.

Panie, co pan,
to ryba, wypchałem se z nudów.

* lokowanie produktu, sorry



Rys. Wojtek Luka

Ciemnowidzenie

To po matce: księżycowy spazm
w biały dzień, nerwy łączą się z kosmosem
(zawraca krew) przez gliniane tabliczki,
korę uciekających drzew. Znowu jadę
między słowa i ich posepnych właścicieli.
Uśmiechnij się jeden z drugim,
kiedyś będziesz nominowany, poczujesz
jeszcze większą pustkę.

I wieże kościołów: zużyte ołówki
kreślące komuś plany na przyszłość;
jak czułki wbite w zwały chmur
przynoszą wiadomość – niczego tam nie ma,
rdzeń się wypalił.

Ale módlmy się dalej
rytmicznie, miarowo,
niczego lepszego nie wymyślono.

Na brzegu

Patyczaki na brzegu wielkiej
szyby. Klucz dzwoni i nie trafia.
Z donic wychylają głowy
kwiaty. Na stole niedopita ratafia.

Wszystko jak u starych mistrzów.
Tylko kielich poprawić dzwonkowi.
Załamać światło. Ale nie ręce.
Wielkie nic, wzięte z filozofii,

nie pasuje do ciepłego wnętrza.
Wyjeżdżający zostawili siebie
na fotografiach, włosach na ręczniku.
Mrówki na bezludnej wyspie (chlebie)

coś milcząc głoszą w nieznanym języku.
Tak stawać cicho na brzegu obrazu,
klucz w ręce obracać, ziemię poruszać;
sąsiedzi wyjechali w nocy

i pewnie już są u brzegów Anglii.
Z bezsenności i niemocy
zamykam okna, dokręcam krany.
Nasza ulica się wyludnia.

Wyjaśnienia

Ludzie mówią, że żyję tak,
jakbym nie zauważył śmierci
cioci Lali. Gówno prawda.

Kto wie, co kogo obeszło,
a co nie, co ugrzęzło
na zawsze; ta jedna oś więcej.

Po tylu pogrzebach masz
już w sobie cały szkielet
rybi. Ostatniego dnia

uniosła się na łokciach
i powiedziała: „no, teraz idźcie,
ja się muszę zająć sobą”.

I się zajęła.
Takie są nasze zajęcia.
Kto wie, co kogo dotknęło

i z jakim znamieniem chodzi
na policzku. Swojej twarzy
chwilowo nie będę okazywał.

Od A-do-B

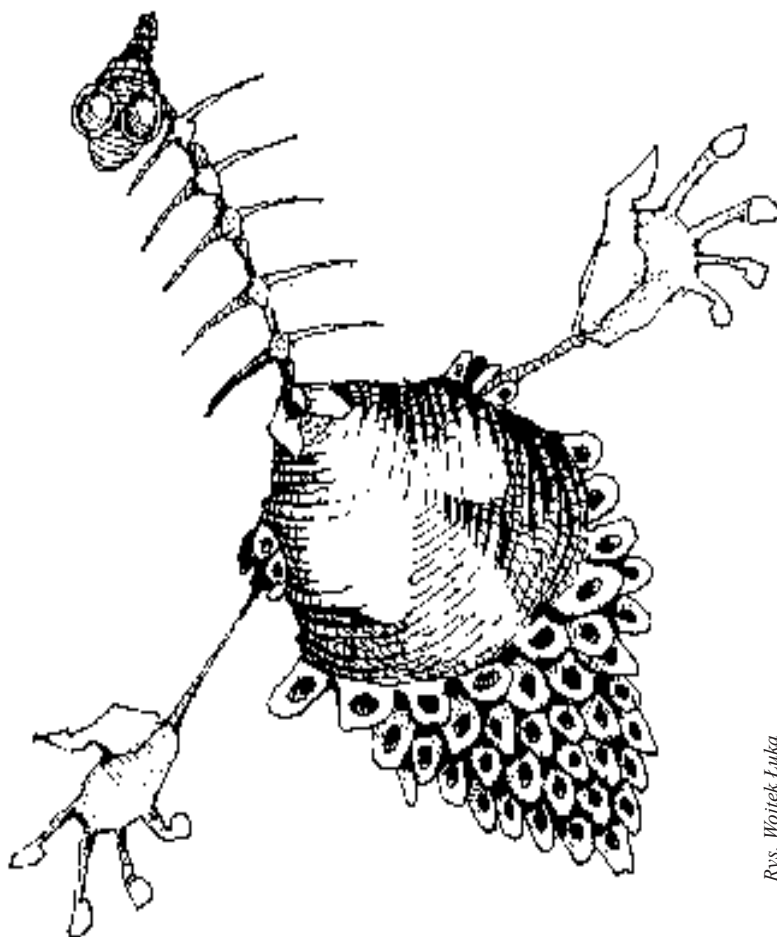
Odcinku prosty, w którym mijają się
pociągi; i wy, nagle okoliczności,
miny gapiów na ławkach,
o, twarze w przedziałach

dojrzewające do pytania;
nikt nie ma odwagi go zadać
po słowach staruszka spod okna
„gdy powinęła się noga,
dojrzeli do zagadnienia B
oga (zająknął się); więc

wy, wszyscy i wszystkie,
chciałbym doznać olśnienia w związku
albo bez związku, skoro zawiązki
zrozumienia obumarły z przymrozkiem

i została naga gałąź
drapiąca w gardle i sunącej szybie,
pchająca się do oczu, podająca się
za prawdę, niemy wyrzut.

O, prosty odcinku i ciche pociągi,
o, szczere pole bez okoliczności,
o, szkolny dzwonku roгатki przy torze:
widzę świetliste punkty, więcej się nie może.



Rys. Wojtek Łuka



Pod Bramą Brandenburską.

To było nowe miejsce dla Tadeusza Różewicza
w Berlinie roku 2004.

W Berlinie, na Salzufer...

MARIA DĘBICZ

Pod tym adresem: Am Salzufer 13/14, w dzielnicy Charlottenburg, w pomieszczeniach industrialnych fabryki włókienniczej znalazły siedzibę szkoła aktorska TransForm, założona w 1999 i, utworzony pięć lat później, Teatr Studio Am Salzufer. Założyłem szkoły i teatru był działający dużo wcześniej Międzynarodowy Warsztat Teatralny Berlin e.V.

Inicjatorką długofalowego projektu teatralnego była aktorka Janina Szarek, która wyemigrowała z Polski w 1981 roku. W Krakowie studiowała polonistykę na UJ i ukończyła wydział aktorski PWST. Grała w teatrach wrocławskich, odnosiła sukcesy na Festiwalach Jednego Aktora, współpracowała z radiem i telewizją. Ukoronowaniem jej pracy była świetna rola w spektaklu Teatru TV *Wariat i zakonnica* Witkacego w reżyserii Krystiana Lupy.

W Berlinie związała się ze środowiskiem intelektualistów i ludzi sztuki i wspólnie z profesorem Olavem Münzbergiem – urodzonym w Gliwicach poetą, eseistą i krytykiem sztuki – założyli szkołę, zatrudniającą polskich i niemieckich pedagogów, a potem scenę studyjną, grającą polską dra-

maturgię w języku niemieckim. Mówili, że ich teatr powstał z protestu przeciw rzeczywistości, w jakiej się znaleźli, że Niemcy niewiele wiedzą o kulturze polskiej, a oni będą starali się to zmienić.

Na inaugurację wybrali *Białe małżeństwo* i przekonali do swego pomysłu autora. Użytkali patronat burmistrza Berlina Klause Worweraite i ówczesnego ambasadora Polski Andrzeja Byrta. Inicjatywę docenili parlamentarzyści i niemieckie Ministerstwo Kultury. Tadeusz Różewicz i tłumacz sztuki Henryk Bereska zrzekli się honorariów autorskich i... 28 lutego 2004 roku Teatr Studio po raz pierwszy zaprosił publiczność. Autor obejrzał przedstawienie trochę później, we wrześniu. I został w Berlinie cały tydzień.

Tadeusz Różewicz znał Berlin długo. Był tu pierwszy raz zimą 1956 roku na uroczystościach 100-lecia śmierci poety Heinricha Heinego. Mieszkał wtedy w hotelu Adlon blisko Bramy Brandenburskiej. „Był to gmach jakby ucięty w pewnym miejscu nożem [...] dopiero potem dowiedziałem się, że to rzeczywiście kawałek ogromnego hotelu, który został częściowo zniszczony przez bomby. W na-

szym pokoju było bardzo zimno. Brak było opału.” Tak opisał hotel piętnaście lat później w *Sobowtórze*.

W 2004 roku, kiedy po prawie 50. latach, z Olavem Münzbergiem stanęli przed eleganckim Adlonem okazało się, że nie uda się wejść do holu recepcyjnego, ponieważ „przyjechał jakiś szejk z własną ochroną” i hotel jest niedostępny. „Zdjęcie pamiątkowe z ulicy, owszem, można...”, więc poeta ustawił się do zdjęcia.

„[...] pamiętam, że szedłem wzdłuż Unter den Linden w stronę Brandenburger Tor i Kancelarii Rzeszy, był tam teren pagórkowaty, gruzi pokryte śniegiem, brama była szara.” Wybrał się wtedy do domu towarowego na Alexander Platz, gdzie kupił jakiś drobiazg. Zwiedził muzeum, a wieczorem poszedł do teatru na *Kaukaskie kredowe koło* Brechta.

Wyglądało na to, że teraz miał ochotę odwiedzić te same miejsca. Przez minione półwiecze wiele razy był w Berlinie: na sympozjach, spotkaniach literackich, wieczorach autorskich, na premierach swoich sztuk, i miał tu stałe adresy. Na przykład Ravena na Haus na Bundesallee 36, gdzie mieszkał w latach osiemdziesiątych. Przypomniał sobie, że w 1988 roku w księgarni na Bundesallee nieoczekiwanie znalazł tomik swoich wierszy *Schattenspiele*, wydany w 1979, którego nie miał w domowej bibliotece.

Albo kamienica przy Scharnhorststrasse 8, gdzie wiele razy gościł w mieszkaniu na 4. piętrze u swego tłumacza i przyjaciela Henryka Bereski. A Mur widział z okna.

Albo hotel Unter den Linden na rogu z Friedrichstrasse, gdy przyjechał na niemiecką prapremierę *Pułapki* w 1985 roku. Hotelu już nie ma, zniknął w czasach przebudowy po zjednoczeniu Niemiec.

Poeta pamiętał, że w lokalu na Friedrichstrasse jego brat Janusz, zamordowany w listopadzie 1944 roku przez Gestapo, miał jesienią 1943 roku konspiracyjne spotkanie, które dr Halina Szwarcowa opisała we wspomnieniu, włączonym do książki *Nasz Starszy Brat*.

Teraz chciał przejść przez Bramę Brandenburską, by popatrzeć na Reichstag ze sławną kopułą Forstera. Zobaczył przed wejściem ogromną kolejkę turystów.

Na przełomie wieków Różewicz napisał wiersz *Der Zauberer Czarodziej*. Inspiracją było opakowanie w 1995 roku gmachu Reichstagu przez artystę Christo: „spowicie tysiącami metrów srebrzystej cudownej tkaniny”. Ale ten piękny obiekt stanowią w wierszu tylko punkt wyjścia, z którego poeta wyprowadził obrazy przeszłości: pożar Reichstagu w 1933 roku, palenie książek w Berlinie, hitleryzm, okrucieństwa wojny.

Czarodziej został włączony do scenariusza spektaklu poetyckiego *Nauka chodzenia*, który Teatr Studio przygotował z okazji przyjazdu poety. Stał się pierwszą częścią wieczoru autorskiego Tadeusza Różewicza i Henryka Bereski. Atmosferę tego wieczoru zapamiętali na długo wszyscy wtedy obecni. Obaj poeta i tłumacz nie kryli wzruszenia słuchając poezji w wykonaniu młodych artystów.

Rok później, we wrześniu 2005 roku, Henryk Bereska zmarł i ten piękny wieczór okazał się ich spotkaniem ostatnim. Tadeusz Różewicz pożegnał przyjaciela wierszem *Wrota śmierci*.

[...] „szczęśliwy kto umiera / we śnie / trzymany za rękę / przez Eurydykę / która jest śmiertelna / i płacze bo musi dalej / żyć sama.”

Minął następny rok. Teatr Studio zapraszał na kolejne premiery. Poeta myślał o ponownym spotkaniu i pisał list:

„Droga Pani Janino,
miło wspominam pobyt w Berlinie we wrześniu 2004 roku. Bardzo podobało mi się przedstawienie mojej sztuki „Białe małżeństwo”, które Pani reżyserowała. Było w nim nie tylko Pani doświadczenie teatralne, ale i niezwykła świeżość i energia młodych aktorów.

Cieszę się, że dzięki Teatrowi Am Salzuffer sztuka powróciła do Berlina znowu. Była wystawiana na długo przed zburzeniem Muru. Pozyskała Pani życzliwość i pomoc DAAD. To poważny, prestiżowy partner. Byłoby dobrze, gdyby udało się Pani kontynuować pracę nad współczesną dramaturgią.

Tak, jak mówiliśmy po premierze i potem we Wrocławiu, byłoby dobrze wystawić na wiosnę 2006 sztukę *Eine alte Frau brütert / Stara kobieta wysiaduje!*. Wiem, że Pani od dawna o tym myśli. Temat sztuki jest tak aktualny obecnie. Stara kobieta nie była dawno grana w Berlinie i w ogóle w całych Niemczech.

Jeśli już podejmie Pani trudny realizację, chętnie wezmę udział w końcowych próbach i potem – w dyskusji – po premierze. Życzę Pani powodzenia w pracy i serdecznie pozdrawiam z Wrocławia. Tadeusz Różewicz.”

Uważał, że Janina Szarek jest w dobrym wieku fizycznie i psychicznie, by zagrać tytułową rolę... „Może się jeszcze spotkać ze sobą młodą. W *Starej kobiecie* jest wszystko: początek trzeciej wojny światowej, globalny śmietnik, hormony, 68 rok i „dzieci kwiaty”. To kopalnia, w której ona grzebie. Można dużo zrobić wewnątrz tekstu.” Zaczął proponować rozwiązania inscenizacyjne.

Nie czekał długo. W styczniu 2007 roku na Salzuffer odbyła się premiera sztuki. W roli głównej wystąpiła, obsadzona



Foto. Maria Dębicz

Przy grobie Bertolda Brechta.

przez Autora, Janina – reżyserka spektaklu. Wokół niej młodzi aktorzy.

Przedstawienie zostało dobrze przyjęte i od razu wyruszyło w tournée: do Frankfurtu, Lipska, Hamburga, a także do Polski: do Gdyni i Krakowa. Autor obejrzał je z nagrania na płycie CD.

Planował podróż, umawiał się nawet z Albrechtem Lemppem, szefem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej w Warszawie, z którym od czasu Targów Książki Frankfurt 2000 pozostawał w przyjaźni. Fundacja finansowała premierę *Starej kobiety*, więc obaj powinni byli spektakl obejrzeć niejako służbowo. Ale poeta przekładał terminy, potem zaczęły się mnożyć przeszkody, również natury zdrowotnej.

Berlin powracał w rozmowach, wspomnieniach. Poeta rozmyślał o napisaniu poematu o Murze. W szufladzie jego biurka została pocztówka – fotografia Muru w 1989 roku...

A na Salzuffer pracowano intensywnie. Teatr przez dziesięciolecie dał trzydzieści premier, TransForm Schauspielschule wykształciła sporą grupę aktorów, którzy pracują w wielu teatrach, także berlińskich, a niektórzy, jak Karolina Łodyga [Paulina w *Białym małżeństwie*] zrobili karierę filmową. Na Salzuffer stale coś się dzieje. Prowadzą warsztaty dla adeptów, organizują spotkania literackie i promocje książek, prezentacje filmów [tu odbyła się ber-

lińska premiera polskiego dokumentu *Gliwickie lata Tadeusza Różewicza*], zapraszają na gościnne występy polskie zespoły teatralne.

Gdy dotarła do nich wiadomość o śmierci Tadeusza Różewicza, spontanicznie postanowili do dotychczasowej nazwy Teatru dodać: Tadeusz Różewicz Bühne Berlin. Teraz pełna nazwa brzmi:

Teatr Studio Am Salzuffer / Tadeusz Różewicz Bühne Berlin.

Pod tym szyldem obchodzili jubileusz 10-lecia. Naturalnie dając nową premierę – spektakl *Anioły i świnię w Berlinie* – na podstawie prozy Brygidy Helbig, mieszkającej w Berlinie pisarki dwukrotnie w 2012 i 2014 nominowanej do Nagrody NIKE. Brawurowo zagrane i zaśpiewane przedstawienie studentów pod kierunkiem Janiny Szarek. Zdążyli je już pokazać publiczności w Szczecinie.

A na spotkaniu popremierowym przywołała pamięć o Tadeuszu Różewiczu. Mówili, że już planują kolejną Różewiczowską premierę. Gdyby Poeta mógł zobaczyć tych utalentowanych, serdecznych młodych aktorów, stojących w kręgu razem z reżyserką Janiną Szarek z Jego wielką fotografią na tle Bramy Brandenburskiej.

W czerwcu 2014 roku, na Salzuffer... pod ostatnim berlińskim adresem Tadeusza Różewicza.

Foto. Maria Dębicz

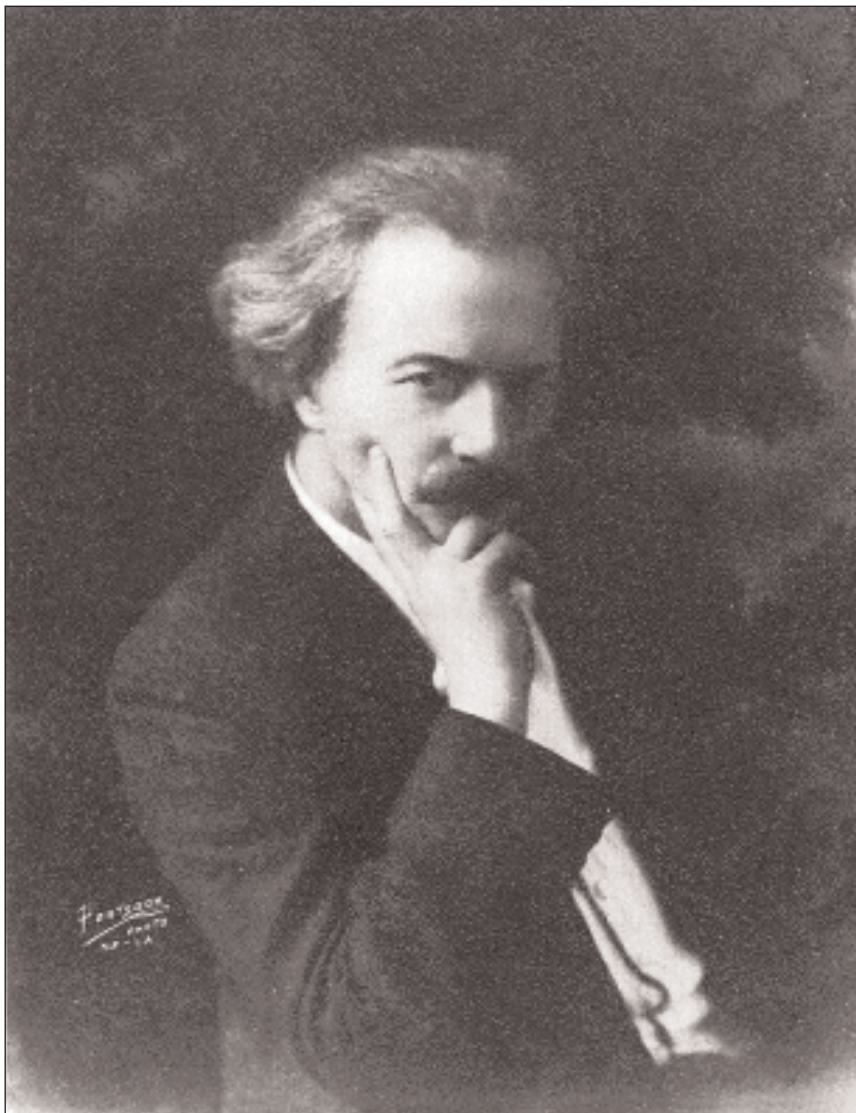


Z Janiną Szarek.



Foto. Maria Dębicz

Tadeusz Różewicz specjalnie ustawił się na tle billboardu wystawy MOMA z Nowego Jorku, która była w 2004 roku hitem Berlina i przed Galeria stały non stop ogromne kolejki. Wtedy był po raz ostatni w Berlinie.



Paderewski w październiku 1924. Zdjęcie pochodzi z publikacji: Marian Marek Drozdowski, „Paderewski zarys biografii politycznej”, wydanie trzecie poprawione i rozszerzone, Wydawnictwo Interpress 1986.

Do Katowic Paderewski po raz pierwszy zawitał 27 października 1901 roku. Tego dnia w niedzielę, „o 6 popołudniu”, w Sali koncertowej „Reichshalle” przy Karlstrasse 2 (obecnie Filharmonii Śląskiej im. Henryka Mikołaja Góreckiego) wystąpił z recitalem fortepianowym.

HENRYK SZCZEPAŃSKI

Paderewski w Katowicach

Lato 1901 roku Paderewski spędził w jednej ze swoich posiadłości w Kańskiej Dolnej nieopodal galicyjskich Ciężkowic. Bawił tam wraz z drugą żoną Heleną, córką warszawskiego barona Rosena i rodowitej Greczynki. Należała do piękności o śródziemnomorskiej urodzie. Poślubił ją półtora roku wcześniej. Była od niego o kilka lat starsza, bardzo opiekuńcza ale i władcza.

Z sielskiego zakątka robili wypadki do Lwowa i Krakowa, gdzie odbywały się premierowe przedstawienia „Manru” – jego jedynej romantycznej opery opartej na motywach, wtedy szalenie popularnej „Chaty za wsią” Kraszewskiego.

Ignacy i Helena, oboje już po czterdziestce, siadywali w dworskim saloniku i czytali entuzjastyczne recenzje publikowane na łamach europejskich czasopism.

W drodze do Katowic

Gdy Paderewscy wypoczywali w Kańskiej, angielski impresario Wiliam Adlington współpracujący wówczas ze słynną agenturą koncertową Hermana Wolffa z Berlina, zaproponował pianście długą trasę po cesarstwach Habsburgów i Hohenzollernów – czyli po całej centralnej Europie a następnie po Hiszpanii i Portugalii. Projektował ją od września do końca października 1901 roku – na 6 tygodni złotej europejskiej jesieni. Wiodła przez miasta słynące z wrażliwej i wymagającej publiczności muzycznej. Niebawem, maestro Paderewskiego uchodzącego już za „króla pianistów” oklaskiwano m.in. w: Dreźnie, Norymberdze, Monachium, Wiedniu, Budapeszcie, Pradze, Karlsruhe, Kolonii, Wrocławiu i Katowicach, do których przybywał na specjalne zaproszenie tutejszego stowarzyszenia śpiewaczego.

Do Katowic Paderewski po raz pierwszy w życiu zawitał 27 października 1901 roku. Tego dnia w niedzielę, „o 6 popołudniu”, w Sali koncertowej „Reichshalle” przy Karlstrasse 2 (obecnie: Filharmonii Śląskiej im. Henryka Mikołaja Góreckiego) wystąpił z recitalem fortepianowym. Jeszcze poprzedniego wieczora koncertował we Wrocławiu, w gmachu Starej Giełdy przy Krupniczej. Jego imponujące tournée po Niemczech i Austrii, rozmiarami i tempem przypominało 10 lat wcześniej zorganizowany, słynny amerykański maraton koncertowy zaaranżowany przez Williama Steinwaya, menadżera i sławnego producenta

fortepianów, po którym polski pianista trafił do czołówki najbogatszych ludzi świata.

Na zaproszenie Singverein

Życie artystyczne małych wówczas – bo 31 tysięcy mieszkańców mających Katowic – budził do pierwszego życia znakomity, zasłużony i do dziś przez Niemców ceniony muzyk niemiecki prof. Oskar Meister, założyciel pierwszego i do dziś istniejącego Gesangvereinu jego imienia. Była to postać Niemca o wielkim charakterze, zapatrzona w wielkie kulturalne posłannictwo muzyki niemieckiej, której służył nie oglądając się na tych, którzy z pracy jego czynić chcieli i później uczynili broń przeciw budzącemu się z wiekowego letargu duchowi narodowemu ludu śląskiego. Tenże Oskar Meister, nie bacząc na pochodzenie polskie Ignacego Paderewskiego zaprosił wielkiego artystę na występ do Katowic.” – w 1935 roku, z okazji 75. urodzin „króla pianistów” wspominał Stefan Marian Stoiński, pierwszy dyrektor Instytutu Muzycznego i Opery Śląskiej w międzywojennych Katowicach.

O powitaniu światowej sławy muzyka i kompozytora na peronie katowickiego dworca krążyły plotki i anegdoty kolportowane przez lokalną prasę. Jego przybycia oczekiwało kilku członków zarządu niemieckiego stowarzyszenia śpiewaczego. W drzwiach pulmanowskiego sleepingu pojawił się ze swoją nieodłączną laseczką, z jaką u schyłku XIX stulecia występowali artyści krakowskiej i wiedeńskiej bohemy. Gdy wyszedł z pociągu przywitali go w języku niemieckim. Paderewski spokojnie wysłuchał i grzecznie zapytał po polsku:

„Dobrze, ale czy nie ma tu Polaków?”

Wtedy spośród delegatów wystąpił Stanislaus Rzakowski, nauczyciel polskiego pochodzenia i wszystko powtórzył w języku znakomitego gościa. Riposta artysty zbulwersowała katowickich hakatystów i niemieckie salony towarzyskie, natomiast nie bez satysfakcji cytowano ją w kręgu patriotów stających w obronie polskości Śląska. „Kattowitzer Zeitung”, ironicznie, z typowym dla siebie poczuciem wyższości, notatkę tytułowała „Der stolze Ignazi” („Dumny Ignasz”) a mimochodem o zdarzeniu wspomniał polskojęzyczny „Katolik”.

Recital Paderewskiego w największej Sali koncertowej Katowic nie

był występem promowanym przez prasę. Jego zapowiedź nie trafiła nawet na afisze zwyczajowo naklejane na miejscowych Litfaßsäuleach przez Ślązaków nazywanych litfasami albo słupami ogłoszeniowymi; znajdowały się w pobliżu starostwa, magistratu i dworca. „Kattowitzer Zeitung” – najważniejsza gazeta powiatu – zamieściła zaledwie lakoniczny inserat, za którego publikację zapłacił prof. Oskar Meister, prezes i założyciel istniejącego od ponad ćwierć stulecia, stowarzyszenia pieśniarskiego o nazwie „Meistersche Gesangverein”.

Z cudem ocalonego historycznego egzemplarza programu dowiadujemy się, że maestro Paderewski grał na koncertowym Steinwayu a z pamiętników mistrza, że zasiadał na pa-

ryskim krześle Erarda, jedynym, na którym czuł się „wygodnie i swobodnie”. Jego występ poprzedziły dwa utwory wykonane à capella przez chór mieszany pod kierunkiem prof. Oskara Meistersa, cenionego w Niemczech chórmistrza, absolwenta konserwatorium berlińskiego, organisty w ewangelickim kościele Zmartwychwstania Pańskiego w Katowicach i założyciela pierwszego w mieście Instytutu Muzycznego. Był postacią dostojną i tajemniczą. Należał do mężczyzn wysokich i doskonale zbudowanych. Długie włosy, obfita broda, orli nos, roziskrzone spojrzenie i wielki fin de siècle’owy kapelusz nie pozwalały wątpić, że identyfikuje się z artystyczną cyganią przelomu stuleci.

Singverein in Kattowitz.
Leitung: Professor Oskar Meister.

Sonntag, den 27 October 1901, 8 Uhr abends im Saale der Reichshalle

CONCERT
unter Mitwirkung des Herrn
Ignaz Paderewski
aus Warschau.

PROGRAMM.

1. **Chöre für gemischte Stimmen a cappella.**
 - a) Crucifixus (offiziell) M. Feltz 187-1708.
 - b) Polnisch-orthodoxen (Zeremonie) op. 60 Max Bruch.
2. **Prälium und Fuge A-cappella für Klavier** Chopin.
3. **Sonate op. 57 (Appassionata) für Klavier** Beethoven.
4. **Chöre für vier gemischte Stimmen a cappella:**
 - a) Magnificat, op. 67 R. Schumann.
 - b) Abendglocken, op. 27, III }
 - c) Frühlingsschönheit, op. 27, IV } E. Schubert.
5. a) **Serenade** } für Klavier Schubert-Litg.
b) **Grillenig** } für Klavier
6. a) **Ballade As-dur** } für Klavier Chopin.
b) **Andenken**, op. 25, No. 8 u. 9 }
c) **Nocturne H-dur**, op. 62 }
d) **Polonaise**, op. 53 }
7. **Chöre für vier gemischte Stimmen a cappella:**
 - a) **Chorpsalm** }
 - b) **Süßes Lied** } op. 61 Feltz.
8. **Klavierstücke**
 - a) **Nocturne B-dur** Fr. Schubert.
 - b) **Wolger „Man lebt nur einmal“** Strauß-Comp.
 - c) **Waldstück** Feltz.

Concertbügel: Steinway & Sons, New York und Hamburg.

Das Buffet ist während des ganzen Concerts geschlossen.
Nach-Beim des Concerts werden die Saalbügel nur größtentheils den einzelnen
Zuhörern geöffnet.

Repertuar koncertu Ignacego Jana Paderewskiego z 27 października 1901 roku.

Najpierw niemieccy chórzyci śpiewali późnobarokowy „Crucifixus”, włoskiego kompozytora Antonio Lottiego a potem „Palmsonntag morgen” Maxa Brucha op. 60 – jedna z pieśni na Niedzielę Palmową, ze słowami Eduarda Mörke’a. Potem przy fortepianie zasiadł maestro Paderewski i zaprezentował kolejne utwory zapowiedzianego repertuaru.

We wtorkowym wydaniu „Kattowitzer Zeitung” z dnia 29 października 1901 ukazała się relacja. „Sala była przepelniona (zum Erdrücken volles Haus)”. Reporter zauważył „wiele gości zamieszkowych m.in. prezydenta rejencji z Opola”. W kilku zdaniach przypominał życiorys artystyczny Paderewskiego. Epatował czytelników kwotą 700 tysięcy marek, jaką pianista otrzymał za tournée po Ameryce oraz honorarium 2 tysiące marek jakie mu wręczono za występ katowicki – wtedy, dla Ślązaka były to sumy fantastyczne i szokujące.

Popenił też kilka zdań merytorycznej recenzji ganiącej Paderewskiego za zbyt szybkie tempo ostatniej części „Appassionaty” Beethovena, za częste używanie pedału, a także za niedokładności techniczne. Niemieckiemu recenzentowi nie podobała się kompozycja Paderewskiego „Nocturno B-dur”. Była „zbyt smutna, zbyt słowiańska i działała deprymująco”. Krytyk pochwalił go natomiast za „zdrowe plastyczne ujęcie” interpretacji utworów Bacha, a w samych superlatywach rozpiął się na temat wykonania dzieł Chopina, podkreślając, że „takich tonów nigdy tu przedtem nie słyszano”.

Brak zapowiedzi i relacji w polskojęzycznej prasie prowincji opolskiej skłania do przypuszczenia, że liczne zastępy polskich chórzystów Katowic i okolicznych miejscowości nie okłaskiwały popisów swego rodaka, choć sprawozdawca popularnej „Katowicerkki” zauważył „że przybyło wiele słuchaczy z pobliskiego Zagłębia, leżącego wówczas za granicą wilhelmińskiej Rzeszy.” Stoiński napomyka, że na koncercie był obecny młody Wojciech Korfanty. Miał wtedy 27 lat. Redagował artykuły polemiczne i sprawozdania dla poczytnej na Śląsku – „Pracy”. O recitalu Paderewskiego milczy także dr Max Knappe, autor publikacji poświęconej półwieczu życia muzycznego w Katowicach, wymieniający ponad 20 innych artystów goszczących w sali koncertowej przy Karlstrasse. Polaków na Górnym Śląsku, wielkoduszny Paderewski niezmiennie darzył sentymentem i życzliwością. W kilka miesięcy później, podczas zagranicznej kwesty na rzecz Czytelnia Ludowej w Katowicach, był jednym z najhojniejszych darczyńców, o czym dono-

siła „Gazeta Robotnicza”, organ śląskich socjalistów.

Po występach dystyngowany prof. Oskar Meister i jego chórzyci, swego kolegę muzyka zaprosili na kolację do niedawno wybudowanego „Grand Hotelu”. Toasty wznoszono „Reńskim” i „Węgrzynem”. Staś Rządowski przeczytał tekst z najnowszego wydania „Kuriera Warszawskiego”, który znajomi przywieźli popołudniowym pociągiem ze stolicy Królestwa Polskiego. Zapowiadano tam otwarcie nowego gmachu Filharmonii:

„Za dziesięć dni po raz pierwszy we frakach, białych krawatach, toaletach wieczorowych, z miną salonowców, idących na recepcję do olimpijskich bogiń, będziemy wstępować w prog nowo przybytku sztuki, oświetlonego a giorno, w którym wśród konstelacji orkiestry symfonicznej zabłyśnie Orion – Paderewski.”

Z Katowic mag klawiatury – bożyszczce melomanów pojechał pociągiem do Poznania, a 5 listopada zagrał podczas inauguracji działalności warszawskiej Filharmonii, której szefem był wtedy legendarny dyrygent Emil Młynarski. Jeszcze tego samego wieczora, po koncercie, Orion uczestniczył w niezwykle uroczystym przyjęciu zorganizowanym przez barona Leopolda Kronenberga, warszawskiego finansistę i współdziałowca Filharmonii, wydanym w jego pałacu z okazji 41 urodzin maestra. Pod adresem jubilita sypały się komplementy. Przypominano, że oczarował melomanów nad Sekwaną, którzy nazwali go „Lwem Paryża”, a nad Tamizą, po recitalu w Windsorze, angielska królowa Wiktoria zauważyła: „Gra tak precudnie, z taką siłą wyrazu i głębokim uczuciem.” W 1884., w Zakopanem oczarował Helenę Modrzejewską, wtedy 44 lat liczącą amazonkę dosiadającą konia i jeżdżącą po Krupówkach. Patrząc na rudowłosego młodzieńca miała wrażenie, że „Przy fortepianie głowa Paderewskiego w aureoli złotych włosów i delikatne, niemal kobiece rysy sprawiały wrażenie jakiegoś anioła Botticellego albo Fra Angelica.”

Wiele lat później

Pogodne tygodnie złotej europejskiej jesieni 1924 roku państwo Paderewscy spędzali nad jeziorem Lemaskim, u stóp Alp szwajcarskich. Tam od ponad ćwierćwiecza mieli pałacyk z rozległym ogrodem. Nazywał się Riond-Bosson. Leżał w pobliżu miasteczka Morges, w kantonie Vaud ze stolicą w Lozannie. Tutaj w bliskości miejsc upamiętnionych polską narodową tradycją, zawsze bezpartyjny ekspremier rządu odrodzonej Rzeczpo-

spolitej odzyskiwał spokój nerwów i ducha.

Po trudnym 1919 roku przewodniczenia radzie ministrów i mediowania pomiędzy skłóconymi frakcjami partyjno-parlamentarnymi, które prowadziły coś w rodzaju „walki kotów na klawiaturze”, postanowił ostatecznie zerwać z polityką i sporami o władzę. Profilaktycznie na dwa lata przyjął obowiązki stałego przedstawiciela Polski w Lidze Narodów. Potem usunął się w cień propagandowej areny i przeniósł nad brzegi błękitnego Lemanu coraz częściej nazywanego Jeziorem Genewskim. Działalność artystyczną wznowił dopiero w 1922 roku, odbywając kolejne tournées po USA.

W domu Paderewskiego zawsze roiło się od gości, przyjaciół, krewnych i znajomych a przede wszystkim od ptaków. Maestro kolekcjonował papugi. Miał kilkadziesiąt ze wszystkich zakątków świata. Często towarzyszyły mu w podróży artystycznych. Ulubięncami pani premierowej były rasowe kury i gołębie. Te drugie przybyłszy siedziały na ramionach i radośnie gruchały do ucha. Kurnik pani Paderewskiej był znany w całym świecie. Fermę i jej piękną właścicielkę nagradzano medalami na europejskich i amerykańskich wystawach drobiu. Osobliwego kolorytu tego zakątka dopełniała psiarnia – czworonogów było kilkanaście a każdy innej rasy.

W atmosferze skandalu

W październiku 1924 roku, z Katowic do rezydencji Riond-Bosson przybył Wojciech Korfanty, wtedy poseł Chrześcijańskiej Demokracji do parlamentu Rzeczypospolitej Polskiej, a przedtem od października do grudnia 1923 wicepremier w rządzie Wincentego Witosa. W Księżce Gości, obok nazwiska katowiczana zachował się wpis: „Zawsze wierny i zawsze oddany wielkiemu mięzowi i odnowicielowi Polski, wdzięczny za miłe chwile spędzone w Morges”

We wrześniu w Katowicach otworzył własne, nowoczesne, największe w Polsce – wydawnictwo prasowe a z datą 27 tego miesiąca, wydrukował pierwszy numer codziennego pisma informacyjnego – „Polonia”. W niespełna miesiąc później, od Paderewskiego, byłego prezesa rady ministrów i sygnatariusza Traktatu Wersalskiego, za pieniądze niemieckich przemysłowców kupił warszawską drukarnię, wydawnictwo, tytuł i redakcję dziennika „Rzeczpospolita”.

Nieufność i podejrzania zaczęły osnuwać Korfantego latem 1924 roku, gdy po Warszawie rozeszły się pogłoski na temat jego nadużyć podatko-

wych w Zakładach Hohenlohego na Górnym Śląsku. Jako przedstawiciel rządu polskiego był tam członkiem rady nadzorczej, ale zamiast dbać o polskie interesy przymykał oko na różnego rodzaju machlojki niemieckich przemysłowców. Wychodząca w Katowicach „Gazeta Robotnicza”, w wydaniu z dnia 15 lipca 1924 roku, nawiązując do malwersacji, domniemywała, że musi z nią być związany Górnośląski Związek Przemysłowców Górniczo-Hutniczych:

Poufny protokół Antoniego Olszewskiego, członka zaufania wielkiego polskiego Kapitału, byłego ministra Handlu i Przemysłu, posła nadzwyczajnego i ministra pełnomocnego RP, oparty na raportach Oddziału Wywiadowczego Ministerstwa Skarbu brzmiał „jak romans kryminalny”. Wśród wstępnie sformułowanych znalazły się zarzuty o przywłaszczenie wartości materialnych a także o współpracę z kapitałem niemieckim. Pod koniec lata nad głową Korfante go skłębiły się jeszcze ciemniejsze chmury. Oskarżano go o spełnianie usług powierniczych na zlecenie Berg- und Hüttenmännischer Verein – Związku Przemysłowców Górniczo-Hutniczych, którego zarząd miał siedzibę w pałacu Goldsteinów przy katowickim placu Wolności. Prym wiedli tam niemieccy menadżerowie mniej lub bardziej jawnie, sprzyjający swoim dawniejszym berlińskim decydom. Afera dotyczyła głównie tajnych subwencji jakie Niemcy wypłacili Korfante mu w zamian za obietnicę publikowania materiałów prasowych dyktowanych przez sponsorów i promujących ich oferty gospodarce. Z tych sum zakupiono warszawski dziennik „Rzeczpospolita”, dokładano do budowy katowickiej „Polonii” jak i do edycji kolejnych wydań obydwu czasopism Korfante go.

Zaniepokojenie ogarnęło elity władzy i ówczesną ekipę rządową. Marszałek Sejmu Maciej Rataj, w swoich „Pamiętnikach” zanotował: „Premier Grabski bardzo zaferowany, że Korfante mu przybył nowy organ do walki z rządem; powiedział mi, że utwierdza się w przeświadczeniu, że Korfante jest finansowany przez niemieckich przemysłowców z Górnego Śląska”.

Jeszcze nie przypuszczał, jak bardzo jego hipoteza odpowiada prawdzie.

11 września 1924 roku Wojciech Korfante pisał do Ignacego Paderewskiego:

„P. dr Orłowski razem z tym listem wręczy Panu Prezydentowi umowę, którą z nim na dniu dzisiejszym zawarłem jako z Pańskim zastępcą prawnym w sprawie sprzedaży drukarni i „Rzeczpospolitej”. Podjąłem się tej sprawy z olbrzymim materialnym wysiłkiem – a rzeczą to niełatwą wobec braku pieniędzy w Polsce – a uczyni-

łem to przeważnie ze względu na moje zainteresowanie rozwojem ekonomicznym Kraju i aby przyczynić się do odrodzenia Polski w duchu wielkich ideałów JWielm. Pana Prezydenta. Dołożę wszystkich starań, aby „Rzeczpospolita” stała się prawdziwą wyrazicielką potrzeb i dążeń ginącej ekonomicznie Ojczyzny naszej, a równocześnie stała się organem politycznym, z którym by się liczone, a który by i Pan Prezydent z przyjemnością brał w rękę jako najlepszy polityczny dziennik polski z poważnie prowadzonym działem ekonomicznym i przemysłowym, jako dziennik, który bez blagi i niesmacznych komunałów, z męską uczciwością do JWielm. Pana jako do wielkiego męża stanu odnosić się będzie”.

W liście do byłego premiera słynącego ze szczodrych datków na cele patriotyczne, Korfante mu nie zabrakło gabinetowych frazesów ale skrętnie „ukrywał rzecz najbardziej wstydlivą i kompromitującą” – pieniądze na kupno „Rzeczpospolitej” i Drukarni Polskiej (w sumie ponad 2 mln zł) pochodzący z kont specjalnych GZPG-H” (Górnośląskiego Związku Przemysłowców Górniczo-Hutniczych).

Zakulisowych sekretów tego i wcześniejszych układów nie udało się utrzymać w tajemnicy. W Korfante go jako nowego właściciela RP zwątpili nawet jego partyjni koledzy z Chrześcijańskiej Demokracji. 5 października 1924 Korfante zażył się Paderewskiemu: „nawet ks. Kaczyński operował przeciwko mnie oszczerstwami, jakoby był skompromitowany w sprawie Hohenlohego. Żałuję mocno, że w ogóle wdałem w tę rzecz, bo uwikłałem mnie w kabałę, która mi wiele nieprzyjemności sprawia. Cała ta sprawa z «Rzeczpospolitą» narobiła mi bardzo wiele przykrości i naraziła mnie na niepotrzebne wydatki. Intencje miałem dobre, chciałem służyć sprawie, nie osiągnąłem celu swego, ale wspólnymi siłami razem z bliskimi przyjaciółmi stworzę sobie i naszym ideom nowy organ w Warszawie”.

Transakcja została sfinalizowana 21 października 1924 roku. 4 dni wcześniej Korfante odwiedził Riond-Bosson. Być może wtedy zaprosił legendarnego Polaka do Katowic. Ostatni numer „Rzeczpospolitej” zredagowany przez poprzedniego naczelnego, Stanisława Strońskiego ukazał się z datą 23 października 1924. Następnie inkwirował już Korfante.

Przez Wiedeń do Katowic

W czwartek, 20 listopada 1924 Ignacy Paderewski w towarzystwie żony Heleny i jej sekretarki pan-

ny Lüpke, ze szwajcarskiego Morges via Wiedeń przyjechał pociągiem do Katowic. Mijała godzina 9.40 przed południem, gdy wagony słynnej „Wiedunki” zмирzającej do Warszawy, po wiadukcie nad ulicą św. Jana wtoczyły się na wysokie perony neoklasykistycznego katowickiego dworca.

W honorowych sektorach ustawili się „przedstawiciele władz z p. wojewodą Bilskim na czele, przedstawiciele miasta z prezydentem Piechulkiem, posłowie z posłem Korfante mu, przedstawiciele wielkiego przemysłu, instytucji i stowarzyszeń. Stanęli Hallerczycy, którym w swoim czasie patronował we Francji, ze sztandarem, panie z kwiatami, kolejarze, orkiestra, jeszcze sztandary i wkrótce urósł tłum i powstał ścisk.” – relacjonowała ukazująca się od niecałych dwu miesięcy – korfantowska „Polonia” – jedyne medium mające dostęp do wszystkich szczegółów programu tej wizyty, której głównym reżyserem (żeby nie powiedzieć bohaterem) był właściciel tego czasopisma.

Nie podpisany autor obszernego wstępniaka zapewniał, że przyjazd Paderewskiego do Katowic „jest całkiem incognito, chwilową przerwą w uciążliwej podróży z Szwajcarii na uroczystość w Poznaniu”.

Wciąż drukowana gotycką frakturą „Kattowitzer Zeitung” tego dnia zamieściła krótką notkę, w której przypominała, że maestro Paderewski, na zaproszenie prof. Oskara Meistersa, koncertował w Katowicach w 1901 roku, „Wyrażał się z uznaniem na temat chóru niemieckich śpiewaków” a w liście przesłanym w kilka dni po wyjeździe oceniał jego „osiągnięcia jako znakomite”.

Gdy na stację wjeżdżała lokomotywa tłum zaintonował „Rotę” Konopnickiej. Panowie zdjęli czapki i kapelusze. W oknie pulmanowskiego slingu ukazała się głowa słynnego wirtuoza i byłego premiera rządu RP. Przed drzwiami wagonu, w kilku zdaniach gościa powitał Jan Piechulek, przewodniczący Rady Miejskiej Katowic.

Najpierw był bankiet

W jednym z kolejnych akapitów „Polonia” informuje: „Na uroczystym bankiecie wydanym przez Radę Miejską na cześć Państwa Paderewskich, byli obecni: wojewoda Bilski, prezes Rady Miejskiej, p. Piechulek, prezydent miasta, dr Górnik, prezes Korfante mu, prezes Sądu Apel., dr Bocheński, wiceprezes Dyr. Kolej., Wilczek, starosta dr Dąbrowski...” i kilkunastu innych, których nie sposób tutaj wymienić.

Oczywiście były przemówienia, ale już o toastach a nawet o miejscu prominentnego spotkania czasopismo milczy. Do dziś krążą na ten temat różne opinie. „Kattowitzer Zeitung”, w sobotnim wydaniu z 24 listopada tamtego roku, twierdzi, że odbyło się w ekskluzywnej restauracji hotelu „Monopol” a wszędobylski i wszystkowiedzący krakowski „Ilustrowany Kurier Codzienny” (z dnia 22 listopada 1924), podaje, że notable „miód i wino” pili „w apartamentach Skarbofermu” a więc w dyrekcji największej polsko-francuskiej spółki węglowej mieszczącej się wówczas w Królewskiej Hucie (obecnie: Chorzowie) przy ulicy Katowickiej 13. Wojciech Korfanty, w radzie Nadzorczej Skarbofermu piastował godność prezesa.

Potem był późny obiad

Po kilku godzinach przemówień i wystawnego przyjęcia w „Monopolu” czy też w Skarbofermie „pp. Paderewscy o g. 6 popołudniu udali się na obiad w kółku ściślejszym w domu posła Korfanteo.” Znajdował się przy ulicy Powstańców 23 (wtedy: 41). Tam w dawnej willi Paula Frantziocha wystylizowanej na okazały podmiejski landhaus nakryty czerwoną dachówką, o ścianach wienionych pruskim murem i ukryty za wysokim parkanem z żelaza i czerwonej cegły, gospodarz wygłosił toast powitalny, zacytowany przez „Polonię”:

„Dumny jestem – mówił – i szczęśliwy czuje się Śląsk cały z tej wizyty największego z żyjących Polaków, męża, któremu odrodzenie Ojczyzny i zjednoczenie jej ziem zawdzięczamy. Nie wypada nam łączyć Jego tak drogiej nam wizyty z jakąkolwiek polityką, lecz godzi się w jego obecności zaznaczyć, że się nasz kraj dźwiga jednak i że w umysłach zwrot ku lepszemu – coraz widoczniejszy. (...)”.

Paderewski do krasomówstwa miał słabość nie mniejszą niż do fortepianu. Na toast odpowiedział jeszcze dłuższą przemową i powinszowaniem.

Powinniśmy wszyscy jak Polska szeroka i długa, zrozumieć, że aczkolwiek wojna orężna już minęła, to jednak nie skończyła się walka, walka trwa i trwać będzie, tylko przeniesiona na inne pole, na pole pracy, i wre ona zacięta, zawzięta, nieustannie, skutecznie, tuż obok. W tej walce tylko ten zwycięży, kto więcej pracować będzie. Nikt tego snadniej, lepiej zrozumieć nie zdoła, niżli te pułki prastarych naszych „Bartków Zwycięzców”, nikt tego lepiej odczuć nie potrafi, jak ten pracowity, dzielny,

i dziwnie dojrzały lud śląski. Lecz powinniśmy i musimy z drugiej strony zrozumieć, że jeżeli dziś dzięki łasce Boga, dzięki wytrwałości, dzielności i patryjotyzmowi śląskiego ludu przy światłem, mądrym kierownictwie Wojciecha Korfanteo ta część Polski jest polską, to jest obowiązkiem Polaków wszystkich i każdego z osobna postępować i zachowywać się wobec współobywateli naszych obcej krwi.

Obszerny fragment tej mowy opublikowała także „Myśl narodowa” – tygodnik polityczno-społeczny z dnia 29 listopada 1924 roku. Wizytę Paderewskiego w Katowicach i Poznaniu relacjonowały również inne czasopisma a wśród nich – raczej zdawkowo i tylko o wystąpieniach podczas porannego bankietu – „Kattowitzer Zeitung”.

Na temat menu, dań głównych, trunków i deserów nie mamy żadnych wiadomości.

Gwoździem programu uczyty u Korfantych była uroczysta dekoracja „Mieczami Hallerowskimi”, pamiątkową odznaką przyznaną żołnierzom Armii Polskiej we Francji przez Związek Hallerczyków, dla których Paderewski był sztandarową postacią. Emaliowana, wykonana ze srebrzonego tombaku miała kształt sporego rombu z czerwonym obramowaniem. Jej awers zdobił orzeł z rozpostartymi skrzydłami. Miał złote szpony, złotą koronę na głowie i złoty krzyż na piersi. Nad nim ponad czerwoną ramkę wystawały 2 skrzyżowane miecze o złotych rękojeściach i klin-gach. Z inicjatywy Korfanteo, jako mocno spóźniona pamiątka – w 6 lat po zakończeniu wojny i w 5 po podpisaniu przez Paderewskiego, słynnego traktatu w Wersalu, ozdobiły kłapy garnituru byłego premiera a także wytworną suknię jego małżonki. Na prośbę gospodarza, w roli dekoratora wystąpił generał Dywizji Kazimierz Horoszkiewicz, Jowialny starszy pan z dostojną łysiną, który brak włosów na głowie rekompensował sobie sarmackim i starannie wyczesa-nym wąsem.

Raut z niespodziankami

Listopad 1924 roku należał do umiarkowanie pochmurnych. Spadała temperatura i prószyło śniegiem. Gdy kolejne gromadki gości przybywały do willi Korfanteo przy Powstańców, od czasu do czasu, na roziskrzonym gwiazdnym niebie, pojawiał się brylujący księżyc. Z eleganckich samochodów wychodzili panowie w czarnych frakach a damy

w kosztownych futrach i wytwornych toaletach.

Pierwszą niespodzianką nocnego przyjęcia była „delegacja czterech górnoślązaczek w strojach ludowych”. W imieniu Towarzystwa Polek wręczyły Paderewskiemu „bukiet z napisem na szarfie: «Wiernemu Synowi Ojczyzny i Orędownikowi Śląska». Po krótkim przemówieniu Paderewski pocałował w czoło rozrzewnioną do łez delegatkę.”

Tego wieczora nie mogło zabraknąć muzyki i śpiewu. Jako solistka, wystąpiła primadonna operetki warszawskiej, filuterna i urodziwa Loda Rogińska, przypadkowo wraz z grupą aktorów stołecznego teatru „Papuga” bawiąca na tournée po Śląsku. Na finał, pod batutą Henryka Nicze, popularnego prezentera śląskich pieśni, znanego z katowickiej anteny radiowej, zaśpiewali chórzyci z Kolejowego Kółka Śpiewaczego w Katowicach.

„Paderewski bił pierwszy głośnie oklaski a wokalistom składał osobiste podziękowania.” „Raut przeciągnął się do godziny I poczem pp. Paderewscy udali się na spoczynek” informował reporter „Polonii”.

Pociąg wyruszył z I peronu

Noc i piątkowe przedpołudnie państwo Paderewscy spędzili w apartamentach Korfanteo. Do dyspozycji mieli sypialnię z widokiem na zielone tuje i modrzewie jego ogrodu. Gdy słońce znalazło się w zenicie maestro pociągiem wyruszył do Poznania, gdzie w niedzielę, na tamtejszym Uniwersytecie otrzymał dyplom doktora honoris causa. Gdy opuszczał katowicki dworzec, w kościele Mariackim i protokatedrze św. apostołów Piotra i Pawła dzwony śpiewały na „Anioł Pański”.

W Katowicach, była to ostatnia wizyta wielkiego maga muzyki i wybitnej osobowości salonów politycznych świata. Intrygującym i nieco plotkarskim echem odbiła się jeszcze na łamach krakowskiego „IKC” z 27 listopada 1924 roku:

„W kołach sejmowych rozeszła się dziś pogłoska, iż z pewnych stron jest lansowana kandydatura Paderewskiego na posła polskiego w Waszyngtonie. Według tych pogłosek inicjatorem tej kandydatury ma być jakoby poseł Korfanty.”

P.S.

Za pomoc w pracochłonnych i odkrywczych kwerendach autor składa podziękowania dr Barbarze Maresz z Biblioteki Śląskiej.

• Seriale, seriale...

Od wielu lat jesteśmy świadkami ekspansji seriali telewizyjnych, często tasiemcowych, z wydumaną i całkowicie nieralną fabułą, z bohaterami tak odległymi od codziennych zdarzeń, że przypominają przybyszy z innej galaktyki. Wszelkie standardy w tym zakresie wyznacza indyjskie Bollywood, choć mało kto wie, że Hindusom depczą po piętach filmowcy z afrykańskiej Nigerii. Kluczem do zrozumienia takich obrazów jest miłość. Dwoje młodych ludzi zakochuje się w sobie. On z kasty czy rodziny bardzo zamożnej, ona z grupy biedaków i rodziny pariasów. Bywa też odwrotnie, choć to sytuacja nader rzadka. Oczywiście rodziny są przeciwne takiemu związkowi i jednoznacznie go potępiają. Ale nawet wtedy gdy wszystko zmierza do szczęśliwego finału okazuje się, że zakochani to brat i siostra z poprzednich związków. A kazirodztwa nikt doprawdy nie pochwała. Zwłaszcza w XXI stuleciu. Niezwykle ciekawe jest też zachowanie innych bohaterów serialowych, zarówno krajowych, jak i zagranicznych. Bohaterki sequeli wstają z łóżka z nieskazitelnym makijażem, a długie ich rzęsy bez trudu mogą przebić powierzchnię ekranu. Panowie są pięknie ogoleni, cudni po prostu, bezustannie piją kolorowe drinki, nigdy nie pracują, pozostają beczelnie bogaci i uczestniczą w niekończących się intrygach rodzinnych i miłosnych. Obrazy z takimi heroicznymi postaciami zobaczyć można zarówno w kinach, jak i w niezliczonych stacjach telewizyjnych. Niektóre z nich pokazują wyłącznie takie obrazy, ciesząc się wyłączeniem zdeklarowanej klienteli.

• „Ranczo”, „M jak miłość”, „Na Wspólnej” i inne

W ten filmowy trend wpisuje się, zachowując wszelkie proporcje, zarówno polska telewizja i ta publiczna, i ta komercyjna, jak i rodzima kinematografia. Na ekranach zobaczyć można dziesiątki seriali oraz ich kinowe interpretacje. Tysiące, ba, miliony widzów śledzą losy serialowych bohaterek i bohaterów, przeżywają ich codzienne sukcesy czy niepowodzenia. Czasem śmierć sequelowej bohaterki traktowana jest zupełnie na serio, a przykład Hanki Mostowiak jest



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik
spóźnionego przybysza

W starym polskim kinie

znakomitym tutaj przykładem. Małgorzata Kożuchowska grająca tę rolę w serialu M jak miłość umiera na tętniaka mózgu, aktywowanego przez wypadek samochodowy. Bardzo często widzowie utożsamiają rolę aktorską z życiem codziennym, mieszają je, i traktują śmierć na wizji dokładnie tak samo jak w rzeczywistości, czyli w realu. Socjologowie wiedzą, że powodzenie seriali jest nieprzypadkowe i całkiem racjonalnie można je wytłumaczyć. Otóż dla wielu rodaków rzeczywistość filmowa uwalnia ich, przynajmniej na chwilę, od codziennych problemów i udręk. Uczestniczą tym samym w zdarzeniach wprawdzie nierealnych, ale kataraktycznych i poprawiających samopoczucie. Prawdę mówiąc sam z zainteresowaniem śledzę losy bohaterów ławeczki z serialu Ranczo, nieśpiesznie popijających pospolite wino owocowe, rozważających w wioskowy sposób problemy egzystencjalne. Jest to obraz pociągający tym bardziej, że

na sprzęcie ulokowanym przed serialowym sklepem zasiada sam Franciszek Pieczka, wybitny aktor ze śląskim rodowodem.

• Powrót do przeszłości i zaproszenie

Nikt z rozsądnych widzów i obserwatorów serialowych zadrzeń nie kwestionuje potrzeby emitowania kolejnych ich odcinków, nawet fantasmagoryjnych i bez żadnych związków ze społeczną rzeczywistością. Mają one zdeklarowanych, czasem bezkrytycznych, wielbicieli. Jednak powinnością filmowych instytucji publicznych staje się powrót do przeszłości i pokazywanie filmowej klasyki, trudniejszej w odbiorze, o nieschematycznej fabule i zmuszających do pogłębionej refleksji. Dlatego z zainteresowaniem i zaangażowaniem śledzę inicjatywę Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej przywracającej pamięć o rodzimej kinematografii. Chodzi o Akademię Polskiego Filmu zapraszającej do oglądania ponad stu rodzimych obrazów, poczynając od niemych inscenizacji, a na nowszych dziełach kończąc. 14 października 2014 roku, o 16.00, w tymskim Paśazu Kultury Andromeda, w samym środku kultowego Placu Baczyńskiego, ruszy pierwsza edycja Akademii, całkowicie bezpłatna, skupiająca miłośników X Muzy. Widzowie zobaczą obrazy Andrzeja Wajdy, Janusza Morgensterna, Andrzeja Munka, Wojciecha Hasa, Jerzego Kawalerowicza czy respektowanego na Górnym Śląsku – Kazimierza Kutza. W żadnym przypadku kameralne projekcje nie konkurują z serialowym światem, ale pokazują jego filmową alternatywę i dopełnienie jednocześnie. Kluczową w tym zakresie zasługę ma Krakowska Akademia imienia Andrzeja Frycza Modrzewskiego, która w Tychach ulokowała swój Wydział Zamiejscowy. Patronat nad przedsięwzięciem objął Urząd Miasta Tychy, zapraszający widzów na pokazy kolejnych obrazów. Są one otwarte zarówno dla wyrafinowanych znawców polskiego filmu, jak i dla osób początkujących w tym zakresie. Każdą emisję poprzedzi słowo wygłoszone przez niekwestionowane autorytety sztuki filmowej. A to w okresie cywilizacji tabloidalnej trudne jest naprawdę do przecenienia.



Dlaczego chodnik nie lubi polityki?

– Mysłowice to... – proszę dokończyć.
– ... jedno z ogniw potężnej aglomeracji śląskiej, miasto nie tylko z bogatą historią i charakterem, który tworzą mieszkańcy, ale znaczącym wkładem w rozwój naszego regionu, coraz atrakcyjniejsze miejsce na mapie Śląska i Zagłębia, dla mnie – piąta strona świata. Mysłowice przeszły wszystkie etapy transformacji samorządowej i okazały się miastem bardzo dobrze zorganizowanym. Mamy przecież nieźle uporządkowaną, po różnych przemianach, oświatę, służbę zdrowia.
– Ale także wszystkie problemy, jakie spadły na region. Dzisiaj kluczowe pytanie brzmi, jak zapłacić lukę, która powstaje po przemyśle ciężkim? Ta sprawa dotyka niemal każdego śląskiego miasta. Od Gliwic po Zawiercie.
– To prawda. Każdy samorząd boryka się z dużymi kłopotami. U nas największy pro-

blem stanowią tereny po kopalni Mysłowice. Jak je zagospodarować? Kiedy kopalnia funkcjonowała i miała zatrudnienie na poziomie kilku tysięcy ludzi, żył cały rejon miasta. Dzisiaj ten rejon zamiera, pustoszeje, przestaje działać.

– Tworzą się śląskie poindustrialne getta, strefy zastoju i biedy. Brzydsza twarz naszego regionu.

– Sprawa jest o tyle trudna, że są to tereny Skarbu Państwa, którymi – w przypadku naszego miasta – zarządza Katowicki Holding Węglowy. Problem musi być więc rozstrzygany na różnych szczeblach. I takie rozmowy prowadzimy. Jest też i druga strona tego medalu – miasto ma z obszarów górniczych dochód do budżetu w postaci podatku. W chwili ich przejścia straci te wpływy i weźmie na siebie wszystko, co się tam dzieje, a dzieje się bardzo dużo niedobrego.

– W czym więc Mysłowice upatrują swoich szans?

– W równomiernym rozwoju i współpracy z samorządami sąsiednich gmin. Mamy porozumienie z Sosnowcem i Jaworzniem na rozwiązywanie dwóch najważniejszych spraw: rewitalizacji terenów przemysłowych, w tym po kopalni Mysłowice, oraz budowy wschodniej części DTŚ. Chodzi zatem o takie przebudowanie gospodarki naszego miasta i układu komunikacyjnego, by powstały nowoczesne strefy biznesu i wygodne drogi dojazdu do tych stref.

Takie rozwiązanie daje szansę zaktywizowania tych terenów i pozyskania, być może, strategicznego inwestora, który – jeśli ma lokować kapitał – to w coś, co jest pewne. Nawet najbogatszy nie pozwoli sobie przecież na wyrzucanie pieniędzy. Jak podejdziesz do tego holding, trudno mi teraz powiedzieć.

– To niezwykle ważna sprawa – powiązanie interesów na styku Skarbu Państwa i samorządu.

– Mam nadzieję, że holding też będzie miał pomysł na zagospodarowanie zdegradowanych obszarów. Być może znajdzie strategicznego inwestora. Bo przecież holdingowi potrzebne są pieniądze. Wiemy doskonale, jaka jest sytuacja naszego górnictwa.

– Kapitał lubi przejrzystość i przychodzi tam, gdzie jest sprzyjający klimat dla rozwoju biznesu.

– I taki klimat tworzymy w naszym mieście, bo wiemy, że bez niego nie przyciągniemy inwestorów. To wielki atut, a do tego mamy atrakcyjnie położone tereny, które będą dobrze połączone z ogólnopolską siecią komunikacyjną, sąsiedztwo autostrady A-4 i trasy S-1, szlak kolejowy biegnący przez miasto, a także nieodległy lotniska w Pyrzowicach i Balicach. To zwiększa atrakcyjność Mysłowic, jako miejsca inwestowania.

– Strefa biznesu powinna mieć nowoczesny, reindustrializacyjny charakter. Czy działania podejmowane z sąsiadami idą w tym kierunku?

– Najnowocześniejsze technologie, zaangażowanie nauki i wysoko wykwalifikowanych kadr, usługi i tzw. lekki przemysł. Tak, jeśli inwestować, to we wszystko, co jest innowacyjne i konkurencyjne. Ten teren, jak mało, który nadaje się do tego. Więcej – może być nawet nowym centrum miasta, może zmienić oblicze Mysłowic. To nie jest wykluczone. Najkrócej trwa budowa, najdłużej badania i przygotowanie dokumentacji. I na tym etapie teraz jesteśmy.

– Samorząd ma zapewniony wkład własny na rewitalizację zniszczonych terenów?

– Na ten etap prac, który teraz realizujemy – tak. Między innymi na projektowanie DTŚ. Martwi mnie jedna rzecz, że jeżeli samorządy będą musiały dźwigać ciężar niedofinansowania tzw. zadań zleconych, to boję się, a takie zdanie ma wielu prezydentów miast, że nie będą w stanie zabezpieczyć środków na inwestycje. Nawet tych 15 proc., gdzie pozostałe 85 proc. można pozyskać z zewnątrz. To największe za-

groźenie dla naszego regionu. Miasta mają ogromnie dużo zdegradowanych terenów. One nie pracują, trzeba je utrzymywać i w nie inwestować. Żadnego samorządu nie stać na samodzielne zagospodarowanie takich obszarów.

– **Gminy osiągnęły pewien poziom dochodów. Uraczyliśmy się nowymi ulicami, chodnikami, aquaparkami i hipermarketami, które stały się swoistym symbolem polskich przemian. Co dalej? Czy nie wpadniemy w pułapkę średniego rozwoju?**

– Jeżeli nie będzie pomysłu na wspólny i spójny układ rządowo-samorządowy, taki w pełnym tego słowa znaczeniu, to czkawki dozna nawet największa gmina. Miasta nie będą się rozwijać. Mysłowice znalazły się w dość specyficznej sytuacji – słabo wykorzystaliśmy poprzedni okres rozdania unijnego. Kiedy więc w innych miastach nie myśli się już o chodnikach i drogach, my zaczynamy to robić. U nas były inne priorytety, choćby budowa kanalizacji, ale nie odbudowano dróg, bo projekty tego nie przewidywały. Teraz musimy stare pogodzić z nowym.

– **Gminy, co zapewne dostrzeżają pan z perspektywy wieloletniej działalności samorządowej, przestały być dostawcą podstawowych usług. Stały przed nowymi wyzwaniami: edukacja, wspieranie przedsiębiorczości, rozwinięta pomoc społeczna. Starzeje się społeczeństwo. Przed tym nie ucieknę żaden, nawet najbogatszy, samorząd.**

– Nie ma innych możliwości, jak stawianie spraw szkolnictwa, służby zdrowia, czy pomocy społecznej wysoko w hierarchii działań samorządu. Oczywiście, miasto musi wiedzieć, do jakiej granicy może pomóc. Swego czasu podjęliśmy próbę transformacji szkolnictwa i dość mądrze ułożyliśmy jego strukturę w naszym mieście, co nie było sprawą łatwą.

Na wysokim poziomie mamy szkoły podstawowe, gimnazjalne i średnie. Mówią o tym wyniki i pozycje zajmowane w rankingach. Wiem, że młodzież chce iść do dużego miasta, bo tam więcej atrakcji, więcej różnych możliwości, ale u nas bezpieczniej, u nas spokojniej, u nas wspaniali nauczyciele z dużą wiedzą. Wszędzie zachęcam młodzież, żeby uczyła się w naszych szkołach.

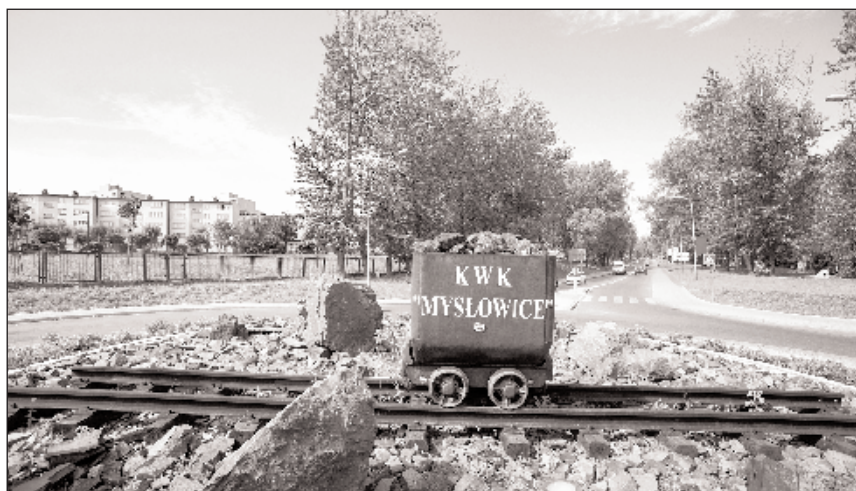
– **Według badania CBOS, co czwarty uczeń szkoły średniej uważa, że należy do straconego pokolenia. Bo bezrobocie wśród młodych, bo brak perspektyw.**

– To poważny problem. Tworzymy nowe miejsca pracy, ale wszystkich spraw ludzi młodych samorząd nie jest w stanie rozwiązać. To wymaga wielkiego, ogólnopolskiego programu.

– **Region ma niekorzystne saldo migracji i ujemny przyrost naturalny. A Mysłowice?**

– Udało się nam te zjawiska częściowo zatrzymać. Wielu mieszkańców aglomeracji wybiera Mysłowice, jako miejsce swojego zamieszkania – stąd wszędzie blisko.

– **Z rankingu firmy Curulis, która współpracuje z samorządami, wynika, że**



Już niedługo jedynym śladem po zlikwidowanej kopalni Mysłowice zostanie obelisk z wagonikiem z węglem na Rondzie im. Górników KWK Mysłowice...

najszybciej w ostatnich czterech latach rozwijały się mniejsze polskie miasta. Duże nasyciły się już efektami rozwoju?

– Mają swoją określoną wielkość i chyba zaczynają docierać do pewnej granicy wzrostu gospodarczego. Teraz, jak w przypadku Śląska i Zagłębia, sprawą jest tworzenie metropolii. Nie ma innych możliwości. Tylko jak i gdzie zbudować metropole, kiedy są tak duże różnice w rozwoju miast naszego regionu. Jeżeli chcemy mówić choćby o metropolii katowickiej, to jakiej wielkości? Tak samo gliwickiej, zagłębiowskiej. A co z południem regionu? O tym należy rozmawiać. Potrzeba wielu zmian, także prawnych. Zza biurka metropolii się nie wymyśli.

– **Mówi pan o metropoliach, nie o metropolii?**

– Tak, bo są zaszczości historyczne, różnice gospodarcze, kulturowe, które przemawiają za tym, by powstało ich kilka. W wielu europejskich krajach regiony mają metropolie. Z małym nikt nie będzie rozmawiał, małe zawsze pozostanie małe. Natomiast będzie liczył się z tym, kto zajmuje znaczącą pozycję w sferze biznesu, nauki, kultury. Metropolie dają możliwość pozyskiwania większych środków, rozwiązywania problemów w szerszy sposób. To wymóg naszych czasów.

– **Tendencje odśrodkowe są u nas póki co silniejsze niż integracyjne.**

– Bo jak każdą sprawę, powinno się to dobrze przemyśleć. Trzeba też te wygórowane, niczym nie uzasadnione ambicje pohamować i schować głęboko. Owszem, ambicje trzeba mieć, ale do tworzenia czegoś większego, z dobrym skutkiem dla własnej gminy i regionu. Zatem wspólne działanie, a nie robota na zasadzie, kto komu więcej wyrwie. Wyrwać należy jak najwięcej dla całości, dla całego regionu. To trudne, ale nie widzę innej przyszłości dla wielu śląskich miast.

– **Czy stać region na to?**

– Czekają nas trudne rozmowy, ale rozmowa, od której nie uciekniemy. Jeśli mieliśmy się nad tym zastanawiać, to jest teraz najwyższy czas.

– **Zwłaszcza że mamy ostatnie rozdanie unijne, które zbiega się z elekcją w samorządach. Pytanie – jak będziemy**

wyglądać po tych wyborach? Czy będzie kontynuacja tego, co robimy?

– Najgorsze jest to, jak przychodzi nowa ekipa i mówi: wszystko było do tej pory źle, my to zmieniamy i robimy od nowa.

– **Czego najlepszym przykładem jest rozgrzebany Stadion Śląski, którego budowy nie można dokończyć, bo wszyscy wiedzieli lepiej i robili po swojemu.**

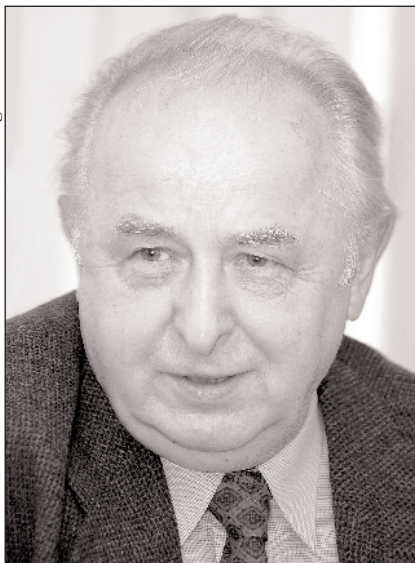
– Życie nie znosi próżni, tym bardziej w polityce, samorządzie. Samorząd to coś, co nadaje ton życiu miasta, społeczności. W związku z tym wytwarzanie luk przez to tylko, że wchodzi inna opcja polityczna do zarządzania jest karygodne. Dlatego powinniśmy opracować takie podstawowe ramy działania, które bez względu na to, kto będzie rządził, zmuszać będą do poruszania się w obrębie tych ram. Dla dobra mieszkańców, a nie tylko dla polityki. Polityka powinna służyć samorządowi, a samorząd mieszkańcom.

– **Chodnik nie ma barw politycznych, a i tak należy go zbudować, jeśli będzie taka potrzeba.**

– Dokładnie. Nie jestem politykiem, jestem samorządowcem. Na szczeblu samorządowym nasz kraj uzyskał największy postęp. Polityka, ta duża, powinna zaczynać się od poziomu województwa, tam, gdzie jest sejmik i marszałek. Rząd musi mieć politykę. W gminie powinno dominować spojrzenie gospodarcze – co chcę zrobić dla mojego miasta, regionu, a nie patrzeć, czy politycznie będzie to dobrze wyglądało. Inaczej będziemy dreptać w miejscu. Najważniejszy jest równomierny rozwój, dla dobra mieszkańców.

– **Zabarwienie polityczne traci w samorządzie na znaczeniu?**

– Odpowiem tak: często spotykam się ze stwierdzeniem, że przecież obiecać można, bo to nic nie kosztuje. Kosztuje i to bardzo dużo – własny honor. Owszem, naobiecywać można dużo, ale trzeba umieć się z tego wywiązać i konsekwentnie realizować dobrze obrany, zgodny z oczekiwaniami społecznymi, kierunek rozwoju. Tak to postrzegam i mam nadzieję, że tak postrzegają to nie tylko mieszkańcy Mysłowic, ale także innych miast naszego regionu.



Tadeusz Kijonka

Czas w wierszu się przed samą sobą wypowiadać:
Znów ta godzina pytań – a muszę je zadać,
Bo nie ma wyzwolenia... jak z formy sonetu.

(Tadeusz Kijonka, *W godzinie pytań*)

Spowiedź poety

BOGDAN ZELER

Ponad czterdzieści lat temu wydawnictwo Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza rozpoczęło wydawanie serii „Biblioteka poetów”. Długi rząd tych tomików do dziś stoi na półce mojej biblioteki, a z sentymentem wspominam chwile, kiedy co miesiąc rozpakowywałem paczuszkę z kolejną książeczką. Seria objęta była bowiem prenumeratą, rocznie ukazywało się dwanaście tytułów. W 1982 roku trafił w moje ręce tomik Tadeusza Kijonki *Poezje wybrane*. Gdy patrzę dziś na okładkę przedstawiającą zdjęcie młodego poety, dochodzę do wniosku, iż jest jednym z najbardziej w mojej bibliotece zaczytanych.

Minęło od tego czasu lat ponad trzydzieści i oto do rąk czytelników trafił najnowszy wybór wierszy Tadeusza Kijonki zatytułowany *Czas, miejsca i słowa*, wydany przez wydawnictwo „Śląsk”. Tom to obszerny, przynoszący ponad dwieście wierszy, wybranych – podobnie jak było to w przypadku pierwszego wyboru – przez samego Autora. Ta konsekwencja wydaje się znacząca. Poeta zdaje się szczególnie wagę przywiązywać do tych osobistych wyborów, dając czytelnikowi gwarancję wskazania tego, co w swoim dorobku uważa za najważniejsze. Co więcej, w najnowszym wyborze Kijonka odchodzi od zasady chronologicznej, jaka w tego typu wydawnictwach najczęściej się pojawia i zastępuje ją próbą problematyzacji, wskazania tych kręgów tematycznych, które w jego poezji nawracają w kolejnych tomach wierszy, a zestawione tu w odmiennym kontekście nabierają nowych niejako znaczeń, budując sferę wyraźnie określonej aksjologii.

Czas, miejsca i słowa – te trzy kategorie postawione w tytule wyboru, kierują naszą myśl ku pojęciu szerszemu, które wszystkie je mieści, ku tożsamości. Pojęcie to w czasach dzisiejszych stało się kluczowym dla refleksji filozoficznej, kulturoznawczej czy socjologicznej. I chociaż z różnego punktu widzenia sformułujemy jej definicję, to musimy się zgodzić, iż – jak stwierdza Zygmunt Bauman – w dzisiejszych czasach mamy do czynienia z tożsamością „płynną”,

nieokreśloną, a w czasach rozwoju nowych mediów będziemy coraz częściej mieli do czynienia z wieloma tożsamościami, spośród których dokonywać będziemy nieustannych wyborów. Jak na tle takiej refleksji jawi się próba określenia tożsamości przez bohatera wierszy Tadeusza Kijonki? Zważmy, że przywołane w tytule wyboru kategorie, bliższe są tożsamości „mocnej”, wypływającej z tradycyjnego sposobu widzenia świata. Nic w tym dziwnego wszak aksjologia wpisana w te wiersze budowana była przez lat ponad pięćdziesiąt. Przypomnijmy, iż debiutował poeta w roku 1959 tomem *Witraże*. Kolejne tomy to: *Rzeźba w czarnym drzewie* (1967), *Kamień i dzwony* (1975), *Pod Akroplem* (1979), *Śnieg za śniegiem* (1981) *Kijonka* (1982), *Czas zamaryły*, *Wiersze stanu wojennego* (1991, 2011), *Siostry* (1992), *Echa* (1992), *Labirynty*, *Pięć poematów polskich* (1993), *Z mojego brzegu* (1995), *44 sonety brynnowskie* (2014). Tytułatura tych tomików jest tu znacząca, bo zaświadcza, iż poeta świadom jest migotliwości obrazu postrzeganego przez nas świata, jego ułamkowości (jak jest to w przypadku witraża). Również kolejne tytuły zaświadcza o trudnej sztuce poznania rzeczywistości, jak choćby pojawiające się tu echo (nie dźwięk, lecz jego zniekształcone powtórzenie, odbicie) czy labirynt, w którym łatwo pogrążyć. Nawet tak klarowna kategoria jak „czas” zostaje tu wpisana w konstrukcję oksymoronyczną „zamaryły czas”. Świadom jest więc poeta trudności, z jakimi przyjdzie mu się zmierzyć w formułowaniu odpowiedzi na pytanie o swoją tożsamość, ale daleki jest równocześnie od wspomnianych ponowoczesnych zawirowań związanych z jej definiowaniem. I może dlatego sięga do rzeczy pierwszych, dla literatury i pisarza najważniejszych: czasu, miejsca i słowa. Dlatego też konsekwentny jest w przywoływaniu najbliższej sobie konwencji: literatury romantycznej. Znamienne jest, że debiutancki wiersz Tadeusza Kijonki nosił tytuł *Konstantynopol Mickiewicza* (1955) a najnowszy tomik jego wierszy (*44 sonety brynnowskie*) przywołuje tradycję mickiewiczowskich cykli

sonetowych. O tym umiłowaniu tradycji literackiej pisze we wstępie do wyboru Marian Kisiel: „Na światopogląd artystyczny Kijonki wpływ największy wywarła twórczość romantyczna (Mickiewicz,łowacki), modernistyczna (Wyspiański), międzywojenna (Lechoń), nieobce są także tej poezji związki z Baczyńskim. [...] Romantyczny rodowód jest tutaj zresztą widoczny gołym okiem nie tylko w warstwie ukształtowania wiersza i na płaszczyźnie wielorakich odwołań, także w budowie specyficznego klimatu, nastroju, muzyczności, tajemnicy.”

* * *

Czas, jako czynnik wyznaczający nasze myślenie o tożsamości, ma w wierszach Kijonki kilka odniesień. **Po pierwsze**, jest to czas historyczny, mierzony losami pokoleń, narodów, państw. Perspektywa to bardzo rozległa. Z jednej strony będzie to historia starożytna, wydarzenia dziejące się „pod Akroplem”, czy wręcz sięgająca czasów mitycznych, pozwalająca mówić o człowieku w kontekście archetypów. Z drugiej strony to historia najnowsza, jak w przejmujących wierszach powstałych w okresie stanu wojennego. Kijonka zdaje się mówić, iż czas – postrzegany jako kategoria fizykalna – płynie, ale ludzkie życie, niezależnie od historycznego kontekstu, podporządkowane jest wciąż tym samym zasadom i wpisane w sferę nieustannych wyborów, między tym co dobre i tym, co niesie zło. **Po drugie**, czas w poezji Kijonki postrzegany jest w perspektywie życia pojedynczego człowieka. Od narodzin do zgonu. To czas mierzony miłością, zdarzeniami rodzinnymi, radością płynącą z zabawy z dzieckiem, podróżami. Życie postrzegane jako kolejno upływające chwile. Jak w wierszu „Kurant” składają się na nie: słyszany dźwięk dzwonków, przelot motyla, obserwowany przez pięcioletką, cień chmury nad boiskiem, czerwone światło na skrzyżowaniu, nakręcanie zegarka, lot mydlanej bańki. Chwile odpyływające w przeszłość i nigdy nie powracające. Nasze życie rozpada się bowiem na to, co było i to, co będzie. Jak napisze poeta w wierszu *Spod szczytu*:

Tylko, kiedy to było? Jak zawsze
– przed chwilą,
W pierwszej połowie życia, która się
nie złoży

Potem w całość. Dopóki –
Lecz nie kończmy zdania.

Kwestia zostaje niedopowiedziana, bo miejsce znaczące, kto wie czy nie najważniejsze przypada tu cierpieniu i śmierci. Na kartach tych wierszy często gości choroba, ból, trzepot serca, zawał. Pojawiają się pielęgniarki i sale szpitalne. Wiele tu także wierszy mówiących o pułapce ciała, w jakiej się znaleźliśmy. Pułapce bez wyjścia, bowiem końcem naszej cielesności (bycia w ciele) jest śmierć. Śmierć, która zanim zakończy nasze życie „objawia się” nam w odejściach osób nam bliskich. Jedną z części wyboru wierszy Tadeusza Kijonki nosi tytuł *Pożegnania* i przynosi wiersze poświęcone pamięci najbliższych i przyjaciół, którzy odeszli. Wiele tu tekstów trenicznych i elegijnych, zaświadczyających o smutku wywołanym śmiercią, wiele pytań, na które nie można znaleźć odpowiedzi. Szczególnie wzruszające są te poświęcone najbliższemu Matce, Ojcu i Bratu. Jedynym sposobem zmierzania się ze śmiercią jest pamięć o tych, którzy odeszli, pamięć o tym, co pozostawili. Tylko tak możemy zapewnić im przetrwanie. Znajdziemy w wyborze wiersz dedykowany Feliksowi Netzowi *W czerwni i bieli*, w przejmujący sposób podejmujący tę kwestię pamięci, ale i zapominania o tych, którzy odeszli, wiersz kończący się frazą:

*I tak już pozostanie, po zerwany sen
Ostatniego z bezbronnych świadków,
noc po nocy.*

Tadeusz Kijonka to poeta upływającego czasu, ale w równej mierze piewca miejsc, z którymi jest związany. Poczesne miejsce w wierszach Kijonki przypada temu, co polskie, boleśnie polskie, jak napisze poeta: „stygmaty polskie”. Miejsca bitew wrześnieowych, Katyń, lasy brzozone, Częstochowa i Ostra Brama, wileńska Rossa, Biblioteka Polska w Paryżu, Kresy i Smoleńsk – oto lista miejsc, z którymi związana zostaje pamięć o tragicznych dziejach Polaków. Wśród tych miejsc jedno zajmuje miejsce szczególnie: Śląsk. Poeta urodził się w 1936 roku w Radlinie na ziemi rybnickiej. Jego działalność dziennikarska związana jest z Katowicami, z redakcją najpierw „Pogładów”, a później kierowanego przez Kijonkę miesięcznika „Śląsk”. Był inicjatorem Kongresu Kultury na Śląsku i Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach. W wierszach Kijonki oglądamy oczami poety śląski krajobraz i spotykamy mieszkańców tego regionu, śledzimy ich historię, religię i obyczaje. Ślady fascynacji Śląskiem są w liryce Ta-

deusza Kijonki wszechobecne. Wydaje się, że sygnał tego dał poeta w przygotowanym wyborze, gdyż nie wyodrębnił części traktującej wprost o śląskim zakorzenieniu. Dwa tomy wierszy Tadeusza Kijonki zdają się mieć tu jednak szczególnie znaczenie. Pierwszy to utwory związane z wprowadzeniem stanu wojennego, gdzie poeta towarzyszył górnikom w ich walce, kiedy:

*W katakumby kopalń na kamienne leże
Zbiegli w noc pogromu węglowi
pasterze.*

(Zwiastowanie)

Drugi tom, to znaczony w tytule miejscem inspiracji i powstania zbiór *44 sonety brynnowskie*, których część zamyka *Czas, miejsca i słowa*. Znamienne, że książka pamiątkowa ofiarowana Tadeuszowi Kijonce w siedemdziesiąt rocznicę urodzin, której redaktorami byli Marian Kisiel i Tadeusz Sierny, nosiła tytuł: *Po pierwsze: Śląsk*.

W prezentowanym wyborze wierszy odnajdziemy też i inne bliskie poecie miejsca. Jest tu na przykład szereg wierszy poświęconych morzu, w których świat rybaków, sieci, okrętów, plaż, morskich latarni dostarcza poecie kontekstu i zasobu środków poetyckich do snucia refleksji o ludzkim życiu.

Zpytaniami o naszą tożsamość, o to kim jesteśmy związane są te najważniejsze – o wartości, jakie w naszym życiu uważamy za istotne. Te pytania i próba odpowiedzi na nie stanowią istotę poetyckiej wypowiedzi Tadeusza Kijonki. Wiersze te mają bowiem swój wymiar meta-

fizyczny. Wpisana w tę poezję została refleksja nad Bogiem i jego miejscem, znaczeniem w naszym życiu. Tematyka religijna niejednokrotnie pojawia się w tych utworach. W wielu wierszach sięga poeta do motywów związanych z porządkiem roku kościelnego, zwłaszcza czasu Świąt Bożego Narodzenia i Wigilii, pojawiają się w nich miejsca i atrybuty związane z kultem religijnym. Ale kiedy wspominam o metafizycznym wymiarze tych wierszy, to myślę o dwu szczególnie znaczących kwestiach. Pierwsza to ich problematyka eschatologiczna, o której wspominałem już wyżej, pytanie o istotę śmierci i podkreślenie znaczenia, jakie nadaje ona naszemu życiu. Moment śmierci jest chwilą swoistego rozliczenia się z życiem doczesnym. W *Zegarze*, jednym z moich ulubionych wierszy Tadeusza Kijonka pisze:

*Dzisiaj mam wreszcie czas spokojnie
przeliczyć
Wszystkie ziarenka piasku, co krok,
jak je wzrokim
Lub pamięcią przenikam [...]
Nie trzeba liczyć: zgadza się rachunek,
Są wreszcie wszystkie ziarenka starte na
sekundy.*

I tu pojawia się kolejna kwestia – aksjologii, pytania o wartości, jakim nasze życie powinno zostać podporządkowane. Wielokrotnie w wierszach Kijonki pojawia się Bóg. A w zasadzie Bóg – Człowiek, Bóg bliski człowiekowi, współcierpiący z nim. Bo to właśnie odczuwanie bólu łączy Chrystusa i każdego człowieka – zdaje się stwierdzać poeta. To utożsamienie się każe w naszym życiu posługiwać się prostym systemem norm.

W wierszu *Falochron* wspomina poeta postać Ojca i przesłanie etyczne, jakie wniósł on w jego życie:

*„Tak” – i tylko „tak”,
„Nie” – i tylko „nie”
Dwie szale do wyboru.*

Ta ewangeliczna zasada – wynikająca z mocy słowa i jednoznacznego jego użycia – zdaje się porządkować świat bohatera wierszy Tadeusza Kijonki.

Z lektury tomu wierszy wybranych Tadeusza Kijonki *Czas, miejsca i słowa* płynie pytanie o kondycję człowieka, o jego niepowtarzalność, miejsce w świecie go otaczającym i sens dziennej się historii, wreszcie wartości go konstytuujące. Od 55 lat próbuje poeta na nie odpowiadać, budując spójną i konsekwentną wizję osoby ludzkiej. Wiersze te, to lekcja mądrości wypływającej z wrażliwości, doświadczenia i siły poetyckiego talentu.

Integralną częścią książki są inspirujące akwaforty znakomitego grafika Jana Szmatlocha. Wiersze poprzedzone zostały świetnym wstępem autorstwa Mariana Kisielia i tekstem samego poety, w którym wyklada zasady dokonanego wyboru, a lekturę ułatwia alfabetyczny spis wierszy.

Tadeusz Kijonka Czas, miejsca i słowa



[wybór wierszy]

„ ś ł ą s k ”

9 i 10 września w siedzibie Muzeum Historii Katowic miała miejsce 14. edycja Katowickiej Konferencji Naukowej, która tradycyjnie odbywa się w rocznicę uzyskania przez Katowice praw miejskich. Tematem tegorocznego spotkania były „Katowice w II Rzeczypospolitej”.

Fot. Agnieszka Sikora



Muzeum Historii Katowic. 14. edycja Katowickiej Konferencji Naukowej.

AGNIESZKA
SIKORA

O pamięci i niepamięci

W wydarzeniu udział wzięli nie tylko historycy, przedstawiciele świata nauki i polityki, ale również mieszkańcy Katowic zainteresowani dziejami swojego miasta.

– Konferencja daje możliwość spojrzenia z różnych stron, z różnych dziedzin na Katowice, jego mieszkańców, na historię miasta – powiedziała na rozpoczęcie konferencji wiceprezydent Katowic Krystyna Siejna. – Czternasta edycja przeniesie nas w Katowice z okresu międzywojnia. Myślę, że pozwoli nam na retrospekcję miasta tamtych czasów, pozwoli dostrzec to, co nasi dziadkowie zrobili dla Katowic i jakie dziedzictwo nam zostawili.

Tegoroczna konferencja miała charakter interdyscyplinarny. Organizatorzy chcieli m.in. zwrócić uwagę na to, jak Katowice awansowały w okresie międzywojennym z miasta „drugiej kategorii” – jak to ujął prof. Jerzy Kłamka – na stolicę województwa i to ważne województwa o potencjale przemysłowym, na stolicę regionu śląskiego i wreszcie na stolicę diecezji.

Merytorycznego wprowadzenia do konferencji dokonał prof. dr hab. Antoni Barciak, Należyk z Instytutu Historii Uniwersytetu Śląskiego.

– Wybierając jako motyw przewodni tegorocznej konferencji okres międzywojenny Katowic, chcieliśmy zwrócić uwagę na potrzebę dyskusji nad czasami, które w okresie PRL nie były zbyt dobrze postrzegane. Chcieliśmy raz jeszcze spojrzeć naukowo na ten okres i spróbować go obiektywnie ocenić. Należy postawić pytania: czym był wówczas Śląsk dla Polski, ale i czym była Polska dla Śląska – powiedział prof. Barciak.

„Dziedzictwo postindustrialne: dwudziestolecie Katowic z dzisiejszej perspektywy zobaczone inaczej” było tematem referatu wprowadzającego profesor Ewy Chojeckiej.

– Tym razem nasza pamięć skupia się na stosunkowo niedługim okresie dziejów miasta, zamkniętym niczym kapsuła czasu pomię-

dzy dwiema wojnami. (...) Działano wtedy intensywnie i spieszenie, jakby instynktownie czując, że czasu jest niewiele. Dla nas współczesnych katowickie międzywojnie jest zamkniętym rozdziałem historii, możemy ogarnąć rzecz całościowo. Jest zarazem okresem trudnym, gdyż miał u swego początku i u swego końca dwa przełomy zerwanej ciągłości kulturowej – uzasadniała prof. Chojecka.

Badaczka historii sztuki wspominała, że w aktach swojego ojca przed laty znalazła egzemplarz „Kuriera Warszawskiego” z 1 września 1939 r. Jego kopię rozesłała przyjaciółom ku refleksji.

– Oto na stronie tytułowej tłustym drukiem: „Niemcy podstępnie zaatakowali Polskę”. Dalej odezwa prezydenta Ignacego Mościckiego do narodu, wzywająca do zwycięstwa, portrety jego i naczelnego wodza Rydza-Śmigłego, na dalszych stronach o potrzebie zaopatrzenia się w maski gazowe, na piątej stronie reportaży z Katowic, gdzie mieszkańcy trzy dni przedtem entuzjastycznie oklaskiwali żołnierzy jadących w pełnym rynsztunku przez miasto na rowerach, wreszcie reklama kremu Nivea – wspominała profesor Chojecka. – To wszystko czytane dzisiaj uczy pokory, posiadamy wprawdzie wiedzę pełniejszą i historyczny dystans wobec tamtych spraw, ale jesteśmy świadomi, jak bardzo wobec teraźniejszości przypominamy dziennikarzy „Kuriera Warszawskiego”.

Badaczka stwierdziła, że na naszą pamięć o międzywojniu nakładają się warstwy wydarzeń, które nastąpiły po 1939 r. – lata wojny, półwiecze PRL-u i ćwierćwiecze III RP. Tworzą one kurtynę i barierę czasu, spoza której wylania się obraz Katowic okresu II RP. Międzywojenny okres dziejów Katowic tworzy obszar czasu dokonanego. Miasto było wielokrotnie niszczone bez burzenia domów. Nie posiada ciągłości tradycji, nawet w obrębie swej krótkiej – datującej się od 1865 r. – miejskiej historii.

Profesor Chojecka skupiła się na dwóch nośnikach pamięci – człowieku i dziele techniki.

– Przed budynkiem Muzeum Historii Katowic mijamy wysoką postać, która uprzejmie cofnąwszy się, ustępuje nam miejsca na chodniku: Stanisław Ignacy Witkiewicz – powiedziała badaczka i zwróciła uwagę, że stał nie jako bohater na piedestale, ale jakby idąc chodnikiem, zatrzymał się w pół kroku, z lewą dłonią w kieszeni spodni, usunął się na bok w geście przepuszczenia idących trotuarem przechodniów.

– Tak pewnie wyglądał, gdy w Katowicach towarzyszył Bronisławowi Linkemu, twórcy katastroficznych obrazów „Śląsk”, które wywołały w Warszawie skandal i trzeba było ich wystawę zamknąć. Dziś obydwaj zdają się patronować katowickiej wyobraźni. Swój czas – czas II Rzeczypospolitej – Witkacy postrzegał z głębokim niepokojem egzystencjalnym, sam ginie samobójczo razem z nią 18 września 1939 r. na wieść o sowieckim najeździe ze Wschodu – dodała prof. Chojecka.

Przeciwstawieniem tego przykładowi jest według znawczynie historii sztuki katowicka wieża wyciągowa kopalni węgla Ferdynand.

– Jest to konstrukcja inżynierska będąca znakiem pamięci katowickich dziejów górniczych, chociaż pierwotnie, też w międzywojniu, służyła celom czysto użytkowym. Współcześnie nabiera nowego znaczenia: wyrazu estetycznego – zauważyła prof. Chojecka.

Obecnie wieża wkomponowana jest w strukturę nowo wybudowanego Muzeum Śląskiego. Zatraciła swoją pierwotną funkcję użytkową – górniczą. Pojawił się jednak nowy jej sens – mocny akcent przestrzenny. Teraz możemy zauważyć ażurowość konstrukcji, lekkość, grę sił wyrażoną wspornikami, dźwigarami, krzyżującymi się liniami stalowych elementów, wielkie kręgi kół.

– Obydwa dzieła są krańcowo różne. Zostały celowo tak dobrane, aby wskazać na niezwykłą wielorakość aspektów pamięci historycznej miasta, którą możemy odnajdywać także w dziełach niebędących ze swej istoty pomnikami w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Znakiem pamięci nie musi być koniecznie i wyłącznie monumentalny pomnik na cokole – zakończyła swoje wystąpienie prof. Chojecka.

Dyskusję panelową z udziałem znakomych gości: prof. Ewy Chojeckiej, prof. Andrzeja Chwalby, prof. Tomasza Fałęckiego, Jerzego Forajtera, prof. Włodzimierza Mędrzeckiego, Krystyny Siejnej, prof. Jerzego Wyrozumskiego, prof. Tomasza Szramma oraz ks. abp. seniora dr. Damiana Zimonia zdominowały tematy: Katowic jako stolicy autonomicznego województwa, miasta w koncepcjach władz Katowic, o strukturze społecznej i narodowej, zagadnieniach gospodarczych, kulturze międzywojennych Katowic.

Podczas konferencji omawiano także: wpływ rywalizacji etnicznej na międzywojennym (polskim i niemieckim) Górnym Śląsku na spójność miejscowych społeczności; śląskie losy Michała Grażyńskiego; dyskutowano także o Katowicach siedzibie górnos Śląskiego biskupstwa, kontrowersjach wokół tangenty w latach 1922–1939, życiu towarzyskim katowickich elit w międzywojniu, prasie i radiu w Katowicach, początkach „Gościa Niedzielnego”, ks. Emila Szramku, kształcie urbanistycznym miasta w dobie II RP a także o różnorodności tendencji architektonicznych w katowickim modernizmie.

Kolejna 15. edycja odbędzie się w roku, świętującym 150. rocznicę uzyskania przez Katowice praw miejskich.

Na górskich szlakach i nad Brennicą po turystach i wczasowiczach pozostały wspomnienia i śmieci, a noce są coraz chłodniejsze i góry na tle październikowego nieba przybierają cudowną jesienną aurę. Jest co oglądać. Letnie wernisaże i wystawy zmieniły się w ekspozycje jesienne, a towarzystwo, które spotyka się na takich okazjach ubiera się zdecydowanie cieplej. Teatry zawiesiły już na kołku letni repertuar i sięgają po ambitniejszy kaliber przedstawień. O czym tu mowa, jeśli w Górkach Wielkich nie ma teatru? No nie ma, to prawda, ale jest Fundacja im. Zofii Kossak, która tradycyjnie już starała się zapewnić atrakcyjny sposób spędzania czasu okolicznym „siedłokom”, jak i przyjezdnym. Władze gminy Brenna szczęśliwie widzą w tej aktywności dobrą inwestycję, albowiem jeśli gmina chce, by dopisał się do niej przymiotnik „turystyczna” musi o zaspokajanie potrzeb kulturalnych publiczności dbać, bo piwo i krupnioki, choć nadal w dobrym gatunku, zdecydowanie już nie wystarczą. Należy tu dodać, iż Fundacja nie ogranicza się do letnich przedsięwzięć, ale takie zajęcia, jak warsztaty dla amatorów różnych ginących już rzemiosł czy technik artystycznych trwają przez cały rok, podobnie jak zajęcia muzyczne czy teatralne dla dzieci. Jednak tym, co budzi moje największe zainteresowanie i zasługuje na szczególną uwagę i wsparcie, są zmagania o uratowanie przedwojennej staniczki harcerskiej, która była wakacyjnym domem dla pozytywnych bohaterów dzisiejszej młodzieży, z legendarnymi „Zośką” i „Rudym” oraz ich wychowawcy, Aleksandra Kamińskiego. Ratować jest co, albowiem jest to spory kompleks budynków u podnóża Bucza, który dziś popada w ruinę.

Niejako na marginesie tej sytuacji nachodzi mnie taka oto refleksja: jeśli są środki na jednorazowe widowiskowe działania, których efekt jest jeśli nie iluzoryczny, to krótkotrwały, dlaczego nie wygospodarować jakiejś sumy na rewitalizację tego obiektu, który oddziaływałby, przy rozsądnym zagospodarowaniu i wdrożeniu odpowiedniego programu, przez całe lata na pokolenia młodych ludzi. Wydaje się to dosyć oczywiste, tylko dlaczego Hanna Fenby-Taylor, przewodnicząca Fundacji, kilka innych osób oraz niżej podpisany, jesteśmy w mniejszości? Dobre pytanie, jak mówi polityk, który nie zna odpowiedzi.

Z moich Górek
WITOLD TURANT

Powitanie jesieni

Siedziba Fundacji, jak i dawna stacja znajdują się przy wyjeździe (albo wjeździe, jak kto woli) z Górek. Jest więc to dobra okazja, by na chwilę wyrzucić z opłotków. Wyglądajmy więc, bo może warto. Nie tylko z Górek i nie tylko z Polski. Dobrą okazją może być udział pochodzących ze Śląska artystów, Jacka Lipowczana i Józefa Stolorza, w międzynarodowym wydarzeniu artystycznym, jakie tego lata miało miejsce w Niemczech, w bawarskiej miejscowości Viechtach. Wystawa miała tytuł „Magical Dreams II” i była kontynuacją zapoczątkowanego przez „Galerię Beskidzką” cyklu imprez ukazującego dorobek międzynarodowego ruchu malarskiego znanego pod nazwą realizmu magicznego. W Viechtach pokazano prace także innych polskich artystów, a Europa i świat reprezentowane były m.in. przez artystów z takich krajów jak USA, Rosja, Włochy, Belgia, Austria, no i rzecz jasna Niemcy. Trochę może po kumotersku, ale nie całkiem, warto bliżej przyjrzeć się twórczości Lipowczana i Stolorza. Nie całkiem, bo to warsztat i koncept zdecydowanie pierwszej ligi, kumoterstwo polega nie tylko na tym, że obaj wywodzą się z Śląska, ale są moimi kolegami z czasów szkolnych i jest to znajomość z gatunku takich, że tylko się nią chwalić. Ale poważnie, to obaj artyści reprezentują biegunowo odmienne rozumienie realizmu magicznego – Lipowczan anegdotalny, chwilami wręcz komiksowy, nie stroniący od karykatury i zjadliwej satyry, nawiązujący często do spojrzenia na rzeczywistość Jerzego Dudy-Gracza. Stolorz znajduje się zdecydowanie po metafizycznej stronie świata,

który przedstawia. Przestrzenie i kształty z pogranicza jawy i snu, pejzaże niemal rzeczywiste, ale odległe i wyobcowane, zatopione w melancholijnym świetle pochodzącym z nienazwanego źródła. Obaj perfekcyjni i refleksyjni. I jak tu się nie chwalić? Do Viechtach daleko, a zatem trzeba będzie poczekać do następnej wystawy w Szczyrku.

O Śląsku tego lata mówiło się sporo, czasem dobrze, czasem niekoniecznie. Nie zawsze też mądrze. No cóż, trochę już chyba przywykliśmy do tego, że stolica i jej media patrzą na nas przez dziwaczne okulary. Niech sobie patrzą, ale żeby poświęcili także nieco czasu na rozsądne myślenie. Pamiętam, jak przed laty jakaś dziennikarka z warszawskiej prasy zatelefonowała do mnie, bym skomentował sytuację w „polskim Ulsterze”. Chodziło oczywiście o Śląsk Cieszyński i relacje katolicko-ewangelickie. Może to nie było eleganckie, ale odeślałem panią do najbliższego gabinetu psychiatrycznego. Z czasem zrozumiałem, że istnieją w Polsce okolice, gdzie współistnienie dwu wyznań stanowi wciąż problem i że byłem świadkiem czegoś, co właśnie psychiatrzy i psychologowie nazywają projekcją, czyli przerzucaniem na innych własnego sposobu postrzegania świata czy własnych urojeń. Pomijam już taki drobiazg, że korzenie północnoirlandzkiego konfliktu są o wiele bardziej zmagmatowane, a my na własny użytek bardzo je sobie upraszczamy. Tak bardzo, że utrudnia to czasem życie pracującym i mieszkającym tam naszym rodakom.

Świat, jak to obserwujemy ostatnio, dostarcza nam wielu zgryzot, z bliska i z daleka, ale jak widać sami także potrafimy ich sobie dostarczać i to w nienajlepszym gatunku. Obrażamy się na siebie, dzielimy się, nie uznajemy racji innych, zapominając, że czasy wymagają od nas całkiem innych postaw. Ani histeria, ani tumiwizizm nie będą przydatne. Stawiałbym raczej na rozsądek i skierowanie się ku przyszłości. Historyczne spoglądanie na rzeczywistość to także nic złego, pod warunkiem, że historię nie zamieniamy w histerię, co niestety często nam się przytrafia. Minionego lata było to widoczne gołym okiem, nawet z moich Górek, choć horyzont ogranicza mi całkiem spore pasmo górskie. Możliwe, że pomaga odrobina wyobraźni.

Obledy

Rys. Wojtek Łuka



– Zgaś już. Lubię martwić się po ciemku – Kris wsunął laptop pod łóżko i przeciera powieki, marszcząc przy tym całą twarz. Kładzie się obok mnie. Zdenerwowany spycha na podłogę albumy, którymi obłożyłam pościel.

– Żabeczko, prosiłem o coś.

Już ponad rok noce są dla nas koszmarem. On nie śpi, a ja się nie budzę. Sen kradnie mnie za granicę samopoczucia, poza zasięg receptorów, gdzie nic nie widać, nie słychać, nic nie rozumieć. Czasem, w tej fizjologicznej separacie, dźwiękiem kamyczków wrzuconych do jeziora „plumkają” wołania Krisa. Plum i toną. A gdy udaje mi się przerwać ten narkoleptyczny oblęd, wówczas mój kochany siada do komputera i goni Internet po polach „śpiączka”, „sen głęboki”, „zaburzenia z nadmierną sennością”. Szuka też lekarzy wiedzących więcej niż Wikipedia. Ja nie mam do tego sił.

Naciskam guzik małej lampki i przysuwam się do męża. Obejmuje mnie zamyśloną. Słyszę wiatr w przewodach wentylacyjnych. Hałas pomaga mi nie spać. Na jak długo? Na moment – świadomość jak drobny ustrój czmychnie zaraz niezbadanym przejściem. Nie powstrzymam widu i słyhu. Koty na parapecie próbują...

* * *

Gdzie jestem?

Stoję w Niebie na trzecim, może czwartym piętrze i zaglądam przez okno do Kaplicy Zaranja. Tutaj Pan rozdaje poczętym życie w kropkach. Jedna na talerz. Bezbarwne, maleńkie. Tylko z wodoru i tlenu, powiązanych węglem. Na otwarcie przemian – ciepło, światło. Ot, prostota nadprzyrodzenia. W przezroczystym ziarenku staje się cud organiczny i odwieczny. Pan nadaje mu czas. Zapisuje krzyżykiem na wykresie losu. Oddana w użytek kropla zaczyna parować. Ubywać. Wracać do Źródła.

– Czy zamieniona w parę kropelka spada drugi raz na ziemię? – chciałoby wiedzieć poczęte życie.

– Powiadam wam, że nie! Ale nie wszyscy wierzą – denerwuje się Pan. – Modlą się do innych Bogów o inkarnację bez ograniczeń.

Muszę czegoś się napić. Tu, na parapecie, stoi kubek. Może pełny. Czemu nie dosięgam? Gdzie moje ręce!?

Jestem przerażona, bo nic nie wiem. Nie mam kształtu anatomicznego ani tekstylnej poświaty. Kim jestem? Powiekami, które zadecydują, co powiedzieć ludziom?

– Przepraszam Pana, Panie Boże – pukam w otwarte okno, żeby zapytać Boga wprost. – Kim ja będę po tych warsztatach? – odbijam się głosem od cudotwórczej pracy.

Pan, pochłonięty koniugacją pierwiastków, nie przejmuje się moim zjawieniem. Mży po talerzykach i przesuwają je na bok iskrzącą dłonią. Gotowe błogosławi. Obserwuję rzemiosło Stwórcy na wypadek, gdyby trzeba było wynieść w naczyniach umysłu świętą matrix.

Tuż obok mnie jest półpłynny próg. Za nim ktoś/coś. Wiem – to dusza samobójcy. Stoi upokorzona zakazem wejścia, jak każdy, kto sponiewierał kroplę życia. Skądś znam jej los...

Węszę w sobie tragiczną historię. Samobójca ma na imię Aleksander. Niecałe dwadzieścia lat. Widzę dobrze jego śmierć. Ciało, z nienaturalnie zgiętym karkiem, leży na pustawym parkingu ubrane w czarny garnitur, a ze zwłok wychodzi mlecznobiała dusza. Nad nią tłum gapiących i ja. Za nami szpital. Tam, na formularzu zgody, chłopak złożył prośbę o wykorzystanie organów. Naprędce nie dopisał „w tym nerek SPECJALNIE dla brata”. Brakło wszystkich kokard formalności. Treść heroicznego samobójstwa wchłonął biały papier.

Dusza Aleksandra jest zawieszona – ani przy Bogu, ani przy matce. Myślał, że ofiarowując życie dla chorych, wstąpi na Niebiosą. Ale nic nie poszło zgodnie z planem, bo Pan domyślił się podstępny i zamiast łaski, dał obrazek zmartwychwstania oprawiony ramą okna. Zostawił przed progiem, gdzie miejsce niewdzięcznych.

W bliskości z wygnanym czuję się lepiej. Strach maleje, bo dobry duch chce mnie przytulić. Jednak na ten moment Pan woła go światłem palca.

– Zaniesiesz życie dziewczynce. Ani – podaje jeden talerzyk.

Na transport czeka jeszcze trzy tysiące kropeł.

* * *

Czas mnie kiwa – chwilę temu byłam pod Kaplicą, a teraz jest dziewięć miesięcy później. Zimno, dużo lamp. Męskie i damskie głosy, brzęk metalowych przyrządów. Obraz coraz wyraźniejszy. To sala operacyjna. Jestem przy cesarskim cięciu. O, Ania idzie tropem światła! Przez nacięcie w brzuchu prowadzą malutką srebrnolśniące kosmyki. Zdrowa/piękna dziewczynka jest już osobno. Wyszła z wody na ład prościusienko w twarde, zimne łapy samodzielności. Nie potrafi oddychać! Zaraz utonie w szpitalnym powietrzu. Talerzyk z kroplą życia chwieje się, wiruje! Lekarz naciska dwoma palcami klateczkę piersiową. Ludzka moc teraz w rękach Boga. Czasokres bezlitośnie potrząsa talerzykiem, tym miejscem bez brzegu, z którego łatwo spaść, skończyć się. Biegnie inkubator, reanimacja. Drgają liczniki szans. Rurką poszedł tlen. Dziecko przywrócone – start oddechu. Lekarz przejął talerzyk. Położna wstawia kruczą potęgę do inkubatora.

Cała się trzęsę. Chryste, ta mała byłaby umarła. Taki człowieczek, za drobny na aniołka...

Dusza samobójcy płacze. Wzruszyła się walką białego oddziału o jeden mały, zupełnie obcy los. Słyszę, jak myśli nad własnym:

– Ja byłem niczyj. Małolotny dla rodziny, prawda?

– Ale nie dla zamężnej Basi – mówię po cichu, roztrzęsiona tym, że odpowiadam! Że coś wiem...

Dusza nie rozmawia ze mną więcej. Chce teraz być blisko życia, które przyniosła ludziom od Boga. Obejmuje inkubator i sączy się za szklaną ściankę. Małeńka istota dziękuje jej ponad zmysłami.

* * *

Zawracam, żeby zobaczyć, co u Pana. Pan śpi. Dzisiaj niedziela. Stoję na granicy światów. Nie wiem, czy to ja w nich jestem, czy one we mnie.

* * *

Znów w klinice. Tu nie ma „dnia siódmego”. Tu kilkanaście razy na dobę odcina się noworodki. Po zdobyciu pepka idą one w ręce talentu macierzyńskiego. Dzisiaj wśród nich też i Ania. Stabilna, lecz za ten wybryk z oddychaniem, minus 4 punkty w skali APGAR. Zaciągnęła sutek. Mało mleka. Źle to robi. Czynności odruchowe są jeszcze obce, a nie – wrodzone. Zacieśnia się pod gardłem urojona pętelka. Mama Ani oszukuje głód córeczki snem. Woła pielęgniarkę:

– Czy mogłabym dostać dzień matki?

– A konkretnie, to co?

– Wypis. Chcę jechać do domu. Włączyć różową pozytywkę z Little Pony. Albo odkurzac. Czytałam, że najlepiej uspokaja noworodka. Mam łóżeczko z „bujaniem”, grającą wanienkę i ziołowe olejki. Czeka na nas mój chłopak. Będzie lulał Anusię na rękach – mówi już do ścian.

Trzeba czekać, żeby piersi urosły, a dziecka ubyto zgodnie z normą – opamiętał się w rozżalonej rozsądek i tłumaczy egzaltację – badania dostały dobre oceny, a kolory kup barw szczęścia. Powolutku, dom nie ucieknie.

Milkną nerwy. Kobieta tuli dziecinę. Jest tak szczęśliwa, że wprost nie wierzy we własne macierzyństwo.

A z parapetu śnieżą jony smutku. To aura widma samobójcy. Jeszcze nie wrócił pod próg. Obserwuje, jak z atawistycznej macierzy odruchów tryska miłość samordna.

– Gdyby mamusia umiała mnie tak kochać...

Z nieznanego powodu rozumiem, że znów płacze dla mnie.

Wiem, że osoba tytułowana „mamusią”, odstawiła go od uczuć zaraz po pierwszym wejrzeniu. Gwiazda bólów porodowych zwiastująca niechciane, wywołała w jej sercu skutek glacialny. Nie odkryła w chłopcu syna. Kakaowe oczka, czarne loki – przyszło na świat „ksero” Antonia z hotelu City w Rzymie. Ślubnego bajubaju z gorzkim morałem. Cudny Włoch zrobił dwie kreseczki ciężowe i odszedł. Jedna z nich, po dziewięciu miesiącach, przerodziła się w żywą drzazgę.

Olek nie wiedział, że miłość macierzyńską roznosi natura. Zrozumiał, gdy w uzupełnionej ojczymem rodzinie, pojawił się Kajtuś i nad rodzicielką wstało słońce. Wówczas mamusia, cała w promieniach, dostąpiła zadań. Wybranim dzieckiem przesunęła Olka na koniec swojego świata. Stamtąd pisał do niej łzami i smarkiem. *Są matki, które nigdy nie powinny umierać i matki, które nigdy nie powinny się urodzić.* Dużo rozmawiał o sobie z psychologiem wewnętrznym. *Piętnaście lat wierzyłem, że tak musi być. Że w niej nie rozwinęło się dobre i niczyja to wina.* Pluł gniewem w ślepą inteligencję. Pod ciężką mojrą bunt odkształcił się w cierpienie. Cierpienie chciało nirwany. W końcu dusza Aleksandra zapadła w letarg. Nikt nie obudził się nad nim z tego powodu. Figury rodziców żyły własną tragedią. Nerkami Kajtka, które potrzebowały dublerów.

Olek tonął w przegranych. Nie starczyło punktów na studia medyczne. Znudził się Basi. Nalał wody do telewizora, podlewając jukkę. Jego matce umierał ważny syn, a on nie mógł go zastąpić. Każdego dnia przybywało kart niepowodzeń. Poszedł z nimi na swój dach.

Nie umarł wyłącznie dla zdrowia psychicznego. W próchnie tożsamości wykielkował podstęp. Wykraść matce uczucia! Jej wdzięczność i jej miłość. A potem tą wdzięcznością za ratowanie Kajtka wypełnić dziury w samoocenie. A miłością owarstwicię darowany fragment ciała, który pożyje w uratowanym. Stojąc na dachu, powtarzał sobie zakrojone pragnienia, żeby uczynić śmierć lepszą niż całe jego życie. Uznał, że jest gotowy. Oświadczenie woli spisane i teraz wystarczy powiedzieć znajomej, „pani Agatko, gdyby kiedyś ze mną coś, wie pani, to zestaw nerek dla Kajtusia”. Znajoma nie ukończyła ich rozmowy w Szpitalu Transplantologii. Powiedziała jedynie nieświadomej matce, jakiego pięknego miała syna.

Plan zawiódł. Nerkę dostał pierwszy z kolejki. Kajtek nie doczekał dawcy.

– Zabrałeś mi świat pod ziemię, ty podły bękarciu! Żeby ci spać nie dał, tam gdzie jesteś... – matka przeklęła syna samobójcę.

Wtedy przysnił jej się jedyny raz.

– To nie ja, mammo. Zabrało go lepsze życie. Kolejny raz lepsze od mojego – pocieszył płaczącą i odszedł głębiej, w przeszłość, zabierając matce z oczu papryczkę prawdy. *Śmierć gra sprawiedliwie. Teraz obydwaj jesteśmy sierotami.*





* * *

Między Bogiem a wątpliwym czuję za dużo. Jak oczy bez powiek. Dlaczego znam życie tego samobójcy? Czy ja nim byłam?

* * *

W szpitalu dzieci nowo narodzonych przybywa rozwiązań. Pielęgniarki myją, ważą, spisują, ubierają słabe ciała w nagrzaną bawełnę i pucują ultrafioletem kąty, żeby nie nadweręzać małych układów odporności. Młode płaczą nisko, ale efektywnie. Dostają mleko z piersi. Są przy piersi. Usypiają przy piersi. Rosną z piersią. Pierś jest opoką.

Dzisiaj na oddziale neonatologicznym także pożegnania. Lekarze roznoszą paszporty do domu. Urwał mi się tamten film/dramat i towarzyszę Ani w drodze. Jedzie samochodem odcięta od wszechświata pieluchą położoną na twarz. Tetrowe bielmo przesłania ruch na mięście. Nie widać obłoków i śniegu, drzew łysych na zimę. Zepsuty resor wytrząsa radość pierwszej podróży. W tym zamęcie zgubił się dziecku sen.

Ania pojawia się ze swym talerzykiem na ulicy Polskich Noblistów w mieszkaniu numer 12. Tu kocioł. Gra pozytywka z Little Pony, wyje Pimpek niezaproszony do zabaw. Metraż wykrzywia się zachwytem babci i dziadków. Głośno, dojmująco, ale usypiają małą te antonimy spokoju. Już buja się w falach delta.

Matka dostraja łzy – radość na pięciolinii bejbi blues.

* * *

Znów zamyka się scena.

Teraz idę w ciemną stronę. W siebie, głęboko. Nie ma drobinki blasku. Tylko mgła i grafit. Zwalniam przed „Rezerwatem Wrażeń” i patrzę. Wychodzą. Powłóczą nogami jak głodne zwierzęta. Najwięcej strachu. Drzy podobny do młodego koralowca. Miękki, zanim nie wejdzie w psychikę. Wówczas zwapnieje. Unieruchomi mój konstrukt szkieletem grozy.

Jest też żal, z tych spóźnionych. Zjawił się z postarzałą tęsknotą. Przeternowane zatrują mi krew. Już wyjęły nożyki i otoczyły kołem moje eteryczne ciało. Tną, targają! Kilka minut walczę, ale ból odcina kawałki napastliwego tańca i zatrzymujemy się. Jestem porozrywana. Teraz cierpienia pozwalają mi zajrzeć w to rozdarcie. W środku siebie widzę czarny strup. To miłość do dziecka zamieniona w martwicę.

Bóg jeden wie, o co tu chodzi!

Siadam na szarym. Kurz i popiół. Błądzą w domysłach, katakumbach prawdy.

* * *

– ... obudź się Żabeczko, proszę... Bo wzywam karetkę – wypływam z falą miękiego głosu poza „Rezerwat Wrażeń”.

Dokuję już gdzie indziej.

* * *

Jestem na dyżurce pogotowia ratunkowego. Tu młodość i brak doświadczenia. Przyjęta na praktykę Basia przysłuchuje się zgłoszeniom. Czy, jak odróżnić te „na cito”.

– Gówna ustawione w poprzek nie zabijają – dyspozytorka omawia telefon „zaparcie od ponad tygodnia, boli jak przy skręcie kiszki”. – A tobie samej nie dam kursu. Czekamy na Mateusza.

Mateusz pojechał do wyschniętej kropli z 1935 roku. Wyjazd prosty – denat wziął odpowiedzialność za siebie. Basia wołała zostać, wypić trzecią kawę.

– Karmisz jeszcze piersią – mówię dźwiękoszczelnie dla dobra jej córeczki.

Intuicja podpowiada, że mam prawo.

Czterdzieści minut do końca dyżuru. Basia wyjmuję z kubka spojrzenie i moczy nim pielęgniarkę. Wysoki, silny. Jestem wściekła, że tak go mizia oczkami, przeży kod ciała.

Wiem o niej dużo. Wcześniej zamknęła panieństwo obrączką. Jeszcze w ogólniaku, ale między ślubem i maturą zamieniła „dwoje” na trójkąt małżeński. Ten trzeci do pary z nią był kolegą z liceum. Zauważyła, że mikrusowatego mięczaka czas odmienił w efeba i ta korekta ujęła ją za libido. Chłopak miał geny przywiezione z Włoch. Seks idealnie fingował miłość. Kopulowały życiowe pespektywy maturzystów, kopulowały po lekcjach w poniedziałki i w czasie wagarów, aż zapłodniły wyobraźnię wspólną przyszłością. *Skończymy pediatrię, założymy fundację dla odrzuconych dzieci.* Chłopak miał imperatyw, żeby niekochanym zabierać samotność. Basia mówiła, że też ma. Płatały się z pościelą i książkami filantropijne puzzle. Jego matka tak się cieszyła, że syn założy rodzinę i zejdzie jej z oczu.

Wszystko popsuły młodości. Od tego momentu dni w życiu dziewczyny zmieniły się w wydarzenia. Cięża. Matura. Egzamin na medycynę. Oblane egzamin na medycynę. Porzucenie kochanka. Szkoła ratownictwa medycznego. Samobójstwo kochanka. Narodziny córki. Prostoduszna radość otumanionego męża.

Telefon w dyżurce.

– Kiedy? Sinieje? – dyspozytorka kaligrafuje czyjaś rozpacz. – Ile ma? Piąty dzień. Już wysłałam karetkę. Mieszkanie 12, dobrze zrozumiałam?

To od Ani. Nie ma oddechu.

Basia odkłada kubek i błędnie w blasku niedoświadczenia:

– To za małe dziecko, żebym mogła sama ratować!

– Bez ceregieli.

– Za kwadrans mam zmianę, poczekajmy. Nie pojedę tam.

– Czyś ty ogłupiała!? Chcesz mi tu Polsat ściągnąć? Lepiej zrób źle niż nic.

Basia jakby uczyła się pierwszych kroków. Najbezpieczniej powiedzieć „nie umiem”. I nie umieć. Ale gdzie wtedy gdzie?

Pyłek czasu przesypuje się między duchem i umysłem. *Jedź, rozkazała silna wola, zatamaj to życie*. Na przekór Panu, ale z Jego błogosławieństwem, człowiek wskrzesza Boże istoty. Teraz Basia weźmie to dzieło na siebie. Zabiera ampułki adrenaliny jak siatkę na oddech, który nie trzyma się nowo narodzonej. To suchość powietrza zaszkoziła, bo talerzyk Ani stoi za blisko kaloryfera. Paruje życie.

– Mateusz, mamy dziecko w piątej dobie. Chyba wstrząs. Musisz mi pomóc. Przyjedź na Polskich Noblistów – Basia krzyczy przez komórkę.

– Ale jadę z wezwaniem!

– To co mam robić!?

– Myśleć!

Myśleć... W momencie pogubiła definicje. Za chwilę egzamin z ludzkiej mocy, a tu wstrząs kardiogeny miesza się z anafilaktycznym. Przy którymś spada ciśnienie krwi w tętnicach, przy drugim na pewno jest kaszel. Ta mała nie ma nic...

W kawalerce z pozytywką Little Pony dokument dramatu. Ania, jej matka, odrętwiała Basia. Trzy nosicielki strachu. Macierzą chwili jest cisza, maćona pośpiechem kierowcy, który pompuje tlen do płuczek. Trzy uciski palcami, jeden oddech ratowniczy. Basia usprawiedliwia swoje ręce przed własnym sumieniem. „*Mogłoby braknąć im szczęścia, dlatego odsuwam się od masażu. Chciałam pracować w przychodni, leczyc maluchy z jelitówek*”. Patrzy na bladofioletowe policzki i boi się. Co dalej, co zmienić. Te sekundy są totalną entropią.

– Panie Jerzy – szepcze nad uchem reanimującego. – Czemu pan się wycofuje?

Kierowca poprawia stłamszony kaftanik na nieruchomych ramionkach i posyła jej spojrzeniem sygnał „stop”. Dziecko odeszło.

Gdy w karetce jest zepsuty defibrylator lub nie można na nim ustawić małych wartości elektrowstrząsów, następnym punktem resuscytacji krążeniowo-oddechowej u noworodka jest pęknięcie serca matki. Powinno i tutaj to nastąpić, ale Basia doznaje jakiegoś bionapędu. Łapie za torbę z lekami. Bandażuje matce oczy iluzją, że pojedynkę z planem Boga trwa. *Olek, ja wiem, że tu jesteś. Pomóż mi, mówi duszą do ducha*.

Oddałam się na wysokość pokoju. Widmo samobójcy, które nie opuszcza Ani od dnia narodzin, teraz chwyta dłonie Basi i przysuwa bliżej ampułek do RKO. Basia nie ma gotowego leku. Musi zrobić roztwór. *Jeden mililitr adrenaliny, dodać dziesięć mililitrów NaCl. Podać trzy części. Nie wiem, czy to jedna dziesiąta czy jedna setna..., nie wiem...* Używa wreszcie strzykawki. Wbijają w ciepłego trupka. Czuje, że robi to źle. Że za mało leku. *Za drugim razem podać chyba jedną dziesiątą...* Czeka trzy minuty. „Reakcja pacjenta na duże dawki może być zaskakująco dobra” uczyli. Nic nie jest pewne. Trzeba grać – matka Ani boi się tym mniej, im więcej ruchów nad dzieckiem wykonuje Basia. Znowu czekają trzy minuty. W tym czasie dusza samobójcy włamuje się do chłodnego ciała, na miejsce tamtej duszyczki, która skuliła się obok mnie pod sufitem i przygląda swojemu nieszczęściu od paru minut. Po talerzyku już płynie inna energia. Drugie życie. Uspokaja się dom z różową pozytywką. Matka całuje głowę Basi i krzyczy wysoko, tak wysoko, że siebie nie słyszy. Do pokoju wchodzi Mateusz.

– Dałaś radę, dziewczyno! Super. Odwieź małą na oddział. Ja jadę dalej. Narkoleptyczka nie może się wybudzić, nie wiem, o co chodzi.

Basia mdleje. *Już nigdy bardziej nie będziesz się bać*, nagradza ją podświadomość.

Mama Ani wstawia nową kroplę pod klosz z hartowanego szkła. Za dziesięć lat umorduje dziewczynkę tą klatką, ale teraz jest najpewniejsza. Dziękczynny płacz kobiety układa się w chmury i spopiela niebo nad Kaplicą. Pan nawet nie zauważył. Pracuje. Jest zdenerwowany, bo dusza renegata tak długo gości na ulicy Polskich Noblistów. Z tego napięcia nalał dwie krople na talerzyk Damianka.

I ja muszę gdzieś wrócić.

– ...zaraz będzie pogotowie, Żabeczko...

* * *

Gdzie jestem?

Trzecie piętro wieżowca w Częstochowie. Słyszę wiatr. Dokuczka mi błysk halogenowych świateł. Chodzą przy mnie dwa koty. Alarmują wypreżonymi ogonami. Na podłodze rozsypane fotografie. Przed drzwiami noc. Za oknem Bóg. Nieproszony nigdy do środka.

– Proszę cię, odwołaj lekarzy. Już się obudziłam. Dobrze jest – uspokajam Krisa i siadam na łóżku. Jestem materialna, posłuszna grawitacji. Rzeczy wokół podbiegają do moich zmysłów. Częstuję się ich bliskością.

– Ja dłużej tak nie mogę, Żabeczko! Potrzebujemy jakiegoś mądrego lekarza! Co mam robić, żeby cię ratować, pomóż mi, powiedz! Ty mnie słyszałaś w ogóle? Śniło ci się coś?

Kris jest rozdygotany. Widział, jak nie żyje. Co odpowiesz, kiedy mam ze sobą wyłącznie straszne pamiątki. Milion widokówek z retrospektywnej podróży w ludzkie zło, które zmienia człowieka w nowotwór związków rodzinnych. Powiem tyle, ile sama zniósę usłyszeć.

– Tak. Śnił mi się Olek. Że nie był w niebie.

– Olek!?! Nigdy ci się nie śnił. Może raz, wtedy po pogrzebie Kajtusia.

– No tak. Bo o nim nie myślę. A przecież miałam dwóch synów.

– To pomyślisz, Żabeczko, pomodlisz się – mówi wbrew nie-religijnym manierom.

– Ale czy to teraz ma sens, kiedy on żyje?

Tym pytaniem strzelam Krisowi w głowę. Nie zabijam. Jest w szoku, ale zbiera się do walki z moją logiką. Nasze głosy wiążą się w dyskusję rozłącznie.

– Jesteś chora, masz przywidzenia!

– Był zupełnie sam. Płatał się po szpitalu za tym dzieckiem.

– Musisz się leczyć, to nie jest żaden wstyd!

– Na moich oczach wszedł w martwe ciało parodniowej dziewczynki!

Nic nie rozumiesz, Kris! Byłam dzisiaj na spotkaniu z błędami, których nie naprawię bez dziecka. To błędy oprawione w trumnę. Może być coś gorszego? Przytrafić się dobremu chłopcu, żeby umarł? Tak, to ja z brzegu nieszczęścia pomachałam na pożegnanie. Nie mów, Kris, o lekarzach, psychiatrach, czarodziejach. Jedyne, czego potrzebuję, to Ani z ulicy Noblistów.

– Gdyby tej małej była potrzebna jakaś operacja, będę pomagać!

Szczytuje kakofonia zdań rzucanych jak granaty. W końcu ktośś z nas krzyczy „koniec!”, ale nadal patrzymy pod kątem niezrozumienia. Jego wzrok prosi o przyznanie się do obłądki.

– Tak. Olek żyje. Ma na imię Ania.

Nie pojedę dziś do koledżu. Odwołam wykłady. Niech italińscy idą do pizzerii na zajęcia ze smaku. Ja mam do przetłumaczenia własny życiorys.

Patrzę nerwowo na Krisa.

– Mógłbyś już nie szemrać o dobrych psychiatrach? Mógłbyś sobie pójść?

Wychodzi zły. Wraca po laptop. Będzie szukał dowodów na moją niepoczytalność.

A ja zaplanuję teraz czas przyszły. Rozłożę to niebudzenie na prawdę i sen. Prawdę – na winę i przypadek. Winę rozdzielę na moją i nie moją. Poważę. Odszukam Anię i znajdę Olka. Razem na pewno dotrzemy do Kajtusia. Znowu będziemy razem. Inaczej.

Pod blokiem kręcą się niebieskie łuny. Zaraz do mieszkania wejdzie Mateusz.

Wspomnienie o Janinie Podlodowskiej

Jak błędny rycerz walczyłam o moje wiatraki

EDYTA
KOREPTA



Janina Podlodowska

Powroty do przeszłości są ważne, wyzwalają to wszystko co istotne, co przetrwało i dlatego powtórka z polskiego, z literatury staje się niejako niepowtarzalną koniecznością, szczególnie w przypadku osób, które wywarły niewątpliwy wpływ na rozwój kultury humanistycznej na Śląsku. Należy do nich Janina Podlodowska – kilkadziesiąt lat związana z Rybnikiem. Znana i ceniona w środowisku, cieszyła się dużym autorytetem i to nie tylko jako poetka, ale poetka-nauczycielka, która wychowała dla Śląska wielu nauczycieli, w tym polonistów, ale również tworzyła poezję pełniącą konkretną misję. Ujawniając własną tożsamość, wpisała się w życie określonego śląskiego środowiska.

Swój program życia określiła wyrażenie w wywiadzie przeprowadzonym przez Macieja Szczawińskiego (28 grudnia 1988 r. dla radia katowickiego): *Piszę po to, żeby żyć, żeby się trzymać życia. To jest właściwie mój „modus vivendi”, a w dalszej części uzupełnia treść spełnionego życia: Świat, który jest trzeba przyjąć, trzeba w niego mimo wszystko wrosnąć. Ten własny świat budowałam tutaj, ucząc tutaj w liceach pedagogicznym i ogólnokształcącym, to mi dawało ogromną satysfakcję, pracując z młodzieżą mimo trudnej sytuacji; były bowiem różne tabu, których nie wolno było dotykać. Świat budowałam sama, realizując ideały patriotyzmu, honoru, ojczyzny. Byłam pełna entuzjazmu, czyniłam to z potrzeby serca i to było akceptowane.*

Interesująco przebiegała jej droga do Rybnika. Urodzona w Krakowie w 1909 roku w rodzinie aktorów dramatycznych, Władysława Bielenina i Heleny Rozwadowskiej, Śląskowi oddała całą młodość, życie dorosłe, nauczając oraz szerząc wielką, prawdziwą kulturę humanistyczną. Już przed wojną mieszkała na Śląsku; maturę zdawała w katowickim gimnazjum im. A. Mickiewicza. Po ukończeniu filologii polskiej w Uniwersytecie Jagiellońskim w 1934 r. roz-

poczęła pracę nauczycielską w Katowicach, a kontynuowała w Tarnowskich Górach. Po wojnie wróciła na Śląsk i nauczwała w rybnickich szkołach do przejścia na emeryturę w 1979 roku.

Wspominam ją jako „moją Panią od polskiego” z okresu nauki w liceum pedagogicznym. Jak ważną tam rolę odegrała, trudno przecenić; zawdzięczam jej bardzo wiele i to nie tylko w okresie szkolnym, choć on zadecydował o kierunku moich zainteresowań i studiów. Odwiedzałam ją po latach w Rybniku w mieszkaniu przy ul. Kościuszki, dyskutowaliśmy o jej projektowanej sztuce teatralnej, o nowych wierszach. Pamiętam biurko, na którym stała maszyna do pisania, zauroczona byłam atmosferą przytulnego mieszkania, gdzie królowały książki i wnoszę, iż na te wrażenia składały się wspomnienia szkolne; zawsze była moją Panią Profesor – elegancką z odrobiną oryginalności, również w sposobie bycia. Spokojna, zdystansowana, o wielkiej kulturze osobistej, nigdy na nas nie podniosła głosu; wymagająca, ale bez przesady. Nauczyla ważyc słowo, po norwidowsku „odpowiednie dać rzeczy słowo” (sama w swej twórczości walczyła o każde słowo). Jej nauczycielska praca nie kończyła się na lekcjach – zachęcała do angażowania się w szerszą literacką działalność, dając przykład uczestnictwa w życiu kulturalnym miasta; przechowuje pierwsze numery rybnickiego tygodnika „Nowiny” z 1957 roku, w którym zamieszczała, ku naszemu zachwytowi, wiersze, reportaże, felietony.

Z perspektywy czasu i nabytego doświadczenia pedagogicznego konstatuje, iż w nauczaniu języka polskiego stosowała niekonwencjonalne metody, wyprzedzając dydaktyczne teorie o wiele lat. Było to działanie w pełni uświadomione, czego dowodzi wygłoszona w jednej z publikacji teza: „Więcej uwagi w nauczaniu dla humanistycznej treści kultury i życia rozszerzy horyzonty myślowe i uczuciowe młodzieży, nauczy ją powa-

gi i odpowiedzialności za swe czyny”. Teraz rozumiem w pełni uświadomiony przez moją polonistkę sens niekończących się dyskusji dotyczących postaw bohaterów literackich i oceny ich wyborów. A takie nauczanie wymuszało czytanie lektur szkolnych – kanon był ważny, choć pamiętam, *Stare i nowe* Rudnickiego nam „podarowała”.

W rozmowach podkreślała, że swoją postawę wobec świata wyniosła z domu. Rodzice – aktorzy dramatyczni tworzyli atmosferę intelektualną, nie przywiązywali wagi do dóbr materialnych. Siostra także była aktorką. Coś z tego przenosiła na szkolne lekcje i wznosiła literackie zainteresowania uczniów np. opowieścią o ojcu – uczestniku wesela Lucjana Rydla z chłopką, Jadwigą Mikołajczykówną, w Bronowicach – wesela, które zainspirowało Stanisława Wyspiańskiego do napisania narodowego dramatu.

Pisać zaczęła wcześniej i publikowała swe wiersze i opowiadania, w „Polsce Zachodniej”, „Kuźnicy”, „Na straży”. W 1930 roku została członkiem pierwszego na Śląsku Klubu Literackiego z legitymacją nr 5. Już w 1946 roku założyła w Rybniku Klub Literacki „Kontakty”; ta grupa literacka zainicjowała Rybnickie Dni Literatury odbywające się do dnia dzisiejszego.

Równoległe z pracą nauczycielską i społecznikowską rozwijała swą działalność twórczą: od 1957 roku publikowała swe wiersze, opowiadania, reportaże i recenzje w rybnickich „Nowinach”, a także w „Epoce Literackiej”, „Głosie Nauczycielskim”, „Życiu Literackim”, „Poglądach”. Wydała 5 tomików poezji: *Pióro na wietrze* (1983), *Żeby była miłość* (1984), *Zderzenia* (1988), *Plonący gościec* (1990, II wydanie 2005), *Akwarele* (1990) Opowiadania *Sobótka w Pszowie*, *Jak rycerz* *Wojśław Lubomkę dostał*, *O psie* *Niezgodzie* i *kocie Dołędze* były drukowane w odcinkach w „Gazecie Rybnickiej”. W 2005 roku w Krakowie ponownie wyszedł wybór

poezji w pięknym bibliofilskim wydaniu zatytułowanym *W obronie róży*.

Szczególny wpływ na jej życie wywarła matka, Helena Rozwadowska, jedna z najbardziej znanych aktorek w Katowicach, która występowała na śląskiej scenie 40 lat. W pamięci pozostała również jako popularna *Maryjka* w nadawanej przez katowicką rozgłośnię radiową audycji „Śląska Czelodka Radiowa” jako żona *Karlika* – Stanisława Ligionia. Matce poświęciła poetyckie wspomnienia; wyobrażenie Zmarłej wplecione zostało w teatr, bowiem teatr stanowił o jej życiu, stąd pytanie, jakie zrodziło się w wierszu *O Matce* – „jaka widownia, jaki teatr / po tamtej stronie widowiska”? Padają egzystencjalne tezy o sytuacji granicznej, do której dochodzi człowiek w różnych okolicznościach, a zostaje po nim ślad w pamięci, „w każdej tkanice mojej”. Uwagę zwraca również wiersz pt. *Zaginionemu ojcu*, w którym reminiscencje z aktorskiej przeszłości łączą się z tragizmem nieznanego miejsca jego spoczynku – polskiego żołnierza w drodze do wolności: „Ofelio wstąpił do klasztoru / cytował mi ojciec / a sam zszedł ze sceny / z niedograną rolą”.

Poezja Podlodowskiej, subtelna, wrzuszająca obejmuje kilka warstw znaczeniowych, bliskich każdemu człowiekowi, a szczególnie mieszkańcom śląskiej ziemi, której dzieje nie były jej obce począwszy od tragicznych momentów związanych ze śląskimi uwikłaniami w historię. To okres powstań śląskich zawarty w wierszu *Powstańcy*, II wojna światowa, tragedia narodu w wierszu *Pod ścianą śmierci w Oświęcimiu* i partyzancka walka Polaków o wolność. Również współczesna historia znajduje miejsce w tej poezji, w której autorka dowodzi wrażliwości na sprawy polskie: wymienia w pełnych ekspresji utworach „nasze Październiki, Listopady, Grudnie, Kotwice, Krzyże”.

Podlodowska należy do tej grupy poetów, którzy choć nie urodzeni na Śląsku, wrosli w tę ziemię i w jej kulturę. Dowodzi tego wiersz *Ziemia węgla*, w którym wyznawała: „Do tej ziemi trzeba się urodzić / jak się rodzi rzeźbiarz / dla dłuta / w opornym tworzywie”.

Projekcja świata przebiega w jej wierszach w duchu wielkiej humanistyki. Człowiek jest w nich najważniejszy, więc wiersz *Górnikowi* dedykuje ludziom podziemi, wiecznie zagrożonym przez „pulsy ziemi, dygotanie stropu, sypiący się miał, gaz uwięziony”. Zauważała, że w ekstremalnych warunkach górnikowi towarzyszył wieczny lęk, a brak czujności mógł kończyć się tragedią.

Topos wykradzonego bogom ognia pojawia się w wierszu *Pieśń węgla*, w którym do rangi olimpijskiego zwycięzcy urasta ten bohater, który „skrada się pod kamienną głownię” i rozumie „znajomą mowę ziemi”. Patoz towarzyszący refleksjom nad górnictwem zawodem wynikał prawdopodobnie ze sposobu projekcji świata, miejscami przeintelektualizowanego, ale wynikiem

tego było rozumienie procesów powstawania skarbów ziemi, które zestawione z brutalnie trudną i niebezpieczną pracą górników odzierały z mitów pojmowanie górnictwa. Poetka pisała: „Więc najpierw musisz zwątpić we wszystkie mity / Kiedy kończy się światło” (*Żeby była miłość*).

Zaprezentowane wiersze związane ze Śląskiem są ważne dla naszego regionu, w którym górnictwo kultura nie może zostać zdeprecjonowana przez różnej wagi czynniki ekonomiczne. Sposób obrazowania górnictwa ma w przytoczonych wierszach charakter wyraźnie intelektualny. To twórczość zaskakująca subtelnością, przypominająca, gdzie sięgają początki i gdzie kończą się tragiczne ludzkie losy. Poetka pracę górników oceniała w kategoriach życia i śmierci. W ciemnych zaułkach bowiem często zapomina się o zagrożeniu człowieka „czarnego nurka”. Poetyka prezentowanego świata „kolczastego” jest oryginalna i niepowtarzalna, miejscami wyszukana w sposobie tworzenia odległych nieraz metafor, w posługiwaniu się aluzją literacką.

Poezja była również efektem niepokoju tej wrażliwej humanistki, ciąglego po-

szukiwania prawdy i „światła”. To również poezja, która niejednokrotnie dawała możliwość ucieczki od otaczającej, trudnej codziennej rzeczywistości, zaskakując niezwykłą różnorodnością. To nieustająca próba z jednej strony oparcia obrazu świata na konkretnych sprawach, ale i wyraz zauroczenia śląskim krajobrazem, w którym motyw brzozy uzupełnia znany z autopsji świat hałd, ale to również nawiązanie do śląskiej krainy Beskidów, gdzie „Chrystusik Frasobliwy siedzi nad dróżką”.

Twórczość Podlodowskiej dowodzi dużej erudycji poetki i humanistycznego wykształcenia, jakie zdobyła na krakowskim uniwersytecie. Ze strof jej poezji wyłania się humanistka wyrosła na klasycznej kulturze renesansowych twórców, za ich przykładem nawiązująca do antyku, jak miało to miejsce w wierszach napisanych w motywach dantejskich zatytułowanych *Płonący gościnięc*. Wyznacza ona zadania dla pisarza poprzez pryzmat losu włoskiego poety, który wygnany z rodzinnej Florencji, musiał się realizować na obczyźnie w imię wierności najszlachetniejszym ide-



Janina Podlodowska z Gustawem Morcinkiem

alom. Dante, pełen godności, nie wykonał żadnego gestu, aby uzyskać zgodę na powrót do rodzinnego miasta mimo rozpacz i smutku, zagubienia, rosnącego bólu. Przebacząc swoim przeciwnikom, odniósł nad nimi zwycięstwo. Według autorki, włoski poeta stworzył wzorzec poezji gniewu i krzyku bez zabiegania o poklask otoczenia.

Reinterpretacja klasycznych motywów, pozwalała autorce wyrazić stosunek do pewnych postaw – nigdy nie zabiegać za wszelką cenę o uznanie, ale również nie dzielić ludzi, nie oceniać z poczucia nienawiści i chęci rozrachunku, „bo skona Ziemia we wnętrzościach waszych”. Pisała dalej: „ze złości zrobiliście biesiadę / dzielicie synów na czarnych i białych”.

Plonący gościniec to cykl XXI wierszy bez tytułów, o formie stylistycznej podkreślającej różnorodność poruszanych spraw, ale powiązanych wspólnym tematem: los wielkiego poety i człowieka, którego oceny dokonał „późny wnuk” jeszcze po latach wywołuje przerażenie: za wierność swoim zasadom może człowieka spotkać najgorszy los: wygnanie i samotność. Podmiot liryczny – Dante – chciał coś znaczyć, gdy odczuwał swą wewnętrzną moc i miał odwagę na światło dzienne wydobywać ciemne strony ludzi, ale bez zaciekleści i nienawiści. Zbudował swe dzieło, *Boską komedię*, powodowany miłością i napisał je mową ludu – w języku włoskim, a nie po łacinie.

Poglądy Dantego zawarte w poetyckiej formie dały poetce pretekst do sformułowania własnego programu poetyckiego, w którym wyraziła przekonanie, że twórca może funkcjonować jedynie w obiegu czytelniczym, tylko wówczas ma satysfakcję, gdy jego słowo dociera do ludzi. Wygnanie Dantego nie spowodowało zaniku twórczości, ale odebrało mu odbiorcę, a za tym pewność siebie, gdy rozumiał, iż wśród obcych „pieśń buduje [...] sobie”. I to może stać się dla poety największą pułapką.

Interpretacja motywów dantejskich nie byłaby pełna bez *Beatrycze* i wielkiej miłości wygnanego poety. Uczucia te nie zostały bezpośrednio nazwane, ale odczuwane w szukaniu śladów drogiej osoby w miejscach niedostępnych, gdy imię najdroższej zwierzał echu, wiedział, iż czeka go cierpienie, rozczerwanie, „smak mroku”. Ze strof wyłania się „boska Bice” jako twór wyobraźni, imaginacji jej twórcy. „Niedościgniona”, stała się mitem poprzez śmierć, wyogromniała „wyżej światła”.

Zakorzenie Podlodowskiej w klasycznej tradycji kulturowej znalazło wyraz również w nawiązaniach do czarnońskiego poety, Jana Kochanowskiego. Poezja czarnońska zainspirowała ją do własnych przemyśleń, a Czarnolas urósł do rangi symbolu zapewniającego spokój w naszym wzburzonym świecie. W modlitewnej formie apelowała: „Daj niech się przyśni nam / Czarnolas [...] Użyj cienia / naucz w słowie / w roda-

ków rozmowach / szlachetnej nuty / jak szlachetne zdrowie”.

W poezji tej widoczne jest wyraźne dążenie do rekonstrukcji duchowego dorobku minionych cywilizacji. Poetka, wychowana na kulturze klasycznej, pielęgnowała arystokratyczną postawę artysty, szukając środków wyrazu dla wyrażenia swych tęsknot za uniwersalnym pięknem. Stąd inspiracje antyczne w tej pięknej twórczości i nawiązania do parnasizmu okresu Dwudziestolecia, w którym znajdowała pochwałę klasycyzmu rozumianego jako wzór harmonii przenikający zarówno egzystencję człowieka, jak i dążenie do idealnego piękna. Nie było to popisywanie się erudycją, ale odczuwanie pełni człowieczeństwa, tak charakterystyczne szczególnie dla kultury greckiej.

Sama zawsze wierna humanistycznym ideałom, uważała, że najważniejsze było nie dzieło, a człowiek. Poezją posługiwała się również dla wyrażenia swoich poglądów egzystencjalnych:

Tańczyłam niegdyś na linie
do zawrotu głowy
świat zdawał się
prawdziwą autostradą słońca

Karuzela wiruje nadal
ale lina pękła
zawisłam
pomiędzy za
i przeciw

(O sobie z tomu *Imię róży*)

Konteksty literackie wykorzystywane w twórczości Podlodowskiej sięgały nie tylko kultury klasycznej. Nawiązała również do losu *Małego Księcia*, który na naszej planecie nie miałby szans „oswoić człowieka”, jak oswoił i pokochał różę. Protestowała w „obronie róży” i ostrzegała przed światem szaleńców: „Świat w rękach szaleńców / a moje dni gniewne” i stała w „obronie róży (stąd tytuł zbioru poezji).

Analiza twórczości Podlodowskiej pozwala konkludować, iż jest to poetka, która przyswoiła Śląskowi humanistyczną wizję świata. Widzenie człowieka i jego spraw stało się zasadniczą myślą w poetyce wyszukanej, w której kult piękna połączony został z kultem słowa i dbałością o plastykę poetyckiego zapisu. Pojmowanie piękna manifestujące się w sztuce słowa (o słowo bowiem poetka zdawała się toczyć nieustanny bój, jak w Norwidowskim „odpowiednie dać rzeczy słowo”), stanowiło główną istotę jej pisarstwa.

Związana była również ze śląskim środowiskiem literackim. Jeszcze przed wojną poznała Zofię Kossak-Szczucką, Włodzimierza Zelechowskiego i Gustawa Morcinka. W latach późniejszych stała się członkiem beskidzkiej grupy literackiej „Gronie”. Szczególna znajomość łączyła ją z Gustawem Morcinkiem, czego dowodzi zachowana korespondencja. Znany śląski pisarz nazywał ją „Roztomiałą dziolską”, „Roztomiałą Janeczką”, „Czarnooką Dzieweczką” (po wojnie, w 1949 roku już napisał – Droga Pani Janino!). Co zachwyciło Morcinka? Przede wszyst-

kim radosna młodość studentki; zafascynowany był jej poczuciem humoru i radością z życia. Jak pisał, tego chciałby się nauczyć. Często przytłoczony codziennością, po trudnych przejściach osobistych, szukał miłych kontaktów, a młoda, radosna dziewczyna pomagała mu żyć. Podziwiał również jej urodę, pasjami robił zdjęcia, słał imienninowe życzenia z dopiskiem: „Całuję Januszkę w pokuśliwie usta”, „Dyć dziousze strasznie pszaja”, „Januszcze roztonajmilszej roześmianej, tak bardzo życiem się radującej”. Posłał jej również swoją fotografię z dopiskiem – „niepodarzona, jak sam jej właściciel”. Zachęcał do pisania i pomagał nawiązać kontakty wydawnicze.

Pisarska droga Podlodowskiej była w jakiś sposób sprzężona z Morcinkiem. Wprawdzie ona realizowała się w twórczości poetyckiej, jednak jako autorka interesujących wierszy została uhonorowana za całokształt twórczości Nagrodą im. Gustawa Morcinka.

Na zakończenie pozwolę sobie przytoczyć słowa znamienne dla egzystencjalnych reminiscencji w omawianej twórczości: „Samotna toczę kamienie na piaszczyste plaże / Jak błędny rycerz walczyłam o moje wiatraki” – tymi słowami podsumowała poetka swoje życie. Jakie były zasady życiowe autorki, jaki świat wartości znalazł odbicie w tej twórczości, jakie znosiła przeciwności, gdy przybierała renesansową maskę Kopernika, pisząc: „za niczym nie ząteśknę, co było mi odjęte [...] choć mnie już nie będzie na mojej wieży i tylko przez to com ludziom zostawił czas mój nie minie”? To przesłanie skierowała do czytelników usiłujących odtworzyć niepowtarzalne życie z poetyckich strof. A miało przybrać arkadyjski wymiar. Polegać miało na zbudowaniu świata bez wojen i nienawiści, opartego na porozumieniu wszystkich ludzi i wzajemnym zrozumieniu każdego człowieka („nie zbudujemy wieży Babel”). Symbolem wspólnoty miały stać się stół i lampa nad stołem, rodzinne pieśni oraz poczucie bliskości ludzi bez uwikłania w zbędne spory. Uniwersalność odczuć przemawia w wierszu *Do wnuka*:

Powiedz
późny wnuku
czy mojej mowy nóż krzemienisty
przyda się komu z twego pokolenia

Po omacku szukamy wyjścia z tej
jaskini
w którą zagnała nas ułomność nasza

miotamy się bezsilni od wiary do
wiary
ogarek ledwie w oddaleniu tleje

Powiedz
czy to co dla nas było święte
wyrzucicie na śmietnik

czy ocalicie choćby rąbek nieba?

Czyżby znów historia zatoczyła koło?

W ramach imprezy czytelniczej „Wolność czytania”, która miała swoje miejsce w dniu 11 września 2014 roku, Urząd Miasta Chorzów przy współpracy z „Portem Poetyckim” zaprosił do prezentacji swojej twórczości poetę, prozaika i krytyka literackiego Karola Maliszewskiego. Wieczór autorski odbył się w klimatycznej klubokawiarni „Kultura”, mieszczącej się przy ul. Sienkiewicza w Chorzowie. Gospodarzami wieczoru byli założyciele „Portu Poetyckiego” – Jacek Dudek i Barbara Janas-Dudek.

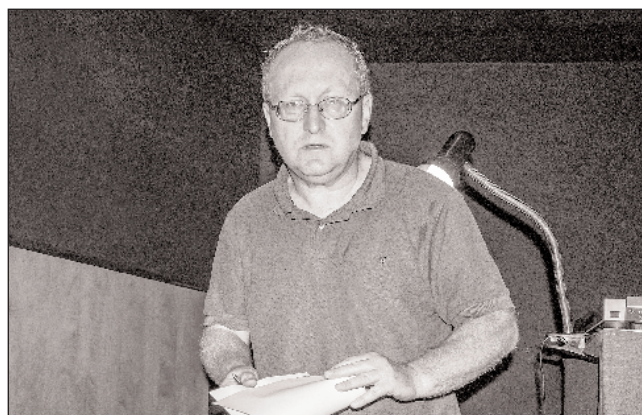


Foto: Jan Mientcuk

Karol Maliszewski na „Wolności Czytania”

Środek tygodnia, późna pora i mżawka nie były w stanie przyćmić wielobarwnej osobowości i talentu pisarskiego Karola Maliszewskiego. Nasz gość przyjechał z Nowej Rudy, leżącej nad Włodnicą u podnóża Gór Sowich, gdzie się urodził i mieszka do dzisiaj. Pracuje w instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Wrocławskiego, jednak wiele lat spędził jako nauczyciel języka polskiego w miejscowej szkole podstawowej. Karol Maliszewski opublikował osiem zbiorów wierszy – ostatnie to *potrawy pośmiertne* z roku 2010 i *ody odbite* wydane w 2012 r. oraz sześć książek prozatorskich, m.in.: *Faramucha* (2001), *Sajgon* (2009), *Manekiny* (2012) oraz ubiegłoroczna książka pt. *Przemysł-Szczecin* nominowana, ku zaskoczeniu autora, do Śląskiego Wawrzynu Literackiego.

Jako krytyk Karol Maliszewski spełnia się na wielu płaszczyznach, zarówno w prasie literackiej, jak i w szeroko pojętej sieci, z której wyławia ciekawe osobowości poetyckie, zaskakujące pióra młodych autorów, wspierając ich swoją wiedzą i doświadczeniem. Jak sam zauważa, trzeba mieć grubą panterę, aby przetrwać w wirtualnym świecie pozbawionym merytorycznej krytyki, naspikowanym „towarzystwami wzajemnej adoracji”, wulgaryzmami i brakiem pokory. W roku 1999 ukazała się jego książka krytycznoliteracka *Nasi klasycyści, nasi barbarzyńcy*, a w 2001 r. druga książka tego typu, zatytułowana *Zwierzę na J. Szkice o wierszach i ludziach*. Jest współautorem podręcznika *Jak zostać pisarzem* (2011).

Karol Maliszewski był jurorem w programie TVP *Dolina Kreatywna* oraz recenzentem literackim w programie *Rewolwer Kulturalny*. W 2007 roku został nominowany do Nagrody Literackiej Nike za tom szkiców *rozproszone głosy*.

Oprócz dorobku literackiego Karola należy wspomnieć niewątpliwie o jego zdolności autoprzedstawienia, autentyczności i wyjątkowej umiejętności dialogu z drugim człowiekiem. Maliszewski posiada naturalną umiejętność utrzymywania słuchacza w zadumie. Sposobem czytania, ciągłego przeżywania

własnych utworów, zaraża słowem. Dzięki barwie głosu, gestykulacji i szczerzej emocji każdy przeczytany przez niego fragment wiersza zapada w pamięć.

Jest godzina 20.00. Pora rozpocząć spotkanie. Telefonuje Karol Maliszewski. Z rozmowy wynika, że pogubił się w śląskich arteriach. Czekamy. Sortujemy materiały dotyczące jego twórczości. Parę minut po dwudziestej dzwoni ponownie. Odnalazł „Kulturę”, więc pomagamy mu znaleźć parking w okolicy. Po chwili ścisłamy „grabę” poirytowanego Karola (nie lubi się spóźniać!) i zapraszamy do środka. Jest zdyszany, zmęczony drogą, ale w pełni przygotowany, by rozpocząć dialog z górnosląską publicznością. Dalej wiadomo – powitanie, notka biograficzna i pytania, które popychają Karola w jego, tak charakterystyczny, „trans” dyskusyjny.

Wszystko, co związane z literaturą, wypełnia Karola całkowicie. Każda książka ma swoją historię, genezę, logiczną, nie pozostawiającą wątpliwości pewność, że utwór o tej właśnie tematyce musiał powstać. Jednak zdarzają się chwile bolesne. Po publikacji *Manekinów* docierały do niego sygnały niezadowolenia z powodu przedwczesnego ujawnienia rodzinnych tajemnic. Wówczas pojawia się refleksja, że czasem nie warto płynąć nurtem gorącej krwi, od razu wydawać, publikować. Należy ochłonić, nabrać dystansu, zawoalować fakty, bo coś po tym, że zrzucimy ciężar, po-

zbędziemy się balastu, jeśli słowo drukowane może pociągnąć za sobą czyjś żal, pogubienie, niechęć do nas samych. W chwilach oddechu Karol czyta swoje wiersze. Wpada w trans. Kołysze ciałem, wyciera pot z czoła. Wciąga nas w swoją poezję autentycznością prezentacji. Pozwala przybyłym słuchaczom zaufać, że to, czego są odbiorcami, wydarzyło się faktycznie. Poezja Karola jest przejrzysta, trafna do bólu z nutą autoironii, jedynym słowem wyjątkowa, a co najważniejsze nie ma w niej kłamstwa, zbędnej kreacji artystycznej czy ozdobników. Autor czasem używa wulgaryzmów, jednak są one niezbędnym dodatkiem do emocji, która w danym momencie musi dojść do głosu. Maliszewski to człowiek, który najpierw przeżywał, a później korzystając ze zdobytego warsztatu, postanowił swoje życie rozpisnąć (*Sajgon, Manekiny*). Najpierw obserwował, a później te właśnie obserwacje

skrupulatnie odnotowywał, budując nową pozycję książkową (*Przemysł-Szczecin*).

Kolejne pytania dotyczą kondycji dzisiejszej literatury. Rozmawiamy o młodych, zdolnych autorach, o dobrych pisarzach niezauważonych, zagubionych w niuansach wydawniczych, o nowych sposobach pisarskiej realizacji. Do dyskusji przyłącza się publiczność. Wchodzimy na tematy słamu poetyckiego i tekstów raperskich. Karol jest pełen uznania dla tych dziedzin pisarstwa, nadaje im znamiona czasu, w jakim żyjemy, pod warunkiem spełnienia kryterium odpowiedniego poziomu literackiego. Kolejne pytania dotyczą inspiracji Karola Maliszewskiego literaturą młodszych pokoleń i tu pada natychmiastowa odpowiedź, że tylko głupcy nie słuchają „wołania młodych”.

Sięgamy w przeszłość, pytając o „romansy” z poetami zapomnianymi. Wspominamy Wandę Karczewską z Kalisza. Maliszewski z zadumą chyli głowę nad tymi, których po latach nieobecności staramy się przywrócić literaturze, *ocalić od zapomnienia*.

Pod koniec spotkania tradycyjne zachęcenie przybyłych odbiorców słowa do zadawania pytań. W ten oto sposób mocny głos publiczności rozpoczął drugą część wieczoru autorskiego Karola. Dyskusja trwała do późnych godzin wieczornych.

Mamy nadzieję, że Karol Maliszewski odnalazł się wśród górnosląskich poetów, zwolenników jego literackiego talentu i zawita do nas ponownie ze swoimi nowymi pozycjami książkowymi. Żywimy nadzieję, iż w przyszłym roku zechce gościć i „zacumować” w XIV edycji Portu Poetyckiego w Chorzowie.

BARBARA
JANAS-DUDEK



Z SHAWNEM CHRISTENSENEM
i PAULEM WESLEYEM o realizacji filmu, depresji
i najbliższej przyszłości w Mystic Falls
rozmawia MARTA BAŁAGA.

Fot. z materiałów festiwalu



Paul Wesley, Fatima Ptacek i Shawn Christensen

Po godzinach

Nielatwo jest nakręcić film. Pieniądzy na realizację nie gwarantuje nawet udział gwiazdora jednego z najpopularniejszych seriali na świecie i zdobycie Oscara, niepozornie wyglądający Shawn Christensen dobrze o tym wie. O przeniesienie na ekran historii rozpoczętej w nagrodzonym Nagrodą Akademii Filmowej krótkim metrażu *Curfew* walczył kilka lat i wreszcie mu się udało – *Before I Disappear* zaprezentowano właśnie na festiwalu w Wenecji.

Akcja filmu rozgrywa się podczas gorącej nocy w Nowym Jorku. Richie (Shawn Christensen) otrzymuje niespodziewany telefon od swojej siostry Maggie, z którą od lat nie zamienił ani słowa (Emmy Rossum). Maggie ma kłopoty i choć nie może powiedzieć co tak naprawdę jej grozi, błaga brata, żeby odebrał ze szkoły jej córkę Sophie (Fatima Ptacek). Richie podchodzi do całej sprawy dość niechętnie – ma depresję, w toalecie obscurnego baru, gdzie pracuje, znalazł martwą dziewczynę, a do tego telefon siostry przeszkodził mu... w samobójstwie. To będzie długa noc.

Osoba przedstawiająca Christensena przed seansem z niedowierzaniem patrzyła w swoje notatki; Amerykanin napisał scenariusz, wyreżyserował i wyprodukował film, a także zagrał w nim główną rolę. *Before I Disappear* przewyżniał trzykrotnie – co chwilę włączał się alarm przeciwpożarowy, a raz zapomniano o włączeniu napisów, na co włoska publiczność zareagowała wyjątkowo nerwowo. Nic dziwnego, że po projekcji Christensen wydawał się nieco zmęczony, na szczęście u boku miał wieloletniego przyjaciela, aktora, debiutującego producenta oraz wampira na pełen etat Paula Wesleya, z którym, jak się okazało, można rozmawiać także... po polsku.

– Seans był dość... interesujący

Paul Wesley: Przerwali film w samym środku sceny gdy duszę Richiego! Takie rzeczy się zdarzają i nie mamy na to wpływu. Trochę mnie to rozczarowało, sens chodzenia do kina polega na tym, że przez półtorej godziny skupiasz się wyłącznie na filmie. W naszym przypadku widzowie zostali z tego skupienia wytrąceni, ale nie zmienia to faktu, że *Before I Disappear* zobaczy jeszcze wielu lu-

dzi. Miejmy nadzieję, że już bez wyjątkowych alarmów przeciwpożarowych.

– **Shawn, *Curfew* przyniósł ci Oscara i stanowi punkt wyjścia *Before I Disappear*. Dlaczego postanowiłeś zrobić na jego podstawie film pełnometrażowy?**

Shawn Christensen: Film krótkometrażowy jest, jak wskazuje sama nazwa, krótki. Nie ma w nim czasu na to, żeby naprawdę zgłębić pewne zagadnienia i rela-

cje pomiędzy bohaterami. Pomimo tego, że został dobrze przyjęty, niestety bardzo niewiele osób ogląda krótkie metraże. Zawsze będę je robił, ale nie da się ukryć, że film pełnometrażowy wzbudza zdecydowanie większe zainteresowanie. Tak już po prostu jest. W swojej karierze napisałem wiele scenariuszy, które zostały zmasakrowane przez wielkie wytwórnie i moje poczucie własnej wartości jako pisarza było znikome. Powód, dla którego powstał *Curfew* był prosty – chciałem przekonać się, czy powinienem dalej próbować swoich sił w tym biznesie, czy też rzeczywiście jestem do niczego. Jedynym sposobem na to, żeby się o tym wreszcie przekonać było samodzielne wyreżyserowanie filmu. Miałem nadzieję, że w najgorszym razie spodoba się przynajmniej kilku osobom. Stało się inaczej.

– **Niektóre z twoich scenariuszy trafiły nawet na słynną Czarną Listę (prestiżowe zestawienie najlepszych niezrealizowanych scenariuszy – napis autorki)**

SC: Czasem sprzedajesz scenariusz którejś z wytwórni, oni zmieniają w nim każde słowo od góry do dołu, a ty wciąż figurujesz jako jego autor, bo wpadłeś na sam pomysł i wymyśliłeś imiona bohaterów. W porządku, czemu nie – pieniądze za te scenariusze wykorzystywałem kręcąc filmy. Zaczynałem jednak odnosić wrażenie, że to, co robię nie ma sensu. Salinger wkurzał się, gdy ktoś przedstawiał mu przecinki. Ja natomiast oglądałem film, który powstał na podstawie mojego scenariusza i myślałem sobie: chciałbym móc się wściekać z powodu przecinka. Podobnie było w przypadku mojego zespołu *Stellastarr**. Fajnie było mieć zespół, ale nie nagrywaliśmy przebojów i często graliśmy w pustych barach w Wisconsin. To też może być fajne, ale gdzieś z tyłu zawsze ma się poczucie, że nie jest się wystarczająco dobrym.

– **Czy zdobycie najważniejszej nagrody w przemyśle filmowym zmieniło twoje życie?**

SC: Na pewno wielu ludzi zwróciło wtedy na mnie uwagę. Na jakieś 2 minuty (*śmiech*). Nigdy nawet nie trzymałem w ręce statuetki Oscara, wręczono go Fatimie, bo jest silniejsza. Potem przez resztę wieczoru nie wypuściła go z rąk i nigdy więcej już go nie zobaczyłem (*śmiech*). Do momentu, gdy otworzyłem Facebooka i zobaczyłem setki wiadomości tak naprawdę nie zdawałem sobie sprawy z tego, co się stało. Pierwszą z nich wysłał mi Luke Matheny, który dwa lata wcześniej wygrał za cudowny film *God of Love*. Pogratulował mi, a ja od razu zapytałem go, co mam teraz zrobić. Myślę, że ludzie mają trochę dziwne wyobrażenia na temat tego, co tak naprawdę oznacza wygrana. W końcu nie zarabia się w ten sposób pieniędzy.

– **Ciekawe jest to, że pomimo faktu, że *Curfew* został, jak to ująłeś, dobrze przyjęty, trudno było doprowadzić do realizacji jego pełnometrażowej wersji.**

SC: Ciężko zebrać fundusze na niskobudżetowe filmy. Czasem wydaje ci

się, że pewne drzwi powinny stać przed tobą otworem, a tu okazuje się, że przeszłość to przeszłość i nie ma nic wspólnego z chwilą obecną. Czasem nawet musiałem wykorzystywać materiał z poprzedniego filmu, bo nie było mnie stać na dokrętki. Sam jestem zaskoczony, że bardziej nie rzuca się to w oczy. Moim producentom powiedziałem, że budżet filmu powinien być trzy razy większy, bo ważną rolę ma w nim odgrywać muzyka. Od początku chciałem wykorzystać piosenkę Davida Bowie, rozmawiałem z jego managerem i powiedziałem mu, że kręcąc niskobudżetowy film i że bardzo zależy mi na tym, żeby wykorzystać tę piosenkę. Podałem mu bardzo niską sumę i w odpowiedzi usłyszałem tylko ciszę (*śmiech*). Kiedy skończyłem montować scenę wysłałem mu ją, żeby zdał sobie sprawę, że nie chodzi o zwykły podkład i wtedy odpisał, że w to wchodzi. Z innymi znanymi artystami było podobnie.

– **Grająca w obu filmach mała Fatima Ptaček bardzo wyrosła.**

SC: Tak, stanowiło to pewien problem, prosiłem nawet jej tatę, żeby przestał ją karmić (*śmiech*). Było dla mnie ważne, żeby zrobić z nią ten film. W pierwszym filmie Sophia jest nieświadoma tego, co się dzieje i zupełnie niewinna. Kiedy Fatima trochę podrosła otworzyło to nowe możliwości, nagle mogła być sprytniejsza i bardziej wyculona na to, co przytrafia się Richiemu. Pojawiła się między nimi inna, ciekawsza dynamika.

– **Jak udało ci się przekonać Paula, żeby wyprodukował film?**

SC: Z Pauliem chodziliśmy razem na warsztaty aktorskie w liceum, znamy się od lat. Pamiętam, że kiedyś miałem problemy ze scenariuszem i bardzo mi pomógł. Tak bardzo, że kilka miesięcy później udało mi się go sprzedać. Zawsze rozmawiamy o naszych projektach, nasza współpraca była więc czymś jak najbardziej naturalnym.

– **Paul, twój bohater to prawdopodobnie najbardziej ekstremalna postać w *Before I Disappear*.**

PW: Doskonale go rozumiem, kiedy byłem nastolatkiem musiałem chodzić na zajęcia kontrolowania agresji! Gideon traci dziewczynę i odchodzi od zmysłów – jeśli chodzi o kobiety, mnie też zupełnie odważa. Dorastałem w Nowym Jorku, wielu moich przyjaciół z dzieciństwa skończyło w więzieniu. W podejranych sąułkach miasta spędziłem sporo czasu, na szczęście udało mi się z tego wyrwać. Shawn zawsze zabierał mnie na jakiś koncert czy przedstawienie i otworzył mnie na ten świat. Wtedy wstydziliśmy się przyznać moim znajomym, że jestem aktorem, uważałem to zajęcie za zniewieściale. Dzięki niemu przestałem tak myśleć. Aktorstwo pomogło mi w radzeniu sobie z gniewem, przestałem pakować się w kłopoty. Myślę, że ludzie, którzy decydują się zostać aktorami bardzo często zmagają się z jakimiś demonami. Jak przystało na dur-

nego 16-latka do więzienia trafiłem na szczęście tylko za jakieś bójki. Nie było to nigdy nic poważnego, ale wystarczało, by mama nie spała przeze mnie po nocach.

– **Shawn, czy ty też przypominasz Richiego?**

SC: Z pewnością też mam depresję, zarówno przed, jak i za kamerą. Pisząc postać Richiego od początku starałem się, by jak najłatwiej było mi wejść w jego skórę. W przypadku filmu o tak ograniczonym budżecie jak nasz mogłem sobie pozwolić na powtarzanie scen najwyżej dwa, trzy razy. Nie było czasu na to, żeby nie mieć depresji (*śmiech*).

– ***Before I Disappear* jest opowieścią o nocnym Nowym Jorku, przypomina trochę pewien znany film z Griffinem Dunne.**

SC: Znam te miejsca, sam pracowałem w obskurnych klubach i żeby mieć na czynsz sprzedawałem w nich za kilka stów portrety Lou Reeda. Gdy pisałem scenariusz i pokazywałem go różnych osobom, zawsze słyszałem od nich, że jest jak *Po godzinach*. Widziałem ten film wiele razy. Scorsese był wtedy w trudnym momencie życia, nic nie wyszło z kilku jego filmów i postanowił wrócić do korzeni. Myślę, że samo to zainspirowało mnie bardziej niż sam film. Zwykle idę na plan i po prostu próbuję się do niego dostosować, pozwalam, żeby do mnie przemówił. To bardzo organiczny proces.

– **Paul, jesteś znany głównie z roli w serialu *Pamiętniki wampirów*. Czemu postanowiłeś wyprodukować i zagrać w filmie, który zupełnie odbiega od tego, co dotychczas robiłeś?**

PW: Prawda jest taka, że nie można złamać telewizyjnego kontraktu, a ja nie cieszyłem się dotychczas stabilnością finansową umożliwiającą mi swobodne wybieranie tego, co robię. Nie jestem bogaczem i ciągle będę pracował w telewizji, bo jest to świetny sposób na zarabianie pieniędzy i opowiadanie historii. Telewizja to coś wspaniałego, ale nie chcę już poświęcać jej całych lat mojego życia. *Pamiętniki...* kręcę od 6 lat i ominęła mnie możliwość nakręcenia wielu interesujących filmów. Serial dał mi bardzo dużo i jestem za to wdzięczny, ale niedługo się kończy i cieszę się na myśl o kolejnym rozdziale mojego życia. Po *Before I Disappear* założyłem własną firmę producencką i jestem gotowy na zmianę. Pamiętam, że oglądając *American Beauty* pomyślałem, że to bardzo interesujące spojrzenie na życie w Stanach. Byłem wtedy bardzo młody i chyba po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że chciałbym zostać filmowcem.

– **Wyreżyserowałeś już jeden odcinek serialu.**

PW: Kolejny wyreżyseruję za kilka miesięcy. Mam świetną relację ze scenarzystami i producentami, stanowimy zespół. Ludzie czasem wysuwają dość samolubne żądania, na przykład w nowym sezonie chcą mieć atrakcyjną dziewczynę, ale każdy wnosi coś wartościowego. Widzowie odczuwają więc z bohate-

rami, gdy mogą się do nich w jakiś sposób odnieść. Gdy uda nam się nadać im ludzki rys, okazuje się to efektywniejsze od znikania czy czytania w myślach. Dlatego też mam nadzieję, że w nowych odcinkach *Pamiętników wampirów* znajdzie się mniej fantastycznych elementów. Na pewno szykuje się kilka zmian, ja najchętniej wróciłbym do okresu, kiedy w miasteczku Mystic Falls żyło tylko dwóch wampirzych braci. Ale to nigdy nie nastąpi.

– **Jako dziecko zagrałeś u samego Spielberga.**

PW: Tak, w *Raporcie mniejszości*. Moja scena została ostatecznie wycięta, ale pracowałem z Tomem Cruisem i Samanthą Morton. Byłem strasznie nerwowy i zupełnie beznadziejny, po prostu mnie sparaliżowało. Myślę, że do końca nie zarejestrowałem wtedy, co się wokół mnie działo, jak niezwykłe było to doświadczenie. Teraz bardziej to doceniam. Po latach ponownie spotkałem Stevena, ale w międzyczasie zmieniłem nazwisko i chyba mnie nie rozpoznał, a ja nie chciałem mu przypominać o tym, jak się wtedy nie popisałem. Może pomyślał o tym samym i nie chciał mnie zawstydząć (*śmiech*). Samej sceny nigdy nie udało mi się zobaczyć, bo nie chcą ich wydać na DVD. Może to i dobrze.

– **No właśnie, naprawdę nazywasz się Paweł Wasilewski, jesteś Polakiem i świetnie mówisz po polsku. Czy chciałbyś nakręcić coś w kraju? Pracowałeś już z Agnieszką Holland.**

PW: Tak, z Agnieszką zrobiliśmy razem film dla HBO. Niedawno oglądałem trylogię Kieślowskiego i bardzo bym chciał nawiązać współpracę z jakimś młodym polskim reżyserem. Z Polską łączy mnie silna więź, przyjaźnię się z Janem Kaczmarkiem, który założył w Poznaniu festiwal filmowy Transatlantyk. Jestem jego ambasadorem i gdybym miał więcej czasu od razu bym tam pojechał, ale wciąż kręcimy ten cholerny serial.

– **Czy wydaje ci się, że z powodu pochodzenia inaczej spoglądasz na Amerykę?**

PW: Z całą pewnością. Sporą część dzieciństwa spędziłem w Polsce, przez lata lataliśmy tam i z powrotem. Spędzałem trzy, cztery miesiące z dziadkami w Polsce, a potem wracałem do New Jersey i naprawdę byłem w stanie przyglądać się wszystkiemu z większą obiektywnością. Dzieciaki jeździły na letnie obozy, ja jeździłem do Polski. Moi rodzice poznali się w warszawskim liceum, potem mój ojciec dostał się na uniwersytet w Stanach. Jest inżynierem komputerowym i stanowi moje zupełnie przeciwieństwo, choć jako dzieciak został zaczepiony na ulicy przez reżysera Wadima Berestowskiego i znalazł się w obsadzie dość popularnego serialu *Jagoda w mieście*. Był to jedyny raz, kiedy pracował jako aktor – najwyraźniej telewizja jest mi po prostu pisana.

Dekalog polski – reaktywacja

ALEKSANDRA
MIECZYŃSKA
ADAM
REGIEWICZ

będziesz miał innych bogów obok mnie. Nie czyni sobie podobizny rzeźbionej czegokolwiek, co jest na niebie w górze, i na ziemi w dole, i tego, co jest w wodzie pod ziemią. Nie będziesz się im kłaniał i nie będziesz im służył, gdyż Ja, Pan, Bóg twój, jestem Bogiem zazdrosnym, który karze winę ojców do trzeciego i czwartego pokolenia tych, którzy mnie nienawidzą. A okazują łaskę do tyśiącznego pokolenia tym, którzy mnie miłują i przestrzegają moich przykazań.” (Wj 20, 2-5).

Pierwsze przykazanie wypowiedziane bezpośrednio przez Boga („Jam jest...” itp.) i dotyczące samego Boga jest przede wszystkim zapowiedzią życia i wolności. Nie ma w tym przypadku, że Dekalog odnoszący się do moralnego porządkowania i systematyzowania zachowań człowieka w świecie zaczyna się od sięgnięcia do jego wnętrza. Jak powie potem Chrystus, nic co jest z zewnątrz nie czyni człowieka nieczystym, ale wszystko, co pochodzi z jego wnętrza, dlatego Dziesięć Słów – jak nazywają Przykazania Izraelici – zaczyna się od ustalenia pewnej hierarchii, dzięki której wszystko znajduje swoje miejsce. Niedobre jest bowiem, gdy człowiek uzurpuje sobie prawo i czyni się bogiem dla innych, rodzi to śmierć dla niego i dla otaczających go bliskich. Jak zauważył podczas spotkania o. dr Michał Legan, z przykazania tego płynie jeden wniosek: przestrzeganie go daje wolność, poczucie szczęścia wynikające z odnalezienia własnego miejsca, a – konsekwentnie – jego niewypełnianie oznacza tragedię dla niego samego jak i dla otoczenia. Dlatego mowa w nim o doświadczeniu niewoli i wyprowadzeniu na wolność – to opis nie tyle sytuacji historycznej Izraela, ale stan, w jakim znajduje się każdy człowiek, egzystencjalnie. Ten stan niewoli to poczucie uwięzienia, które każdy przeżywa w kontekście swego funkcjonowania w społeczeństwie. Jak pokazuje pierwsze przykazanie powodem frustracji nie jest opresyjna kultura ani inne mechanizmy społeczne, ale właśnie nieuporządkowanie wewnętrzne, brak ramy, która porządkowałaby życie. Można powiedzieć, że ramą tą jest właśnie pierwsze przykazanie, bez którego każde kolejne nie ma podstawy bytu. Z prawdziwego i realnego wypełniania pierwszego przykazania bowiem w naturalny sposób wynika przestrzeganie pozostałych i odwrotnie. Jak zauważył o. Legan w zakazach *nie będziesz...* zawarta jest obietnica: „Przyjdzie taki dzień, w którym nie będziesz zabijał, nie będziesz kradł, nie będziesz cudzołożył”. Biblijnym wypełnieniem tej obietnicy jest nowotestamentowy nakaz Jezusa i Jego słowa o największym przykazaniu: „Będziesz miłował Pana, Boga swego, z całego serca swego i z całej duszy swojej, i z całej myśli swojej. To jest największe i pierwsze przykazanie. A drugie podobne temu: Będziesz miłował bliźniego swego jak siebie samego” (Mt 22,37). Tutaj z mocno akcentowanej formy zakazu: „nie”, przekaz przechodzi w formę nakazu miłości, z doświadczenia negatywnego w pozytywne ukierunkowanie ludzkiej woli. Podążając tropem biblijnego myślenia: niemożliwe do wypełnienia starotestamentowe prawo Zakonu staje się możliwym do przyjęcia przez człowieka poprzez zbawienie dane przez Boga w osobie Jezusa Chrystusa.

Film Michała Tkaczyńskiego *Księżyc to Żyd* opowiada historię metamorfozy Pawła Bramsona, kibica Legii Warszawa, zdeklarowanego, aktywnego i agresywnego

Fot. Aleksandra Mieczyska



Pierwsze spotkanie odbyło się 17 września w sali Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater” w Częstochowie, na zdjęciu: o. dr Michał Legan, dr hab. Adam Regiewicz prof. AJD oraz reżyser Michał Tkaczyński.

25 lat po słynnym „Dekalogu” Krzysztofa Kieślowskiego w Częstochowie rozpoczął się cykl spotkań zatytułowanych „Dekalog polski – refleksje nad przykazaniami w perspektywie polskich filmów dokumentalnych”. Organizatorem, koordynatorem i realizatorem projektu jest Pracownia Komparatyki Kulturowej Instytutu Filologii Polskiej Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie, której członkowie (autorzy poniższego omówienia) wraz z zaproszonymi gośćmi: reżyserem Michałem Tkaczyńskim i teologiem o. dr. Michałem Leganem, podejmują refleksję nad współczesnym odczytaniem jednego z dziesięciorga przykazań. Pomocą w tym zadaniu mają być polskie filmy dokumentalne, które odwołując się do najlepszej tradycji reportażu są nie tylko doskonałym zwierciadłem życia społecznego i obyczajowego, czego dowodził niejednokrotnie wspomniany już Krzysztof Kieślowski, ale stawiają uczestników spotkań w perspektywie „tu i teraz” – wobec wyzwań codzienności. Przyglądanie się przykazaniom w takiej perspektywie daje możliwość nie tyle ogólnych rozważań teologicznych, bo od takich pomysłodawcy chcą raczej odchodzić, ile stanowi pretekst do szukania kulturowych i etycznych kontekstów życia we współczesnym świecie. To, co najbardziej interesujące wydaje się organizatorom, to możliwość konfrontowania się z Dekalogiem w osobistej, personalnej relacji, do której proponowane filmy mają pobudzać, prowokować.

Oczywiście, samo podjęcie takiego zagadnienia może budzić sprzeciw zarówno tra-

dycjonalistów, którzy w zderzeniu Prawa Mojżeszowego z kulturą popularną reprezentowaną przez film mogą widzieć negatywne zjawisko banalizacji, jak i piewców nowoczesności, dla których temat Dekalogu jest zdecydowanie *passé*, jednak pomysłodawcy spotkań, przyjmując postawę hermeneutyczną, stawiają Dziesięć Przykazań jako konstrukcję kulturową (stąd przyjęcie podczas spotkań najbardziej rozpowszechnionej w Polsce wersji katechetycznej dziesięciorga przykazań z nauczania Kościoła rzymskokatolickiego) i zarazem etyczno-moralną (stąd chęć podjęcia dyskusji na temat kondycji moralnej człowieka we współczesnej rzeczywistości), będącą do dziś podstawą najważniejszych systemów religijnych świata: judaizmu, katolicyzmu, prawosławia i protestantyzmu, a także normą w stanowieniu prawa oraz w pozareligijnym postrzeganiu rzeczywistości. Niezależnie bowiem od przyjmowanej postawy filozoficznej czy poznawczej, rodzącej często bunt, sprzeciw i stawiającej się w opozycji do tradycji biblijnej, trudno zaprzeczyć, że Dekalog jest jedną z tych konstrukcji aksjologiczno-mentalnych, bez których nie można określić swojej tożsamości.

Pierwsze spotkanie odbyło się 17 września, w sali Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater” w Częstochowie. Za punkt wyjścia do rozmowy na temat pierwszego przykazania wybrano wielokrotnie nagradzany film Michała Tkaczyńskiego *Księżyc to Żyd*.

„A Pan mówił wszystkie te słowa i rzekł: Jam jest Pan, Bóg twój, który Cię wyprowadził z ziemi egipskiej, z domu niewoli. Nie

przeciwnika wszystkiego, co nie-polskie, ale żydowskie, cygańskie czy w ogóle – inne. Paweł – już w dorosłym życiu, ale tak naprawdę na jego początku – dowiaduje się, że sam ma pochodzenie żydowskie, co powoduje w jego życiu niemałe trzęsienie ziemi. Zmagając się z prawdą o sobie, o swojej rodzinie, powoli staje się gorliwym (nie mylić z fanatycznym) wyznawcą judaizmu, jak niegdyś był gorliwym „kibolem”. Opowiedziana w filmie historia Bramsona pozwala się czytać paralelnie z historią Pawła (Szawła) z Tarsu, którego zapał i oddanie Bogu zostało ukierunkowane w inny sposób po objawieniu pod Damaszkiem. Film operuje podobnymi figurami do tych znanych z Dziejów Apostolskich: prześladowania „nieprawowiernych” (chrześcijan-kibiców innych druzyn), walki o dobre imię, wymierzania kary niewiernym, oddania swego życia dla tej posługi i wreszcie samego momentu nawrócenia, któremu towarzyszy „osłepienie”. Pięknie opisuje to doświadczenie sam bohater filmu, który wspomina o niemożności znalezienia sobie miejsca, błąkanii się, buncie i kilkumiesięcznym procesie akceptowania tego faktu, wreszcie zwróceniu się do gminy żydowskiej, która podobnie jak niegdyś pierwsi chrześcijanie wobec św. Pawła, podchodzą do neofity z dużym dystansem. Zresztą, film operuje kilkoma opozycjami: „starym” i „nowym” życiem obu Pawłów, tego nowotestamentowego i tego żyjącego współcześnie, ale także kontrastem języka dwóch religii: futbolu i judaizmu, dwóch filozofii

życia opartych na przemocy i łagodności, nienawiści i miłości, śmierci i życia.

W jaki sposób film Michała Tkaczyńskiego odnosi się do pierwszego przykazania Dekalogu i może stanowić źródło refleksji dla współczesnego człowieka? Jedną z niewątpliwych zalet tej produkcji jest świetne uchwycenie napięcia pomiędzy tradycją biblijną a rzeczywistością teraźniejszą: historia niewoli egipskiej i wyprowadzenia na wolność Izraela a także kontekst służenia obcym bogom, wobec którego stawiane jest pierwsze przykazanie, zostaje odczytane w perspektywie życia „tu i teraz”. Paweł Bramson jako kibic Legii staje niczym Izrael wśród wielu obcych bożków, których oswaja, zapożycza, którym oddaje cześć, a które przesłaniają mu wszystko: rodzinę, bliskich, ale nade wszystko przesłaniają jedynego Boga, Boga Izraela. I nagle staje on wobec informacji, a później świadomości swego pochodzenia. Jak Izraelici wobec Mojżesza. Historię Pawła można odczytywać jako swoistą parabolę, która odnosi się do życia każdego, zadając pytanie: jakie imiona noszą twoje bożki: praca, pieniądze, przyjaciele, wyjazdy zagraniczne. Czy nie jest tak, że dziś to one właśnie ustawiają swoją hierarchię wartości, spychając na plan dalszy to, co naprawdę ważne? To są pytania, wobec których nie można przejść obojętnie, jeśli tylko faktycznie dojdą do uszu (stąd chyba nieustanne wołanie rozlegające się w Księdze Wyjścia i Powtórzonego Prawa: „Słuchaj Izraelu!”). Można to wezwanie zignorować, ale można też przyjąć ze wszyst-

kimi konsekwencjami, jak uczynił to bohater filmu.

Za deklaracją tożsamości musi iść wyznanie wiary, co świetnie ilustruje filmowa historia, która pokazuje Pawła podporządkowującego całe swoje życie nakazom religijnym i podejmującego wyzwanie godne Abrahama. Jego historia pokazuje, że pierwsze przykazanie to wezwanie do gorliwości, dzięki której wszystko trafia na swoje miejsce. Żadnych obcych bogów – poza naklejką z logiem Legii na szafce w synagodze i takimż brelokiem przy kluczach do samochodu. Ale też, jak pokazuje historia Pawła, ta miłość do ukochanej drużyny piłkarskiej, kiedy już została w życiu Pawła postawiona na miejscu po Bogu i rodzinie, daje mu – o czym zapewnia reżyser, Michał Tkaczyński – możliwość spotkania się z kolegami ze stadionu i pokazywania własnym przykładem, że w życiu człowieka możliwa jest przemiana. Nawet przewracająca życie do góry nogami.

Wszystkie spotkania odbywają się w cyklu miesięcznym w Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater” w Częstochowie, przy ul. Dąbrowskiego 1. Spotkania moderują: o. dr Michał Legan (Katedra Teologii Mediów Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie), Aleksandra Mieczysława (dziennikarka), dr hab. Adam Regiewicz, prof. AJD (Akademia im. Jana Długosza w Częstochowie), Michał Tkaczyński (reżyser).

Drogie Koleżanki, Drodzy Koledzy!

Dziewięć lat temu, z inicjatywy ówczesnego Zarządu Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy RP w Katowicach, rozpoczęły się prace nad stworzeniem słownika biograficznego śląskiego środowiska dziennikarskiego. Na czele Komitetu Redakcyjnego stanął Honorowy Przewodniczący Zarządu Oddziału, poseł na Sejm RP IV kadencji, redaktor Kazimierz Zarzycki.

Zarówno wtedy jak i teraz, pozostajemy jedynym stowarzyszeniem dziennikarzy na Górnym Śląsku, w Zagłębiu Dąbrowskim, na Podbeskidziu, Ziemi Cieszyńskiej i Ziemi Częstochowskiej, które podjęło starania o rzetelne udokumentowanie tego, co dzieło się w naszym środowisku od roku 1945 roku aż po czasy obecne.

Niestety, ambitny zamysł stworzenia słownika w 2005 roku, nie doczekał się urzeczywistnienia. Kontynuując dzieło jego inicjatorów sądzimy, że zbliżający się jubileusz siedemdziesięciolecia działalności śląskiego dziennikarstwa w okresie powojennym, będzie najlepszą okazją do wznowienia podjętych niegdyś starań. Mamy nadzieję, że tym razem uda się doprowadzić do wydania leksykonu. Jesteśmy o tym przeświadczeni tym bardziej że nasz pomysł wsparł dr **Tadeusz Sierny**, prezes Wydawnictwa Naukowego „Śląsk” i Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, deklarując gotowość publikacji „Słownika” w formie książkowej. Swoją pomoc w tym zbożnym dziele zaofiarował nam także: prof. **Marian Gierula** – kierownik Zakładu Dziennikarstwa Uniwersytetu Śląskiego, prof. **Marek Jachimowski** z Zakładu Dziennikarstwa Uniwersytetu Śląskiego i prof. **Jan Malicki** – dyrektor Biblioteki Śląskiej.

Wzorem „Leksykonu polskiego dziennikarstwa”, opracowanego przez dr Elżbietę Ciborską, „Leksykonu dziennikarzy Ziemi Łódzkiej 1945-2005”, opracowanego przez zespół redakcyjny Oddziału SD RP w Łodzi pod kie-



List Stowarzyszenia Dziennikarzy RP Oddział w Katowicach

runkiem red. Ryszarda Poradowskiego, internetowego „Leksykonu szczecińskich dziennikarzy”, opracowanego przez zespół redakcyjny Oddziału SD RP Pomorze Zachodnie w Szczecinie, „Słownika dziennikarstwa Lubelszczyzny”, opracowywanego przez znanego dziennikarza, medioznawcę red. Leszka Gzellę, „Znaków pamięci”, opracowywanych na bieżąco przez Zespół Starszych Dziennikarzy Oddziału SD RP Kujawsko-Pomorskiego w Bydgoszczy także i my mamy zamiar przywołać sylwetki ludzi mediów naszego regionu.

Nasz „Słownik” obejmować będzie okres od roku 1945 do roku 2015, możliwie jak najpełniej odzwierciedlając to, co w dziennikarstwie dzieło się w tych latach na obszarze dzisiejszego województwa śląskiego. Będzie to swoiste kompendium wiedzy o ludziach, tytułach prasowych, wydawnictwach i innych instytucjach medialnych reprezentujących różne opcje programowe i światopoglądowe.

Zamierzenie wymagać będzie ogromnego wysiłku intelektualnego oraz organizacyjnego. Także zebrania znacznych środków na jego realizację. Komitet Redakcyjny podjął już działania mające na celu zgromadzenie odpowiednich funduszy i skupienie wokół projek-

tu jak największej liczby sympatyków i sponsorów. Projekt „Słownika” spotkał się także z życzliwym przyjęciem władz wojewódzkich.

Drogie Koleżanki, Drodzy Koledzy,

Zwracając się do Was z prośbą o pomoc i współudział w pracach nad wydaniem słownika biograficznego „Śląskie środowisko dziennikarskie w latach 1945 – 2015”, oczekujemy wypełnienia załączonej ankiety i dołączenia do niej zdjęć.

W „Słowniku” znajdą się biogramy dziennikarzy uprawiających zawód przez co najmniej 5 lat, zarówno w tytułach prasowych, jak i w mediach elektronicznych. O częściowe przynajmniej wypełnienie ankiety prosimy również rodziny oraz przyjaciół i znajomych zmarłych dziennikarzy, o ile dysponują oni stosownymi informacjami. Kształt „Słownika” oraz jego wartość zależeć będzie także od Państwa życzliwości.

Przewidujemy, że „Słownik” ukaże się z końcem 2015 roku. Najpierw opublikujemy go w formie cyfrowej na stronie internetowej Stowarzyszenia Dziennikarzy RP, co posłuży ostatecznej weryfikacji danych. Później stanie się dostępny w księgarniach, w nakładzie około 2 tysięcy egzemplarzy.

Zarezerwujemy na jego kartach specjalne miejsce dla sponsorów. Będzie to dla instytucji wspierających całe przedsięwzięcie atrakcyjna forma promocji i reklamy.

Jednocześnie informujemy, że do kontaktów ze sponsorami upoważnieni zostali red. Kazimierz Krzyśków i red. Zbigniew Paweł Szandar, którzy pozostają do dyspozycji pod numerami telefonów 600 577 155 oraz 604 058 562 oraz e-mail: sdrp.katowice@op.pl

Pozostajemy z wyrazami szacunku,
ZARZĄD STOWARZYSZENIA
DZIENNIKARZY RP
ODDZIAŁ W KATOWICACH



By przywrócić pustynny charakter wycięto drzewa i krzewy na obszarze 300 ha.

Powrót pustyni

Tekst i zdjęcia:
JERZY MACHURA

Atrakeji przyrodniczych w Polsce nie brakuje. Inne narody mogą pozazdrościć, bo mamy zarówno góry jak i morze, i jeszcze jeziora, a i rzeki pokazne. Nie dość na tym jednak, bo na obszarze Polski jest i pustynia. Co prawda, nie dorównuje ona tym afrykańskim czy azjatyckim, ale i tak stanowi ewenement w skali europejskiego kontynentu.

Pustynia Błędowska, bo o niej tu oczywiście mowa, rozpościerająca się na pograniczu Śląska i Małopolski (a dokładnie: Wyżyny Śląskiej i Wyżyny Olkuskiej), zajmuje obszar o długości 10 km i szerokości ok. 4 km, w sumie 33 km kwadratowych. Średnia miąższość piasków tu zalegających to 40 m (maksymalnie 70 m). Przyjeżdżający tu w ostatnich latach turyści coraz częściej wyrażali rozczarowanie, spodziewając się ogromnych piachów, a rozczarowanie to pogłębiały rozrastające się zarośla. W głosy te wsłuchiwali się samorządowcy z Klucza i w reakcji na krytykę w ub. roku obwieścili... zakaz wstępu na ten teren.

Niech się jednak nie martwią miłośnicy spacerów po piasku, bo od 1 lipca te-

go roku znów można swobodnie penetrować Pustynię Błędowską. Po co zatem był ten wielomiesięczny zakaz? Nie, nie była to przekorna złośliwość, bo samorządowcy z Urzędu Gminy postanowili: jeśli mówi się „pustynia”, to niechże przynajmniej jej część nią będzie. I w okresie zakazu wstępu realizowano prace rekultywacyjne w ramach unijnego projektu „LIFE+”.

– *Władze gminy Klucze chcą przywrócić pustyni naturalny wygląd* – potwierdza Agnieszka Walnik, kierownik projektu w Urzędzie Gminy. – *W pierwszym etapie pracowali tu saperzy usuwając niewybuchy i niewypały, potem pustynią zajęli się przyrodnicy, by przeprowadzić przyrodniczą inwentaryzację. Ponadto dokonano wycinki drzew i krzewów, po to, by na ten chroniony obszar znowu powróciła roślinność charakterystyczna dla terenów pustynnych.*

Cały projekt rekultywacyjny realizowany był dzięki dotacji unijnej i wsparciu Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska. Koszt przedsięwzięcia wyniósł 9,8 mln złotych. Unijne dofinansowanie to 50 proc. wydatków, Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Warszawie wy-

łożył 45 proc. całej sumy, a pozostałe 5 proc. to wkład z budżetu gminy.

Z niewybuchów oczyszczono 400 ha południowej części pustyni, w tym na 300 ha wycięto drzewa i krzewy, pozostawiając strefę buforową na 100 ha. Bo działania te dokonywały się li tylko w tej części pustyni, która należy do Gminy Klucze. Inne części to domeny Lasów Państwowych i Ministerstwa Obrony Narodowej – tam prac nie prowadzono. Na obszarze pozostającym w zarządzie LP (a administrowanym przez Nadleśnictwo Olkusz) nie będzie żadnych zmian, bo spory areal to obszary wchodzące w skład sieci Natura 2000. A także dlatego, co podkreślają leśnicy, że teren wzdłuż meandrującej Białej Przemszy to również atrakcja dla mieszkańców, choćby ze względu na czystość wody, w której żyją nawet raki, które jak wiadomo zanieczyszczeń nie tolerują.

Efekt natury i człowieka...

O Pustyni Błędowskiej słyszał pewnie każdy, ale w przeszłości funkcjonowały jeszcze inne, mniej znane nazwy. Najpierw był jeden wielki (ok. 130 km kw.) obszar piasków. Potem pustynia

„rozdzieliła się” na Błędownską, Starczynowską i Ryczowską, co wiązało się z powstawaniem kolejnych wiosek i rozbudową infrastruktury, która podzieliła ten duży teren. Bo Pustynia Błędownska to efekt zarówno procesów naturalnych, jak i działalności człowieka. Jej początki sięgają czasów sprzed 2-3 milionów lat, kiedy w dolomitowo-wapiennych skałach triasowych istniały głębokie doliny wydłużone przez rzeki. Potem, w epoce lodowcowej pradolina rzeki Białej Przemyskiej wypełniła się naniesionymi piaskami i żwirami, a z czasem, w związku ze zmianami klimatu na cieplejszy, pojawiła się roślinność leśna. Kolejny etap wiąże się z wydobywaniem na skalę gospodarczą w XII i XIII w. rud, zawierających ołów i srebro. Wtedy, wobec nadmiernej eksploatacji lasów, zaczęło się zjawisko pustynnienia.

Wzrastało zapotrzebowanie na węgiel drzewny do opalania pieców hutniczych (od XIII do XVIII w. działało tu ok. 50 hut). Później drewno potrzebne było także na obudowę szybów kopalnianych, a zwłaszcza sztolni odwadniających wyrobiska górnicze (używano głównie dębiny). Wylesienia spowodowały, że od XVI w. występowały znaczne trudności w zaopatrzeniu w drewno, które częściowo dostarczane musiało być z lasów miejskich wokół Olkusza. W związku z tym doszło do wydarzenia bez precedensu: olkuszcy rajcowie w końcu nie dopuścili do korzystania z tych lasów, a drewno sprowadzać musiano z Błędowna, Chechła czy Ryczowa. Był to jeden z najwcześniejszych w dziejach, aktów celowej ochrony lasów.

Mimo to zasoby leśne kurczyły się coraz bardziej. Cienka warstwa gleby została zniszczona, co spowodowało uruchomienie luźnych piasków, które wespół

z erozją wietrzną doprowadziły do powstania wydmy. W ten sposób odsłoniło się 130-150 km kw. piasków, sięgających na południu aż w okolice Szczakowej. Niosło to ze sobą konsekwencje – poziom wód gruntowych opadł do tego stopnia, że zahamował rozwój roślinności. Prowadzona dalej eksploatacja piasku podsadzkowego, budowlanego i formierskiego, wydobywanego metodą odkrywkową, powodowała zniekształcenia terenu, psucie krajobrazu, niszczenie pokrywy glebowej i roślinnej. Działalność samej piaskownicy w rejonie Szczakowej, Bukowna, Olkusza spowodowała odwodnienie około 10 tys. ha powierzchni w nadleśnictwach Olkusza i Chrzanów, doprowadzając do obniżenia poziomu wód podziemnych nawet o 50 m.

Miraże i realia

W latach 50. minionego stulecia próbowano zawładnąć pustynią. Część jej zaorano i obsiano wierzbą kaspijską oraz sosną. Ponadto, znaczne zmniejszenie powierzchni odkrytych piasków spowodowały pyły przemysłowe i podnoszenie się poziomu wód. Część południowa pustyni niemal całkowicie zarosła.

Dawniej zdarzało się tu nawet zjawisko fatamorgany. Ostatnio jednak pustynia jakby zanikała i stopniowo pokrywała się ciepłolubnymi zaroślami oraz drzewami iglastymi. Z tzw. Dużej Pustyni Błędownskiej pozostały tylko: prawie zarosnięta Pustynia Starczynowska oraz Dziadowskie Morze koło Boru Biskupiego, w okolicach Bukowna.

Tereny te były zawsze użytkowane jako poligony wojskowe, a pozostałością po tym są m.in. ruiny radiolatarni. Już przed wojną był to teren ćwiczebny dla jednostek lotniczych Wojska Polskiego

stacjonujących w Krakowie. Ćwiczone zrzuty, bombardowania. W okresie II wojny światowej teren poligonowy wykorzystywał Wehrmacht, podobno prowadziły tu manewry także jednostki Africa Corps. Potem, przez wiele lat, odbywały się ćwiczenia naszych spadochroniarzy. Ostatnio przyjeżdżają tu jednostki desantowe NATO. W tym celu wojsko częściowo „odkrzaczyło” ten teren i usunęło samosiewy, aby ułatwić lądowania.

Co dalej z tą pustynią-nie pustynią? Pojawiają się różne głosy, także wątpliwości płynące z ust sceptyków, znawców przyrody. A ci uważają, że tutejsze warunki klimatyczne w żaden sposób nie odbiegają od sąsiednich, czyli praktycznie nie ma szans, aby Pustynia Błędownska była obiektem trwałym. Będzie dalej zarastała i kiedyś, w perspektywie kilkudziesięciu lat, las wróci. Bo to jest obiekt sztuczny. Warunki naturalne nie pozwalają, by ten unikalny charakter się utrzymał. To nie Sahara. Poza tym, w wyniku emisji przemysłowych zostały tu wprowadzone pyły, które użyźniły ten piasek. Żeby to były takie piaski jak na Saharze, należałoby zdjąć warstwę wierzchnią do 40 cm.

Samorządowcy z Klucza wierzą jednak, że przeprowadzone tu prace znów mnożyć będą imprezy turystyczne w rodzaju „Pustynnych miraży” (organizowanych przez Stowarzyszenie „Polska Sahara”) czy harcerskich manewrów pod nazwą „Pustynna Burza”. Że przywrócone zostaną liczne ścieżki i trasy turystyczne, np. szlak pustynny „Z Błędowna do Ryczowa” lub pomarańczowy szlak jeździecki „Transjurajski Szlak Konny”. I że w ostatecznym rachunku wzbogaci to kasę gminy. Agnieszka Walnik mówi, że dopiero gdy wprowadzono zakaz wstępu, przekonano się jak wielkie jest zainteresowanie Pustynią Błędownską. Przekonano się na podstawie niezliczonych pytań i prób o specjalne zezwolenie wstępu. Ostatnio głośno było o kolejnych pomysłach na pustynię: cross maratonie i półmaratonie, oczywiście po piaskach – inicjatywach Stowarzyszenia Aktywna Dąbrowa. O przyszłości tego europejskiego ewenementu zastanawiano się też podczas dwudniowej konferencji międzynarodowej w Kluczach podsumowującej projekt, której finałem było otwarcie (1 października br.) stałej ekspozycji Pustynnego Centrum Informacji.

Dodać warto, że chcąc ułatwić dojazd zmotoryzowanym turystom, urządzony zostanie trakt będący odgałęzieniem od trasy Klucze – Bolesław, a jego udostępnienie przewiduje się łącznie z otwarciem ścieżek dydaktycznych.

Zatem, niezależnie od poglądów i przewidywań, prawda jest taka, że na dziś pustynię mamy, znów mamy.



Piaszczyste tereny Pustyni Błędownskiej niejednokrotnie wykorzystywane były i są do manewrów wojskowych. Na zdjęciu: pozostałości z II wojny światowej.



Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

EKOLOGIA



Na Wyżynie Śląskiej od dawna jej nie ma. Ustąpiła miejsca przemysłowej cywilizacji. By wyobrazić sobie i poczuć w jej przestrzeni zmurszałe ślady pierwotnego lasu, którego europejskie fragmenty zachowały się tylko w Puszczy Białowieskiej, trzeba wznieść się na wyżyny sztuki, kultury i ochrony przyrody równocześnie.

Stało się to możliwe dzięki niezwykle mu projektowi, poruszającej swoim artryzmem i treścią wystawie „Arbores Vitae” – ostatnia taka puszcza”. Miejscem jej prezentacji jest nieprzypadkowo plenerowy „dach” Śląskiego Ogrodu Botanicznego w Mikołowie.

Z jego wieży widokowej widać nie tylko rozciągające się aż po horyzont szczyby górnicze i kominy. Także rozległe, betonowe skupiska miast.

Zderzenie skrajnych krajobrazów, uwiecznionych na wielkoformatowych fotografiach i filmowych kadrach z przemysłowym pejzażem, budzi wielkie emocje. Pozwala też lepiej zrozumieć, bardziej doceniać i miejmy nadzieję, skuteczniej chronić – takie unikatowe przyrodniczo miejsca jak Puszcza Białowieska.

To ostatni, w pewnym sensie pierwotny, fragment nizinnych lasów liściastych i mieszanych w Europie. To

Puszcza nad Śląskiem

również nasz największy skarb narodowy. I prawdziwy matecznik bioróżnorodności, decydującej o istnieniu żywego świata. Jedna z ostatnich ostoi ginących gatunków roślin i zwierząt, których w Puszczy Białowieskiej zidentyfikowano dotąd ponad czternaście tysięcy! Ich zasoby genowe znikają z Ziemi w przyspieszonym tempie. Od tysiąca do dziesięciu tysięcy razy większym niż przed erą przemysłową.

Zasoby puszczańskich gatunków swoje trwanie zawdzięczają stosunkowo dobrze zachowanemu naturalnym lasom i ich potężnym drzewom. W miejscach, gdzie człowiek nie „naprawiał” natury. Gdzie pozwalał im samodzielnie obumierać, murszeć i żywić leśne organizmy.

Powalone ze starości drzewa, pozostawiane w lesie są najlepszym siedliskiem

dla tysięcy organizmów. Każdy ma określoną, życiodajną rolę. Jak np. grzyby. W puszczy doliczono się ich kilka tysięcy gatunków! One nie tylko pomagają rozkładać drzewa, powalone ze starości, ale przede wszystkim dostarczają tym żywym najlepszego pokarmu.

Do dziś w Puszczy Białowieskiej rosną najbardziej okazałe, potężne drzewostany, liczące sobie po stokilkadziesiąt i więcej lat! Oczywiście nie wszędzie. W części zagospodarowanej, gdzie drzewa się wycina gospodarczo, średnia ich wieku wynosi tylko 73 lata. Jedynie na obszarze ścisłej ich ochrony, w Białowieskim Parku Narodowym czyli prawdziwym mateczniku dzieki przyrody średnia wieku wydłuża się do lat 130!

Najliczebniejszym gatunkiem w puszczy jest świerk pospolity. Po nim sosna zwyczajna. Za nim dopiero olsza, dęby i brzozy. Jeśli świerczyny rosną w towarzystwie olszy i jesionów, w pobliżu rzek czy w dawnych ich korytach tworzą tzw. olszaki czyli las bagienny. Najwięcej jest wielogatunkowych drzew liściastych. To one tworzą w puszczy największe połacie lasów mieszanych. Dorodne lipy, klony i graby zwykle występują razem. Na ich tle wyróżniają się wiekowe, wysokie na ponad 40 metrów dęby szypułkowe o charakterystycznej, niewielkiej koronie. Lasy z prze-



Fot. © Jan Walencik

wagę drzew szpilkowych, tworzące puszczańskie bory, zajmują nieco mniejsze powierzchnie niż te liściaste. To siedlisko decyduje, jakiego typu las czuje się w nim najlepiej.

Puszcza to też przestrzeń do życia dla kilkadziesiątu gatunków ssaków. Tutaj żubry żyją na wolności. Znakomicie czują się nie tylko wilki, rysie czy kuny. Pojawiają się żbiki. Ostoje ptaków, chronionych siecią Natura 2000 są jej nieocenionym bogactwem. Podobnie jak rzadkie gatunki owadów czy roślin naczyniowych: paproci, widlaków, skrzypów, mchów, porostów i mszaków.

Los rzadko sprzyjał puszczańskiemu przyrodzie. Przed wiekami chronili ją polscy królowie. Podczas zaborów, trzebili władcy Rosji. Największe straty poniosła podczas I wojny światowej. Rąbano ją na potęgę. Nawet żubry wybito do nogi. Po odzyskaniu niepodległości drewno pozyskiwano dalej, ale... to w okresie międzywojennym wydzielono pierwsze rezerwaty. Jeden z nich, ten pierwszy, był zaczątkiem utworzenia, po kolejnej, niszczycielskiej wojnie światowej, Białowieskiego Parku Narodowego. Powstał on w 1947 roku, na niewielkiej powierzchni zaledwie 5072 hektarów. PRL też mu się dobrze nie przysłużył. Nawet wówczas, gdy w 1979 roku BPN trafił na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO.

Powiększono go dopiero po transformacji ustrojowej, w 1996 roku o około 5400 hektarów. Stało się to po wielkiej, spektakularnej kampanii społecznej aktywistów ekologicznych z kraju i zagranicy. Gdy na własne oczy zobaczyli w Białowieskim Parku Narodowym pnie wyrąbanych kilkusetletnich dębów, jeden z nich zawieźli na platformie pod gmach Sejmu. Nie ustawały też protesty pod ministerstwem środowiska i pod samym BPN.

Z pomocą mediów wiedza o źle chronionej puszczy dotarła do świata. Powstrzymano wycinkę ponad stuletnich drzew. Sam Park... powiększono nieznacznie. Puszcza Białowieska rozciąga się bowiem na ponad 140 tysiącach hektarów powierzchni w granicach Polski (62 tys. ha) i Białorusi (87 tys. ha). Wraz ze strefą buforową to obszar ponad dwukrotnie większy. W Polsce chroniona jest ściśle zaledwie trzydziestoprocentowa jej część. W Parku Narodowym i w rezerwach.

Niedawno, 23 czerwca 2014 roku znów zaświtała nadzieja. Po ośmiolletnich, wspólnych staraniach Polski i Białorusi, cały obszar transgranicznej Puszczy Białowieskiej został wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. To wielki sukces nie tylko obu puszczańskich krajów. To przede wszystkim zwieńczenie wieloletnich wysiłków i starań organizacji pozarządowych, środowisk nauki i kultury, ekologów i przyrodników także z zagranicy, zabiegających o rzeczywistą ochronę tego globalnego dziedzictwa.



Fot. © Jan Walencik

Powalony, omszony pień dębu z epifitami czyli poroślami

Walki o trwanie puszczy nie kończy czerwcowy wpis na listę światowego dziedzictwa. Jest on tylko kolejnym zobowiązaniem Polski i Białorusi do zachowania ostatniego w Europie, lasu nizinnego z pierwotnym rodowodem. To społeczeństwa tych krajów muszą go bronić przed naporem cywilizacji, ludzką pazernością i bezmyślnością. Te zjawiska dalej mają się dobrze. Przypomniała o tym całkiem niedawno Najwyższa Izba Kontroli.

Wystawa

To również przesłanie wystawy „ARBORES VITAE – ostatnia taka puszcza” i towarzyszący jej program edukacyjny w ramach kampanii społecznej „Różnorodność – potęgą życia”, prowadzonej przez Śląski Ogród Botaniczny.

Zorganizowanie jej zawdzięczamy Wojewódzkiemu Funduszowi Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach, który kolejny wsparł hojnie Śląski Ogród Botaniczny.

Zawdzięczamy także inicjatorom i organizatorom projektu: Sylvie i Krzysztofowi Derdacckim, założycielom Fundacji Europejskie Centrum Ziemi.

Głównie jednak Janowi Walencikowi. To jeden z najlepszych polskich fotografów i dokumentalistów, mocno związany z Puszczą Białowieską, gdzie od ponad 20 lat zamieszkuje z żoną Bożeną. Wspólnie nakręcili kilkadziesiąt filmów przyrodniczych dla Telewizji Polskiej oraz stacji telewizyjnych w czołowych krajach unijnych i w Stanach Zjednoczonych. Wśród nich te najpiękniejsze o prastarej puszczy i jej mieszkańcach.

Co to znaczy dla nich samych, dla ochrony przyrody i dla odbiorców ich twórczości, można zobaczyć na tej niezwykle, mikołowskiej ekspozycji oraz podczas spotkań filmowych i edukacyjnych w Śląskim Ogrodzie Botanicznym.

W plenerze, na szczycie Sośniej Góry rozmieszczono 80 wielkoformatowych fotografii, o wymiarach 180x120 cm. Te niezwykle, nastrojowe zdjęcia, opatrzone naukowym komentarzem, pisany prostym, pięknym językiem, ilustrują bogatą bioróżnorodność i życie Puszczy Białowieskiej z nieprzeciętnym mistrzostwem i wrażliwością.

Ich uzupełnieniem są plansze informacyjne na temat puszczy i jej bogactwa oraz ochronie pierwotnych lasów świata. Z tekstami takich autorów jak m.in.: prof. Andrzej Strumiłło, obrońca dzikiej przyrody; prof. Tomasz Wesołowski, ornitolog; dr inż arch. Janusz Korbel, zasłużony dla ratowania puszczy ekolog czy prof. Paweł Kojas, botanik, dyrektor SOB.

Równie ważne jak sama wystawa, która potrwa do 2 listopada br. są towarzyszące jej codzienne (także w weekendy), niekonwencjonalne zajęcia dydaktyczne. W każdą niedzielę także projekcje filmów dokumentalnych o Puszczy Białowieskiej. O prawdziwym sanktuarium przyrody. Unikatowym laboratorium natury, w którym naukowcy badają procesy przyrodnicze, funkcjonujące od tysięcy lat. W jednym z ostatnich miejsc, gdzie człowiek nie wszystko zdążył „naprawić”.

Taki jest przekaz wystawy „ARBORES VITAE”. Wystawy – wydarzenia, jakiego na Śląsku dotąd nie było!

JOLANTA MATIAKOWSKA



Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

EKOLOGIA



Najszlachetniejsza metafizyka

Trudno w to uwierzyć, ale znany i lubiany fotografik Zbigniew Podsiadło świętuje jubileusz 40-lecia pracy twórczej. Z tej okazji otwarto w Zamku Sieleckim w Sosnowcu wielką wystawę jego prac. Nie jest to retrospektywny wybór zdjęć z bogatego dorobku artysty, ale fotografie najnowsze, często nieznanne szerszej publiczności.

Dla mnie jubileusz Podsiadły ma szczególne, osobiste znaczenie. 40 lat temu także rozpoczynałem pracę w pierwszej swojej redakcji „Wiadomościach Zagłębia” i tam po raz pierwszy zetknąłem się ze zdjęciami Zbyszka. Pamiętam, że trafiły na łamy tygodnika, będąc swoistą jego ozdobą, ale ich autor nie został fotoreporterem. Myślę, że nie każdy dziennikarski temat był na tyle interesujący dla mającego własną wizję fotografa by rozmieniać się na drobne. Jego ówczesne prace miały już ten charakterystyczny do dzisiaj sposób widzenia świata – ostre kontury, głębokie czernie, klarowna kompozycja. Przy niedoskonałej ówczesnej technice druku, zdjęcia Podsiadły prezentowały się na łamach świetnie, chociaż zarówno warunki wywoływania, jak i formaty były delikatnie mówiąc skromne. Pokazane w Gallerii Extravagance zdjęcia zachwycają nie tylko tematyką (ileż tu najszlachetniejszej metafizyki!), doskonałością artystycznej wizji i kompozycją, ale także perfekcyjną jakością – tym samym są dowodem na to, jak ogromny krok zrobiła szlachetna sztuka za trzymania w kadrze nie tylko obrazu, ale przeżyć i przemysłów.

Witają widza najbardziej rozgadane fotografie – symbole odchodzącego świata. „Stacja Kije”, przy której nie zatrzymują się już pociągi... Ciemne chmury nad starym stacyjnym budynkiem, warto go jednak zabezpieczyć – na horyzoncie bowiem jasno... Może kiedyś powrócą tutaj podróźni. Tuż obok dwa najmocniejsze akcenty wystawy: „Wiejska zagroda” i „Witamy w piekle”.

Na pierwszym planie „Wiejskiej zagrody” zniszczona plandeka, niczym gęsto utkana pajęczyna, próbuje chronić powóz, niemego świadka dawnej świetności tego miejsca. Obejście wydaje się martwe. Nagle wzrok przyciąga stojący w drzwiach mężczyzna i znowu pojawia się nadzieja, może nie wszystko stracone... „Witamy w piekle” to przerażający obraz mężczyzny pchających wózek i chyba jedyny zdecydowanie pesymistyczne na wystawie. Artysta jest tu tylko kronikarzem, który uchwycił okiem fotoreportera (a jednak!) moment umierania ulicy.

Tryptyk „Schody”, który znalazłem w wielkich reprodukcji, nieprawdopodobnie zyskuje w dużym formacie: staje się wręcz malarski, rozedrgane linie, poprzecinane krzywizny, wszystko to razem wiruje, powodując lekki zawrót głowy. Przed nami „Wielkopolska” i znów zdawać by się mogło dysonans. Dorodna kukurydza i stary drewniany wiatrak, któremu pozostało już tylko jedno zdewastowane skrzydło. To jego koniec. Wielkopolska słynie wszak z gospodarności... „Droga” natomiast prowadzi do nadziei, wszystko tutaj jest na swoim miejscu, plastycznie wręcz szkolna kompozycja. Trudno znaleźć ludzi na prezentowanych w Gallerii Extravagance fotografiach. Naliczyłem raptem pięć osób! Jeśli już są, to stapiają się z pejzażem w nierozzerwalną całość, jak „Zakonnice” z Olomuńca. Świadczy to o wielkiej skromności i nieśmiałości artysty. Nawet jego akty (nieobecne, niestety, na jubileuszowej wystawie) są tego dowodem. Ale, ale... prezentowany jest również znakomity portret starszego mężczyzny z rowerem zrobiony na Słowacji („Bardejov”).

Wreszcie będący najjaśniejszym punktem ekspozycji cykl „Industrialna katedra” poka-

zany w największej sali Gallerii Extravagance. Prace perfekcyjnie doskonałe. To krzyk w obronie ginących na naszych oczach zabytków przemysłowych, będących dla bezmyślnych rabusiów wyłącznie magazynem złomu i materiałów budowlanych. Kiedyś traktowano w ten sam sposób najpiękniejsze jurajskie „Orle gniazda”... Podsiadło kocha postindustrialne zabytki, wydobywa ich nierzeczywiste piękno. Potrafi nas przerazić oblepiającą czernią i ucieśzyć światłem. Jak pisze Andrzej Baturo: *Tutaj najwyraźniej widać nowego Podsiadły. Szeroki kąt podkreśla monumentalność architektury, a równocześnie ogrom dewastacji. I to niebo, czasami przerażająco białe, a innym razem – smolisto czarne. To obraz futurystyczny. Może końca naszej cywilizacji, a może końca świata.* Olbrzymia i zarazem najpiękniejsza fotografia cyklu przedstawia neogotycki gmach (cementownia w Grodźcu jest równie piękna jak szamotownia w Łazach i równie zaniedbana!) rozpadający się na boki. Straszy, zachwyca i budzi ciekawość: czy to już naprawdę koniec? Nie tylko tej dumnej i pięknej – niczym słynny zamek Krzyżtopór – budowli...

Zadziwia „Księżycowy pejzaż” – całkowita pustka popiaskowego wyrobiska widziana oczami lękającego się o przyszłość naszej planety artysty. O każdej pracy Zbigniewa Podsiadły można pisać bez końca, prowokując bowiem do refleksji, bawią i czarują... Wspomnę jeszcze o dwóch, które zatrzymały mnie na dłużej. Są optymistyczne i przekazują dobrą energię. To „Niepokalana” sfotografowana w 2012 r. (to ważne) na tle starej chałupy, porażająca metafizycznym światłem oraz piękna fota starego cmentarza tonącego w wiosennych kwiatkach z cyklu „Postoje pamięci”. Czy tak wygląda raj?

Bałem się spotkania po latach z twórczością Zbigniewa Podsiadły. Tym większa radość, że mogę ją w całości zaakceptować i serdecznie polecić wszystkim kochającym dobrą sztukę, nie tylko fotografię. Mam małe zastrzeżenie do tytułu wystawy „W szarościach”. *Szarość symbolizuje monotonię, pospolitość w przeciwieństwie do barwności, koloru. (...) Dlatego potocznie szarość oznacza brak koloru* – powiadają najpopularniejsze definicje. U Podsiadły czerni walczy z bielą i... wszystkimi odcieniami szarości. W jego pracach są to krzyczące kolory!

WITOLD KOCIŃSKI

ZBIGNIEW PODSIADŁO urodził się w 1955 r. Mieszka i pracuje w Sosnowcu. Od 2004 r. prezes Okręgu Górskiego Związku Polskich Artystów Fotografików ZPAF i członek Zarządu Głównego ZPAF. Laureat szeregu konkursów i wystaw fotograficznych. Za swoją twórczość wielokrotnie odznaczany. Członek Rady Programowej Centrum Sztuki – Zamek Sielecki. Brał udział w ponad dwustu wystawach międzynarodowych i krajowych – otrzymał medale i nagrody na wystawach w Zagrzebiu, Singapurze, Rio de Janeiro, Budapeszcie, Moskwie, Madrycie, Pekinie, San Francisco, Berlinie. Uczestnik i organizator plenerów i sympozjów artystycznych a także juror wielu międzynarodowych i krajowych konkursów fotografii, w tym międzynarodowego URBAN-2014 Street Photo Contest – Exhibition, organizowanego w Trieście. Autor ośmiu indywidualnych wystaw tematycznych. Opiekun artystyczny Stowarzyszenia Miłośników Fotografii w Sosnowcu.



Witamy w piekle, 2004



Stacja Kije, 2011



Wielkopolska, 2012

ZBIGNIEW PODSIADŁO

Fotografie



Industrialna katedra, 2008-2010



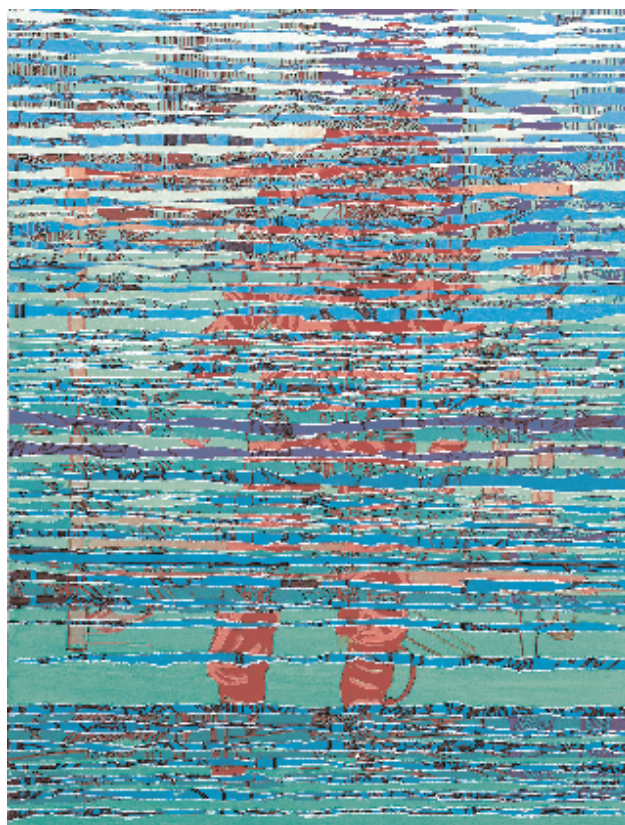
Kontener, olej płótno, 2013

Piotr Kossakowski *Mischung*

Galeria Rondo Sztuki
Katowice



Jesteśmy fajni, olej płótno, 170x130, 2013



Narcyz, 170x130, 2014

Gdyby Piotr Kossakowski swoją wystawę pokazał poza Śląskiem, nie wszyscy by zrozumieli, o co chodzi z tym tytułem. „Miszung” to słowo oznaczające na Śląsku rozgardiasz, pomieszanie, ogólny bałagan, pomieszanie wszystkiego. Taki miszung jest w jego najnowszych obrazach. I taki też jest tytuł tej wystawy. Z gruntu to bardzo klarowana ekspozycja, jakby zaprzeczająca tytułowi. Ów tytułowy miszung widoczny jest dopiero po przyjrzeniu się każdej pracy z osobna.

Galerię w Rondzie Sztuki, tę kameralną, wypełniło kilkanaście obrazów, które stanowią swego rodzaju *pendant* do wielkiej, przyszlórocznej wystawy. To tylko forpocza, przedsmak przyszłego wydarzenia.

Jak jest ta wystawa? Kameralna, spokojna, tu i ówdzie ściany przecinają specjalnie profilowane obrazy, by pion i poziomy ścian zostały złamane jedną z krawędzi obrazu jak wektorem, pod kątem, perspektywą, z jakiej oglądamy codzienną rzeczywistość. A cóż jest na tych obrazach? Na nich jest po prostu miasto. Bo Piotr Kossakowski jest malarzem miasta. Jego inspiracją stały się słupy ogłoszeniowe, przestrzenie z bilbordami, połączone z codziennymi zachowaniami człowieka żyjącego wśród tej dziwacznej miejskiej estetyki, nie zwracającego często uwagi na takie właśnie otoczenie. Otoczenie niedostrzegane, omijane. A ono wkracza, wbija się w oczy, drażni. Miasto zaklejane kolejnymi anonsami, afiszami, naklejkami, ogłoszeniami. Jedne na drugich. Zdzierane, klejone – i tak w kółko. Życie słupa ogłoszeniowego okazuje się bardzo intensywne. To taki dziwaczny świat zalewu informacji jak nie przymierzając Internet. Taki nasz śmietnik współczesny. Nie istotne, jaka by nie była ważna wiadomość i tak zostanie zaklejona, zdarta, przemalowana kolejną warstwą kleju, przeorana strugami deszczu.

Śmiem nazwać obrazy Kossakowskiego antyplakataami. Jest przecież ten artysta twórcą wielu znakomych, nagradzanych plakatów, doskonale radzący sobie ze sztuką komunikowania za pomocą tej zanikającej dziedziny sztuki. Lecz trudno na ulicach o plakat artystyczny – na ten temat wiele już napisano, przy okazji chociażby Biennale czy kolejnych Triennale plakatu polskiego i międzynarodowego. I także o przekazie, o komunikacji międzyludzkiej, a właściwie jej destrukcji, opowiadają prace zatytułowane „Miszung”. Kossakowski z jednej strony tworzy plakaty – znakomite skrótkowce, pokazujące mistrzostwo myślenia znakiem, z drugiej zaś swoje „antyplakaty”, czyli to, co pozostaje po nich.

Obrazy składające się na „Miszung” to precyzyjna robota malarska. „Porozdierane” obrazy są jakby żywcem przeniesione z miejskich przestrzeni. Warstwa na warstwie, kolor na kolorze, fragmentaryczne obrazy wyłaniające się spod powstałych przestrzeni, ka-



Piotr Kossakowski

Malarz miasta

walki graffiti, które nieodłącznie towarzyszą słupom, murom, płotom, na których powstają te miejskie komunikaty.

Czy taka jest nasza rzeczywistość, o której chce opowiedzieć Piotr Kossakowski nam przechodniom, nam mieszkańcom miast, nam uczestnikom i sprawcom tej sytuacji? Spoza tego „mieszungu” wyłaniają sylwetki ludzkie, zajęte sobą – jeżdżące na nartach, ściągające się na quadach, ledwo wyłaniające się spoza tej plakatowej zdrapki. Nie zauważamy już otaczającego nas świata. Zajęci sobą, nie zwracamy uwagi na to nie tylko gdzie i jak żyjemy, ale co tak naprawdę nas otacza. A są to skrawki rzeczywistości, które trudno pozbiierać w jakąś sensowną całość. Stajemy się fragmentem tych obrazów, miksujemy się z nimi. Jesteśmy tak samo niedookreśleni jak obrazy Kossakowskiego. Często nie potrafimy wyłowić znaczących komunikatów z natłoku informacji, nadekspresji krzyczących wiadomości na portalach internetowych czy portalach telewizyjnych. Z drugiej strony to obraz stał się dominantą naszego życia. Nakładki, przebitki, jak w kalejdoskopie.

Piotr Kossakowski – absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, dyplom z wyróżnieniem w 2005 r. w Pracowni Malarstwa prof. Zbigniewa Blukacza, dyplom dodatkowy z projektowania plakatu w Pracowni prof. Romana Kalarusa. Obecnie wykładowca na Wydziale Artystycznym w Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Autor kilkunastu wystaw indywidualnych, Uczestnik ponad 100 wystaw zbiorowych w kraju i za granicą.

Malowanie Kossakowskiego obserwuję od wielu lat. Jego transformacja jako artysty przebiegała od dynamicznej, „dzikiej” ekspresji, od przedstawień energetyzujących po obrazy interpretujące, uspokojone, ale z ogromnym ładunkiem refleksji. Z pozoru wyciszony, drąży temat egzystencji człowieka w jego codzienności. Nie ocenia, ale zauważa, poddaje refleksji. Od jakiegoś już czasu szuka dobrych rozwiązań do swojego tematu miasta. Jak pokazać życie miejskie, co jest jego wyznacznikiem, Okazuje się, że tego, co możemy nazwać miejskością jest w bród na każdym kroku – wystarczy zauważyć i przełożyć na artystyczny język. Miasto jest do nas, do naszych zachowań, tak przyklejone, jak to wszystko, co pod grubymi warstwami kleju ledwo trzyma się słupa.

Sam artysta mówi, że treść jego obrazów traktuje o „nowych” obyczajach, zachowaniach i postawach wynikających ze specyfiki zmian zachodzących w warunkach wielkomiejskich.

Dlatego nie waham się nazwać Kossakowskiego malarzem miasta. Ten harmider, „miszung” miejski stał się tak oczywisty, że go nie zauważamy. Kossakowski staje trochę z boku, w lekkim zadumaniu. Obserwuje, ale nie napomina. Powtarza w swoich obrazach to, co nam towarzyszy na każdym kroku, kiedy spieszymy do pracy, ale też kiedy oddajemy się relaksowi. Nasza nowoczesność wchłania zachowania, które Kossakowski chce nam uprzytomnić. To takie opisywanie życia przez szparę w rozdartej gazecie. To także dyskurs podjęty nie tylko z nami samymi, ale także zwracający uwagę socjologom miasta, socjologom badającym naszą współczesność.

WIESŁAWA KONOPELSKA



Ponadczasowa rozmowa
z ANDRZEJEM
CZECZOTEM

Fragment większej całości

Aj, ten Nowy Jork...

Kiedy zajrzałem do mojej prywatnej korespondencji z Andrzejem z lat 1982–2005, ożyły ponownie tamte minione lata. Rozmowa z nim w oparciu o fragmenty listów, to niejako powrót Andrzeja do Katowic, do miasta z którym wiązała się większość jego dojrzałego życia. Dziś wiele jego spostrzeżeń, odkryć, wydaje się banalnych, bowiem większość z nich mamy zrealizowanych i u nas, to także smutny obraz, jak bardzo daliśmy się zamerykanizować.

W cytowanych, w formie odpowiedzi na moje pytania, fragmentach listów pojawia się Andrzej „jak żywy” – dosadny, nie przebiegający w słowach, bezkompromisowy.

– Kiedy żegnałem się z tobą na Wojewódzkiej, byłeś już prawie spakowany, był ponury, szary klimatycznie i psychicznie wieczór zleżalego nieco stanu wojennego. Czulem, że coś się kończy...

– „Jestem poważnie zaniepokojony brakiem nostalgii, czyli tęsknoty za ojczyzną. Co jest do jasnej cholery...? Niedobór kumpli to inna sprawa, Sawka i Kapusta są w tej sytuacji nieocenieni, zwłaszcza Sawka wprowadzony w Amerykę i uczący mnie teje Ameryki?”



– A Ameryka?

– „Uczucia są rzeczywiście mieszane: zachwyty i obrzydzenie – z tym, że zachwyty i fascynacja zdecydowanie przeważają. Mieszkamy, jak wiesz w Brooklynie, czyli na Long Island...”

Tu jest Brynów z domieszką Załęża, zielono, wille w stylu amerykańsko-kolonialnym, z werandami, trawnikami. Obok handlowe cioty gdzie handlują Chińczycy, Hindusi i przedwojenne Żydy, dużo czerni, bo murzynstwo tu kwitnie (jakby powiedział Henio Stępień). Żarcie bardzo tanie, choć relacje cen dziwaczne np. kawior kosztuje tyle, co pasztetówka, kapusta droższa od pomarańczy, lunch w barze (3-5\$) tyle, co elektrony zegarek lub kalkulator, hiszpański szampan 1,60 \$, galon mleka 1,80 \$, dobry samochód około 10 tys. mały samolot – 8 tys., wielki telewizor z rzutnikiem i wideo 1 tys. mały japoński kolor – od 200 – 500 \$ itd. itp. Wszystko jest tanie tylko dolar drogi. Za 16 precli (a 1 \$) możesz kupić radio z zegarkiem – budzikiem lub obrączkę z małym diamentkiem. Dziwne jaja, nie?

Manhattan to szaleństwo, cudowne gówno, jakiego nie zaznała i nie zazna żadna Europa. Dlatego zachwyty miesza się z żalem: dlaczego dopiero teraz? I dlaczego nie ma ciebie i pana Jurka?”

– Mamy kontrolowany kontakt przez pocztę, która jakoś działa...

– „Za dużo jak na razie na mą tysią głowę się zważyło, bo i języki, czynności plastyczne i w ogóle adaptacja...”

– To koszty pionierów, tak rodził się przecież ten kraj.

– „W lutowo-marcowym numerze „Graphis” będzie moja prezentacja (16 stron + okładka. Rekord!) To dla ducha, a finanse wspomagam współpracą z Wydawnictwem Clarkson&Potter, no i będzie cosik z „Penthousem”. Tak więc perspektywy są niezgorzse, ale teren tu trudny, chyba najtrudniejszy na świecie – tylko że jak się człowiek przebijie, nie tak łatwo zlecieć, chyba że się uwiedzie nieletnią lub zabije teściową. Przebicie musi być totalne i na terenie sztuki, bo użytkownicy się tu nie liczą. Chcę się precyzyjnie do Parnasu „czyściochów”. Maluję duże knoty i wałę rysunki o N.Y. (a jest to temat, że daj Boże). Roboty huk, z łezką wspominam słodkie nieróbstwo katowickie (gdzie uważano mnie za pracusia!!!). Ale też jest się o co tu bić, bo kraj jest obłędnie bogaty i ciągle strasznie młody, choć 60-latk robią tu gwałtowne kariery?”

– Warhol też zaczął grubo po trzydziestce zupami Cambell...

– „Poznałem go na montażu futurysty rosyjskiego Foreggera w odtworzonej inscenizacji Eisensteina w Eksperymentalnym Teatrze, w dziwnie zrujnowanej salce. Powiedział «Nie rób sztuki, póki nie zrobisz pieniędzy na reklamie groszku, jak ja». Rok temu na projekcie kolorystyki Mostu Brooklyńskiego zarobił 4 melony (może 3-4 godziny roboty), ale wystawia co innego i nie dlatego jest Warhol, że robi groszek”.

– Tak, za Gierka i my projektowaliśmy u nas kolorystykę całych ciągów ulicznych, z Igorem Neubauerem robiliśmy Będzin, miliony z tego nie były, ale kilkanaście kilo melonów nabyć mogliśmy...

– „O czym to ja chciałem... Aha! Aha, kolega U. maluje, ale mieszkania. Też przez głupotę, bo już nawet sprzedawał. Ale raz sprzedał dwa razy ten sam obraz, zrobiła się afera, wyleciał z galerii, innych dilerów ostrzeżono i już jest bez szans, bo takich numerów tu się nie przebacza. Widziałem się z nim kilka razy – jest w złej formie. D. też dobrze zaczynał, ale zgodnie z normami polskimi sądził, że wystarczy być dobrym użytkowcem, a tu liczy się artysta taki, co jest w galerii i wystawia sztukę. Tu użytkownicy są w pogardzie, na samym Manhattanie jest ich około 40 tysięcy (!) i zmienia się ich jak rękawiczki, bo szybko się nim nudzą. Poza tym również popchnął sporo niezręczności; woda sodowa + kompleksy. No i cienko przedzie, chyba wróci do kraju w glorii nowojorczyka, ale musi się ukorzyć. Jest tu Głowacki (też ma trudności) no bo pisarz... Stara Polonia to straszne ch... , głupota aż tryska, ciemnogród, kruchta, tylko bale, wenty i pochody, miss Polonia, klechy, żyro, woda pocieszycielka. Są w grupie najlepiej zarabiających narodowości, na przedostatnim miejscu w wydatkach na kulturę. Scheiss!

Narobiłem wrzawy swymi rysunkami, zwłaszcza jednym, gdzie zrobiłem prymasa. Rzucili się na mnie jak wściekle psy. Inni mi gratulowali, jakiś wielbiciel przysłał mi koniak, bronił mnie wspaniale Zbigniew Neubauer, były pilot z „303”. Fajnie”.

– **Poleciałeś po nazwiskach, ale zatrzymam je dla siebie, przecież nie wszystkim potknęła się noga?**

– „Adam Makowicz jest piąty na liście amerykańskich pianistów jazzowych (lista roku), Sawka jest chyba też gdzieś na tym miejscu wśród malarzy po Lindstarze, Steinbergu, Dim'ie i idzie w górę ostro. Maluje olbrzymie knoty (bardzo fajne) 2x2,5 m, składające się z kilkuset małych obrazków, które ilustrują jakiś temat. F., który już miał wystawę w Gugenheimie zleciał na mordę, bo mu «odbiło», zaczął być aroganckim chamelem wobec wielkich dilerów i krytyków i ci go załatwili. Ostatnio wystawia w płatnej galerii (placi za lokal), co tu jest hańbą. Największym jednak jego grzechem była nagła zmiana oblicza artystycznego: z abstrakcjonisty (bardzo kupowanego) stał się niedobrym realistą, bo zwał się zianę wiatru (realizm wraca – oczywiście «nowy»). W ogóle świat i ludzie wszędzie tacy sami, tylko tutaj wszystko jest jakby prostsze, mniej zakłamanie (albo lepiej zakłamanie, na «wyższym piętrze»)»

– **Mówiąc nieprawdę, patrzę ci w oczy...**

– „Hucznie obchodziliśmy żydowski Nowy Rok, jak nie obchodzić, gdy wszystko pozamykane z wyjątkiem gojskich biznesów. *Aj waj* co to za święto, jakie bajgele, jakie mace z miodem, jakie rachatłukum, oj nie masz Ty pojęcia Heniek.

Teraz już minęło i ja się zabieram do roboty szybko, bo już za kilka dni Święto Trąbek i znowu trzeba świętować. Aj ten Nowy Jork, to nie jest żaden Nowy Jork! To jest Stary Testament.

Nie myśl, że po mojej stronie wielkiej wody, życie jest bezproblemowe i słodkie. Wprost przeciwnie, tu dopiero spotkałem się z tyloma problemami naraz, z takim ich spiętrzeniem jakiego nie zaznałem nigdy w kraju. Ja zacząłem życie od początku, od „0”, a to stało się w 50. roku mego istnienia, co dodatkowo utrudniło sytuację – i im później tym trudniej. Zapewne wiele problemów zniknęło, a więc: 1) politycznych, 2) aprowizacyj-

nych i ogonkowych i innych, lecz zwały się inne, całkiem nowe w takiej liczbie i takim natężeniu, że leć pęka i człek nie wie, za co łapać. To jest wielka szkoła, a każda dwójka odczuwasz na własnym tyłku – tak dla każdego drogim. Problemy językowe to osobna sprawa, kontakty z instytucjami, biurokracja i balagan, troska o rodzinę itp. Ale faktem jest, że tu jest też rzecz najważniejsza, która Wam (przepraszam za ten zwrot) została odjęta u samego zarania, czyli te 40 lat temu: nadzieja, możliwości rozwoju nie tylko ekonomicznego, świadomość, że tyle zależy od samego siebie...

Tak więc, mimo szarpaniny i kłopotów, ani razu nie żalowałem decyzji wyjazdu, choć brak mi było i tęskno za pewnymi fragmentami dawnej rzeczywistości”.

– **... którą ci przy pomocy listów próbuję przedłużyć.**

– „Ty, drogi przyjacielu, jesteś wzorem cnót epistolarnych i zaliczyłbym cię do pierwszej dwunastki światowych Epistołów, gdybym znał innych. Jesteś więc dla mnie nr 1 – tym, który odradza dawną sztukę epistolografii, można cię porównać tylko z Pawłem z Tarsu, którego listy wstrząsały zatwardziałymi sercami Koryntian, czy innych Fenicjan. Jesteśmy więc wstrząśnięci i wzruszeni jedynym zdjęciem nieodżałowanego naszego Maggiego – jamnika, który nie wytrzymał obcowania z przyjaciółmi moimi i wkrótce potem rzucił się pod samochód. Drugi powód wstrząsu to widok gwałtownie postarzałych *dziewczynek waszych*, które wkrótce staną się obiektem pożądanym spojrzeń góralskich...

Zwracam wam na to uwagę, bo wokół nas sex aż kipi i bulgoce (...). Zdjęcia z balów polonijnych demonstrowują sex zwiotczały, ułański i sklerotyczny nieudolnie maskowany solidarnością. Seksem też ocieka reklama w TV, gdzie wśród orgiastycznych jęków (*Oh, it's very taste, delicious! That's rich!*), skąpo ubrane *panienki* w... ciastka, pizze i hamburgery, popijają cocą, pepsi Free czy piwem pana Milera lub też winem Lancers. Ten sex plus

zarcie skutecznie koi nasze tęsknoty za ojczyzną, a nawet przyjaciółmi – wstyd przyznać, ale ciało zwycięża ducha, Polska jest tu wokół nas... w telewizji w przerwach pomiędzy reklamami, to Karol błogosławi, to znów arestują uśmiechniętego Lecha, a pani Danuta puszcza do nas łobuzerskie oko. Trochę brakuje nam oczu przysłoniętych czarnymi okularami i muskularnych uszu naszego byłego kolegi satyryka, no ale w końcu wszystkiego mieć nie można”.

– **Siedzieliśmy z nim w 1971 na placu Trzech Krzyży, na imprezie rozdania nagród: zdobyłeś wtedy „Złotą Szpilkę” a ja „Srebrną... Piliśmy „Żądło Aurory” z tym, który dekadę później organizował zbiórkę koców dla bezdomnych na Manhattanie.**

– „W Niujorku zamęt i spokój jak zawsze. (...) Adam Makowicz na liście w pierwszej dziesiątce pianistów jazzowych, widujemy się rzadko... Nudzić się nie sposób... Ale czynsze płacić trzeba, niestety więc i robić trza, niestety.

Wraz z Kapustą zrobiliśmy scenografię do Sławomira Mrożka w sławnym teatryku «La Mama». Było śmiesznie, bo sztuka h...owa, reżyser imbecyl – tak więc my wypadliśmy najlepiej”.

– **Robiliśmy razem w połowie lat siedemdziesiątych scenografię w naszej telewizji, trochę było zabawy przy reżyserze Włodku Gawrońskim, starczyło mi na napisanie anegdoty...**

– „Ubawiły mnie plotki o rychłym moim powrocie do kraju i wiem skąd się biorą. Otóż nie przemilczanie, a wręcz wysławianie mnie w środkach masowego przekazu (np. w kontekście „Szwajjka” czy w „Twórczości”), daje ludziom powód do takich mniemań.

Bo się ukorzył i wraca. Niewiedza o nowej Frako&Co: Kto reprezentuje wartości to jego dorobek nasz jest, czyli peerelowy a jego poglądy, choćby wraże, nas nie obchodzą! Na tej zasadzie drukują stare prace Sawki czy



Foto. Arch. Henryka Bzdoka

Andrzej Czeczot



ANDRZEJ CZCZOT

14-00 OCEAN AVI AP1 0800-0000, N.Y. 11220 TEL: 212-990-5300

rysunki Mrożka, grają jego sztuki (te mniej niebezpieczne), mimo że Sławomir się miotają i pisze protesty (tych już nie drukują).

A więc i ja, o którym Szymon Bojko, który tu był (w N.Y.) zapadał, że jestem w Pratt Institut i w bardzo dobrej galerii, że wystawa na jesieni indywidualna, a zatem stanę się tu kimś ważnym i znanym. A więc i ja, powtarzam jestem «ich» czyli peerelowy i trzeba nie przemilczać lecz przyhołubić i dorobek nie niebezpieczny przyswoić. Taki to mechanizm prosty i chytry Frako, KTT, Pass i urbi et Urban wykoncypowali. A ludzie naiwne myślą, że to odwilż, odnowa itp. itd.”

– I tu, drogi przyjacielu, muszę wyścisnąć z ram omawianych lat i pojawić się z wiedzą o 30 lat później: „Złapali cię jednak i rysowałeś dla nich po powrocie” (choć rozumiem powody), i kiedy ci to wygarnęłam, stało się ciszej między nami...

– „TV to zaraza, jak kto w to poleci, może nie wstać z fotela przez 24 godziny. Na szczęście są reklamy, wbijane gdzie popadnie, w filmy, w dzienniki, we wszystko. Wtedy albo się żre, albo szybko idzie spać. Reklamy to zaraza w zarazie, ale dzięki niej TV jest bezpłatna. Płaci się za kable. Wiązka 16 kabli kosztuje około 25\$ miesięcznie, ale kable nie są przymusowe. Super głupie «Mydła», czyli «Soap», komedie kretynów dla kretynów z nagrzanymi wybuchami śmiechu, żeby matoly wiedziały, kiedy się śmiać!!! Soap-Opera – właśnie to jest ów przysmak amerykańskich durniów.

Czarni mają swoje audycje np. Black News na „4” i na innych kanałach też, w każdym dzienniku musi być kolorowy, np. „7” ABC ma uroczą Chinkę Katty Tong, inni trzymają czarnych, żeby pokazać, że nie ma rasizmu i żeby mieć zniżkę podatków (tak!)”.

– ... a my to wszystko teraz na ten model przerabiamy, podkładamy śmiech dla durniów, przerywamy co się da reklamami. Kiepsko tylko w telewizji z kolorowymi, trwa polowanie, bo bardzo ich mało w kraju mamy.

– „Wczoraj około północy siedłem dzielnicą Chelsea i ujrzałem znajomy kościółek mały i przytulny (trochę podobny do tego na ulicy Sokolskiej), cały w drzewach obsypanych tysiącami lampek, tak że wyglądały jak wielkie złote kule, sam kościół podświetlony był ultrafioletowym światłem, co dawało efekt nierealności, mgły, tajemniczy... Ludzie tłoczyli się przy wejściu do zakrystii, co mnie zdumiało, bo nie była to żadna Noc Wigilijna, a Paster-

ka, gdzie tam jeszcze. No i z pobożnością nowojorską też nie jest za dobrze. Mimo woli zacząłem się rozglądać za szopką, czy choćby Mikołajem, a tu znajomy mi wyjaśnił, że to od roku kościół został zakupiony przez przedsiębiorczych facetów i teraz jest tu najbardziej modne disco. Tygodniowo około 6 tys. luda przychodzi (à 15 \$). Hej!!!

Oczywiście nie wszystkie kościoły przetrzebiono na dyskoteki i nie świecą one pustkami. Są poza tym kościoły wszystkich możliwych wyznań: meczet, cerkwie, synagogi... pełno apostołów, kaznodziei i nawiedzonych, ale reszta śmiało kroczy «ciemną ścieżką grzechu», jak mawiał niezapomniany Feldkurat Katz”.

– Tak...

– „Nasza firma (Visual Thinking) zajmuje się reklamą polskich spirytualiów na rynku amerykańskim i już zaprojektowaliśmy (Czczot – Kapusta, czyli Czepusta) etykiety dla *Wiśniaku* i *Wiśniówki* – niebawem zobaczysz je w PKO!... ale oczywiście nie jest to nasze główne zajęcie, żeby zarobić pieniądze, które pozwolą stworzyć Oficynę Wydawniczą Plakatu i Grafik Art. Pierwsze 16 grafik czeka na print i plakat, o taki: 40 prezydentów USA za stołem – Statuą Wolności. (tzn. Błat stołu w kształcie statuy – przyp. HB). Plakat jest bardziej komiczny niż patriotyczny, już mamy zamówienia.

Wczoraj szukałem z Januszem jakiejś taniej drukarni dla wydrukowania naszych reklamowych folderów i w krótkim terminie. Na 19-tej ujrzałem szyld «Printig», wchodzimy, pytamy (...): – *Czy panowie mówią po polsku?* Mówimy, że bardzo dobrze. – *A czy panowie znają Ludz?* – Znamy, znamy, a jakże! A tu rumy i whisky i jedzenia mnóstwo w Print – Office, bo to Święto Hanuka. Właściciel Stan (isław) dał nam 70 \$ off i termin odpowiedni i zaprosił na przyjęcie, w którym uczestniczyliśmy zaraz wśród innych printerów i zażeraliśmy się gorącą polską kiełbasą (bo to nie były ortodoksy) i piliśmy scotch'a i wyszliśmy odprowadzani i pieszczeni. I jak tu być antysemitą”.

ANDRZEJ CZCZOT (ur. 27 października 1933 w Krakowie, zm. 9 maja 2012 w Warszawie) – polski grafik i twórca filmów animowanych. Najbardziej znany jako autor rysunków satyrycznych i klasycznych filmów animowanych. Ważnym obszarem jego twórczości było również projektowanie grafiki użytkowej (plakaty, afisze, okładki i ilustracje książkowe). Absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (studiował w Katowicach na Wydziale Grafiki, filii krakowskiej ASP; dyplom w 1957). Internowany w czasie stanu wojennego. Od 1982 do 1997 mieszkał i pracował w USA.

Zadebiutował w tygodniku „Szpilki” w 1956. W PRL publikował rysunki w wielu tytułach; rozpoczął też współpracę z niemieckim *Pardonem* i amerykańskim *The New Yorker*. W czasie emigracji jego rysunki zamieszczały także *The New York Times* i *Wall Street Journal*; szwajcarski *Graphis* zamieścił w jednym z numerów z lat 80. monografię Czczota. Publikował w „Polityce” i „Nie”.

W 2002 zrealizował pełnometrażowy film animowany *Eden*, za który otrzymał Nagrodę Dodatkową Jury na 27 Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Bohater filmu dokumentalnego *Z Czczotem przez niebo i piekło* (2000, reż. Piotr Bikont).

W 2008 r. otrzymał Złoty Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.



– U nas ich wielu, bo Żydów mało...

– „... jutro, po konkursie piękności żydowskich, w którym będziemy uczestniczyć jako widzowie i sponsorowie (robiliśmy plakat, logo i katalog), a to jest International Beauty Pageant w World Trade Center na 107 piętrze. Byłem. Widziałem. Eh, Heniek, ty nie masz wyobrażenia co to był za cymes. To było w Hotel New Amsterdam. Super – Elegant – Komfort!!! Czyha music, przydymione światło, karpety, że noga się zapada po goleń – takie miętkie. Marmur, dziwo, bronz... i w tym wszystkim impreza na miarę Węgierskiej Górki czy Rajczy, no może Żywiec góra! 17 dziewczyn, z dalekich miejsc po dwu wódkach – znośne, bo wysokie. Wśród nich trzech żołnierzy odznaczonych w walkach. Naprawdę to bardzo dzielne dziewczyny. Z taką urodą przystępować do konkursu piękności.

... Tańce były przepiękne też, ale clou programu to był Chińczyk (...) wylazł w bardzo kolorowym szlafroczyku w poprzeczne paski i przy dźwiękach gongów odspiewał... no co? Nie zgadniesz nigdy. Wcale nie pieśń z Dynastii Ming lub Mao tylko „Jesienne liście” Bacaraca. Nawet Żydzi ruscy z Brington Beach konali ze śmiechu. Dawid K. organizator imprezy na pytanie jak się czuje, powiedział nam: *Straciłem swoje pieniądze ale czuję się dobrze.*

Heniu, mówię poważnie – tutaj widać ile Polacy stracili, stracisz Żydów. To naprawdę była sól ziemi. Co tam sól – sam miód!”.

– **No to mamy słodki koniec naszej pierwszej rozmowy...**

– Czytaj ten list, we fragmentach, żeby nie myśleli, że ja jestem jakiś antysemita, co jest nieprawdą. *Szołem Alejchem!* A poza tym mój pradziadek, co spoczywa na Rakowickim cmentarzu był zasłużony dla Gminy Żydowskiej (co stoi na nagrobku). Cóż, jeśli tak chcecie bym tęsknił niech wam będzie!

Ile razy wspomnę Katowice, lzy mi płyną ciurkiem. To błękitne niebo, te tory z okna pracowni i pociągi jeżdżące wte i wewte, często stojące. Te wieże kościołów, buchający zielenią Muchowiec, ten gmach okazały, gdzie udzielono mi gościny na kilka dni. A te wieczory w ludnym, jarzącym się neonami mieście. I groszek konserwowy i ryba w sklepie w naszym domu. Tęskni się za młodością, ludźmi, ale tych sporo wokół...

Pewnie bym położył i na Halę Boraczą, do Maślanków czy Dutków, ale to nie tęsknica jeno chętką. A młodość przemija i tak ganz egal bo i tu i tam. Amen”.

Gdy Rafał Malczewski, mieszkający po wojnie w Montrealu, odwiedził na krótko peerelowską Polskę, od razu dopadła go depresja. Zastał inny świat. Zobaczył szare płaszczyzny i berety, niesprzątnięte ruiny i zakurzone szyby wystawowe. W takim otoczeniu nawet jego własne obrazy mu się nie podobały. Kicze, z małymi wyjątkami – podsumował we wspomnieniach. Planowana wystawa nie doszła do skutku. Nic dziwnego, że w tej przasnej i szarej rzeczywistości zapomniał co było wartością jego obrazów. A jego obrazy były krzykliwe. Przypominały nieudolne pejzaże malowane przez prymitywistów. Intensywne, dziwnie zestawione kolory. Drzewa jak z waty, góry jak z tektury. Śmieszne ludziki krzątające się w tym wszystkim. Namalowany teatrzyk. Taki właśnie jest obraz z MŚ – „Kamieniołom” (1927).

Rafał Malczewski to jeden z najciekawszych polskich malarzy, który uchwycił i wypracował styl osobny, niezależny i całkowicie własny.

Jego malarstwo to spojrzenie z zewnątrz. Tak jakby przybysz z innej planety patrzył na ziemski krajobraz, na betonowe i żelazne konstrukcje, morza, szczyty górskie i karuzele, nie wiedząc co to właściwie jest i do czego służy, czy jest naturalne czy stworzone przez Ziemię. Zobaczył z góry niezharmonizowanie kształtów i barw, chaos i uporządkowanie, piękno i brzydotę w jednym. Małość i wielkość. Malarze starają się porządkować świat według intelektu, jakiegoś planu, zamysłu całości. A Rafał – nie. Z twórczości malarzy nawiązanych wziął świadomie to, co najlepsze – świeżość spojrzenia.

Jakże pasuje to do dwudziestolecia międzywojennego, eksplozji wolności i nowoczesności, zakopiańskiego boomu, w którym awangarda mieszała się z cepelią i łzawym kiczem. Artyści ubierali się jaskrawo w stroje własnego pomysłu i byli bardziej ekscentryczni niż myślimy. A kolory były żywe, choć trudno nam sobie to uświadomić, bo znamy głównie czarno-białe filmy i zdjęcia. Był pęd, było szaleństwo i poczucie, że owszem, „Narty-Dancing-Brydż” ale na krótko i coś się wydarzy.

Trzy wielkie tematy Rafała Malczewskiego: 1. Kolej i opuszczone stacje. 2. Prowincjonalne miasteczka (beznadzieja tych miejsc jest tak beznadziejna, że aż zaczyna dostrzegać się w nich poezję). 3. Ciężki przemysł. We wszystkich tych pejzażach pobrzmiwają jednocześnie fascynacja i wstręt. Malczewski podkreśla wyraźnie tę ambivalencję uczuć. Czy nie jest to twórczość największa, jeżeli miłośnicy te dwa przeciwstawne pojęcia i tworzy z nich jakąś nadrzędną wartość? Tak odbieraliśmy świat w dzieciństwie – z przerażeniem i zachwytem.

KOLEKCJA MALARSTWA POLSKIEGO



Rafał Malczewski, „Kamieniołom” 1927

Rafał Malczewski

Rafał Malczewski odkrył walory malarstwa czarnego Śląska.

Drugi obraz z MŚ to „Niedziela (Kondensatory w Chorzowie)” z 1934. Ogrom przemysłowych budowli zlewa się z naturą, z niebem. Nie wiadomo co jest dymem, co parą wodną z potężnych kondensatorów, a co chmurą. I nie wiadomo też czy czerwono-bury budynek na pierwszym planie to jeszcze familok czy już fabryka. Gładkie, odbijające światło dachy budowli są jak tafle przykopalnianych stawów.

Ten malarz znakomicie pisał. Wydał tom opowiadań grozy o górach i wspomnienia z Zakopanego. Muszę zacytować fragment – ostatnie spotkanie z Witkacym.

„Szosa była pusta i zachód służył na lasy i góry. Wiesz – powiedział – wojna to koniec naszemu pokoleniu – żadnych złudzeń. Pamiętam – podjechał autobus i Witkacy wkroczył w jego wnętrze wielki i ponury. I już tak dla mnie odjechał w wieczność...”

Czy znacie bardziej przejmujący zapis końca tego zakopiańskiego czasu wolności i artystycznej swobody?

Robiłem kiedyś film o malarstwie Rafała Malczewskiego. Wszystko działo się w pociągu, w którego oknach pojawiały się jego obrazy. Komentarz do tego filmu czytał nieodżałowany, znakomity Jacynt Jędrusik. Jechaliśmy przez czarny i zielony Śląsk, mijaliśmy małe miasteczka. I w jednym zrobiliśmy przerwę w podróży. Na balkonie niskiego domku stał starszy pan. Wyglądał jak asesor. Miał niebieskie szelki, a obok niego kręcił się niebieski wiatraczek.

Stał w szelkach, zawieszony na tym balkonie jak w przestrzeni kosmicznej i wpatrywał się w przestrzeń. Jaskrawy wiatraczek obracał się wolno. Był jak wyjęty z tego malarstwa, o którym robiliśmy film. Patrzyłem na niego, filmowałem go i czułem, że czas na moment przestał płynąć. Miałem poczucie, że ten asesor był, jest i będzie zawsze. Czasami wszystkim nam udaje się spojrzeć na naszą rzeczywistość jakby z innej planety. Jest to coś w rodzaju olśnienia. A takich olśnień jest w obrazach Rafała Malczewskiego bardzo wiele.

WOJCIECH GRABOWSKI

RePeFeNe to Rybnickie Prezentacje Filmu Niezależnego, które odbywają się corocznie w rybnickich Chwałowicach. Do ich trzy-nastej już edycji doszło w połowie września.

Z kolejnymi edycjami RePeFeNe (które narodziło się w 2002 roku) stawało się ważnym miejscem na festiwalowej mapie kina niezależnego, a przynajmniej w Polsce południowej. Bo filmy przysyłają tu autorzy z całej Polski, a w konkursie mogą uczestniczyć studenci szkół filmowych, którzy z tej okazji korzystają, chociaż niekoniecznie wygrywają.

Do konkursu trafiło tym razem ponad 30 filmów. W kategorii fabularnej nagrodzono „Inicjację” Jana Grabowskiego z Warszawy, w kategorii dokumentalnej „Subkultury” Stanisława Cuske z Bydgoszczy, a w osobnej kategorii etiud studenckich nagrodzono „Dzieci” Marty Prus z Warszawy. Nagrodę za eksperyment przyznano Michałowi Koselowi z Opola za cykl pięciu filmów, w których jurorzy ujrzeli osobistą próbę zmierzenia się z dzisiejszą rzeczywistością.

Z nagród w poszczególnych kategoriach jurorzy (Martyna Kliszewska, Jan F. Lewandowski, Jakub Przebindowski) wyłonili Grand Prix, przyznając najważniejszą nagrodę wspomnianej „Inicjacji”, czyli wyrazistej, dobrze zrealizowanej próbie zapisania rodzącej się agresji (tutaj poprzez historię napadu kilku młodych ludzi na sklepikarza).

Najbardziej zacięły filmy fabularne, których było w konkursie najwięcej. Znamienne, że wiele z nich, zrealizowanych przeważnie przez młodych autorów, opowiadało o świecie zewnętrznym w tonacji kontestacji. Dużo w tych filmach emocji, a nawet agresji, jak w nagrodzonej „Inicjacji” Jana Grabowskiego, co można uznać za charakterystyczne dla zestawu fabularnego. Niektórzy autorzy, jak wspomniany Michał Kosel z Opola, traktują kino, jako sposobność refleksji autorskiej i osobistego osądzenia świata, podpartą także przemyśleniami z klasyki literatury i filozofii. Można w tym spoznać nawiązanie do dawniejszej formuły kina autorskiego.

Dla młodych filmowców nagrody są ważne, ale RePeFeNe to nie tylko branżowa konkurencja. Ta nazwa znaczący w Rybniku więcej i koja-



Tegoroczne Grand Prix przyznano „Inicjacji” Jana Grabowskiego z Warszawy.

Kino w Chwałowicach

Bez festiwalowego blichtru

rzy się z tamtejszym Klubem Filmu Niezależnego. Przed laty grupka pasjonatów z Mirosławem Ropiakiem trafiła do domu kultury w Chwałowicach, gdzie mogła nie tylko kręcić filmy, lecz pokusić się o zorganizowanie festiwalu. Dzisiaj RePeFeNe ma kilkunastoletnią tradycję. A coraz nowe chwałowickie inicjatywy filmowe przyciągają do współpracy tamtejsze lokalne społeczności.

Przez te lata filmowcy chwałowiccy zabawiali się konwencjami kina i telewizji, jak w serialu kryminalnym „Natalia – ostatnie słowo” zainspirowanym „Miasteczkiem Twean Peaks”

Davidy Lyncha, a rozegranym w scenerii rybnickiej i pokazanym w lokalnej kablówce. Do pastiszowej kategorii należy nawiązanie do Jamesa Bonda w pełnometrażowym filmie „Dziewczyny lubią Blond”, w którym tajny agent Marian Blond pojawiał się z zagadkową misją w Rybniku. To jedna sfera chwałowickiego filmowania.

Bowiem powstają tutaj także filmy społeczne, szczególnie za sprawą Eugeniusza Klucznika, z zawodu elektryka, a z zamiłowania muzyka. Niegdyś Klucznik

zapropozował kręcenie o sprawach, które dzieją się wokoło. Tak doszło do tragikomedii „Jak przed wojną”, której bohaterami byli bezrobotni górnicy z pobliskiej kopalni „Dębieńsko” w Czerwionce. Dzieło Klucznika przemówiło siłą autentyzmu i zrobiło karierę. Z balladową manifestacją górnośląskości Klucznik objechał przed laty Polskę. A potem nakręcił kolejne filmy w scenerii górnośląskiej, gromadząc za każdym razem tych samych naturszczyków i aktorów z niezawodnym Jerzym Cnotą na czele.

Zatem w domu kultury w Chwałowicach można doświadczyć rozmaitych nastrojów kina: zabawowych, społecznych i poszukujących w konkursie RePeFeNe. Jakoś współistnieją bez zgrzytów. Może dlatego, że RePeFeNe ulokowało się na peryferiach filmowego świata, ma formułę kameralną i przebiega bez festiwalowego blichtru.

Dobrze świadczy o konkursie w Chwałowicach (które nie są przecież środkiem świata), że filmy przysyłają corocznie kolejni młodzi pasjonaci z całej Polski. Przesyłają z Gdyni, Puław, Gościejewa w Wielkopolsce, Bydgoszczy, Częstochowy, Opola i Warszawy

(to tylko przykładowe miejscowości). Skoro nadal przysyłają filmy do Chwałowic, to znaczy, że RePeFeNe żyje i posiada siłę przyciągania. A o to przecież w tym konkursie kina niezależnego chodzi!

Patrząc na młodych ludzi, którzy weszli na scenę domu kultury w Chwałowicach po festiwalowe laury, pomyślałem, jak to dobrze, że podobne festiwale nadal się w Polsce zdarzają, chociaż relacjonowane są tylko w lokalnej telewizji, jak właśnie w Rybniku – Chwałowicach.

JAN F. LEWANDOWSKI



Ostatnia premiera w Teatrze Zagłębia nosi prowokujący tytuł „Czerwone Zagłębie” i jest kompletnie odjechaną pozycją w repertuarze. Niby ukazuje sto lat dziejów miasta, ale to raczej tabloidowa historia. Więcej tutaj szalonego kabaretu niż historycznej prawdy. Zanim jednak zacznie się czepiać szczegółów, muszę stwierdzić, że to kawał dobrego, radosnego teatru, czasem kontrowersyjnego, ale niosącego pozytywne emocje. A jak ten w sumie nienajlepszy tekst Jarosława Jakubowskiego został wyreżyserowany i zagrany – po prostu w głowie się nie mieści i dlatego trzeba przedstawienie zobaczyć. Najwyższajniej: mistrzostwo świata... Może trochę przesadziłem, ale mistrzostwo Polski z całą pewnością!

Dawno, dawno temu, w roku 1963 Janina Ostala brawurowo odśpiewała na pierwszym festiwalu polskim piosenkę Wojciecha Młynarskiego *Ludzie to lubią, ludzie to kupią, byle na chama, byle głośno, byle głupio*... Na sosnowieckiej scenie jest bardzo głośno, bywa na chama, ale tak całkiem głupio to już nie jest. Najmniej ważne wydają mi się rozważania *Poszukiwaczy (prawdy?)* o tym, co pierwsze zadecydowało o powstaniu legendy Czerwonego Zagłębia. To była swego czasu sztucznie nadmuchiwana, niczym balon, legenda. I jak balon pękła, bo więcej w niej było życzeń niż prawdy. Pierwszy sosnowiecki biskup Adam Śmigieński zwykł mawiać, że Zagłębie jest czerwone od koloru kochających Boga i ludzi serc. Gdyby nie znakomici aktorzy (Wojciech Leśniak i Andrzej Słeziak), którzy niczym chór grecki prowadzą swój spór o to, co było najpierw, nudziłibyśmy się potwornie, ale jak powszechnie wiadomo wspaniałemu aktorowi wystarczy przeczytać książkę telefoniczną, by sparaliżować teatralną widownię... Ponadto sympatyczne safandyły przepowiadają kolejne sceny. Czy Piłsudski mógł rozmawiać na sosnowieckim dworcu ze Stalinem? Czemu nie. Pierwszy byłwał tu często a drugi zjadł tu ponoć raz obiad. Kapitalny dialog, na granicy rękoczynów, prowadzą Grzegorz Kwas (*Józef P.*) i Piotr Zawadzki (*Josif D.*).

Najbardziej podobają mi się jednak w przedstawieniu sceny najmniej związane z historią miasta, jak choćby monolog diabolicznej *Cmentarnej Wdowy* opowiadającej nad grobem męża niestworzone rzeczy o tunelach łączących sosnowieckie cmentarze i o hazardzie królującym w grobowcach zagórskiej nekropolii. Czysty surrealizm, a jak pysznie zainscenizowany!

Bal dla przodowników pracy, będący karykaturą popularnych programów telewizyjnych śmieszny do łez – duża w tym zasługa brawurowego wodzireja (świet-



Fot. Maciej Stobierski / z mat. Teatru Zagłębia

Trochę diabeł zamieszał

TEATR

na rola Andrzeja Rozmusa). Brawo, bis! Jeszcze, jeszcze... No a zobaczyć *Pierwszego*, czyli Edwarda G. w szpagacie na konopnej drabinie – bezcenne. Dla tej sceny z pewnością oberżę to przedstawienie ponownie. Piotr Zawadzki jako *Pierwszy* jest koncertowo prawdziwy, przerażający i zarazem potwornie śmieszny. To jedna z najlepszych ról w dorobku aktora, którego rozwój śledzę od pojawienia się na scenie. To profesjonalizm w najlepszym znaczeniu tego słowa. Włożenie jednak w usta towarzysza G. (choćby i stał nad grobem) słów świętego Papieża Polaka to absolutne przejęcie autora. Wpadek jest więcej, ale ta zwyczajnie boli... Autor jest z Bydgoszczy, w swoim fachu biegły, szybki i działający na zasadzie „alleluja i do przodu”, o Sosnowcu wie tyle, co z relacji procesów mamy Madzi, a widać informatorów i przewodników po mieście miał mało. Najbardziej symbolicznym w temacie był przecież pochówek na pogońskim cmentarzu wielkiego poety i pisarza Emila Zegadłowicza – najpierw najbardziej katolickiego a potem najbardziej skandalizującego twórcy, który kazał się pochować w czerwonym sztandrze. Oczywiście jest na scenie mowa o Poli Negri i jej krótkotrwałym małżeństwie z hrabią Eugeniuszem Dąbskim, zabrakło mi jednak w tym miejscu zabawnej piosenki Jacka Cygana – duetu słynnej pary kochanków, wynagradza to brawurowo odśpiewana piosenka Stanisława Broszkiewicza *Nasza Huta Katowice wszystkich polskich hut królowa*... Śpiewa i recytuje tak pięknie, że aż serce ściska, ulubienica sosnowieckiej publiczności Edyta Ostojak. Wierszowi Władysława Broniewskiego „Zagłębie Dąbrowskie” (*Po gniew, moja pieśni, najgłębiej / w serce ziemi się wwierć! / Węgiel dobywa Zagłębie, / Zagłębie dobywa śmierć*) nadaje diabelskiej mocy. Ogromna przyjemność patrzeć na młodą

tyczną postać, za co został skazany na powieszenie.

W tym wielkim kotle, w którym Jarosław Jakubowski uwarzył swoje danie, trochę jednak diabeł zamieszał – za blisko tragedii znalazł się kabaret, za blisko groteskowego pastiszu boląca prawda. To, że całość, zarówno gorzka jak i słodczy są do przełknięcia a granica dobrego smaku tylko raz została przekroczona i przedstawienie kończy się owacją jest zasługą doskonałych inscenizatorów Aleksandry Popławskiej i Marka Kalitę, którym składam wyrazy najwyższego uznania za perfekcyjne opanowanie teatralnej maszyny. Za scenografię i kostiumy wielkie brawa należą się Pauli Grocholskiej, za choreografię i ruch sceniczny – Pawłowi i Piotrowi Kamińskim, za ozdobienie spektaklu muzyką – Marii Janickiej.

Wszyscy aktorzy wywiązali się ze swoich zadań bez zarzutu, oprócz już wyżej wymienionych muszę jeszcze wyróżnić Marię Bieńkowską, Michała Bałagę, Beata Deutschman, Przemysława Kanię, Aleksandra Blitka i Krzysztofa Korzeniowskiego (jak lekko tańczy ten *Hutas*).

To przedstawienie „pisze się” dopiero na scenie... Taka dzisiaj moda. Jest porównawcze i brawurowe. Ja nadal będę tęsknił za dobrym dramatem współczesnym, który nie tylko da poszaleć reżyserom, ale przyniesie tak ważne treści, że zaintrygują widzów i za sto lat. Wielki Stanisław Wyspiański pchnął Polaków w chocholi taniec, może pora przestać go tańczyć.

WITOLD KOCIŃSKI

Teatr Zagłębia w Sosnowcu, Jarosław Jakubowski – *Czerwone Zagłębie* (prapremiera), reżyseria: Aleksandra Popławska, Marek Kalita, scenografia i kostiumy: Paula Grocholska, choreografia i ruch sceniczny: Paweł i Piotr Kamińscy, muzyka i opracowanie muzyczne: Maria Janicka. Premiera: 12 września 2014 r.

Z racjonalnego (chciałem napisać „dorosłego”, ale to jednak nie to samo) punktu widzenia sztuka Martina Baltscheita jest nonsensowna, żeby nie powiedzieć: głupia. Czy lis może się kumpłować z dzikiem? Jest to wprawdzie tak zwana „szorstka przyjaźń” – dzik, żeby było wesoło wali swojego kolegę w ucho, ten zaś nazywa go mało elegancko „tłustą świnia” – ale jednak łączy tę parę jakaś pozytywna relacja, co raczej w naturze się nie zdarza. Jeszcze bardziej karkołomnym pomysłem jest to, że ci bohaterowie zaprzyjaźniają się z jętką jednodniówką. Dzik jest zwierzęciem dość okazałym, lis jest wprawdzie mniejszy, ale też swoje gabaryty ma, więc wplatanie ich w emocjonalny związek z owadem, który liczy sobie za trzy centymetry długości, wydaje się czymś absurdalnym. Lis w naszej kulturze nie ma zbyt dobrych konotacji, wiadomo – przechera, chytrus, w ogóle osobnik podstępny i paskudny. W niektórych bajkach azjatyckich przedstawiany jest w lepszym świetle, ale Baltscheit jest Niemcem z Europy, dziwi więc, że odnajduje w tym zwierzęciu dobroć, szlachetność, skłonność do poświęceń. O świni opinie też są nienajlepsze, a jeśli w dodatku jest dzika, trudno ją posądzać o jakieś pozytywne cechy. A jętka jednodniówka? Jakieś muchopodobne stworzenie, które być może gryzie ludzi, drażni brzczeniem... Nie wiem, nie znam się, ale owady w ogóle nie mają raczej „dobrej prasy”. Wybór tych stworzeń na bohaterów sztuki jest więc dla dorosłych nieco zaskakujący. Ale to bajka dla dzieci, które z łatwością akceptują przekraczanie granic racjonalności, prawdopodobieństwa, logiki. Kochają misie, które w rzeczywistości są okrutnymi drapieżnikami pożerającymi swoje ofiary żywcem, pluszowe tygrysy a nawet węże, mniej natomiast lubią domowego kota, oczywiście przez Klakiera, polującego z Gargamelem na Smurfy.

W teatrze lalkowym (ale i w literaturze, filmie, sztuce) można zauważyć tendencję do przedstawiania dzieciom utworów na tematy poważne. Autorzy coraz częściej rozmawiają ze swoimi małoletnimi odbiorcami o takich sprawach jak rozwód, adopcja, narkotyki, przemoc i wreszcie śmierć. Ten ostatni temat często pojawia się w literaturze niemieckojęzycznej, wystarczy tu wspomnieć spotkania chorego Oskara z panią Różą. Śmierć jest też tematem sztuki Baltscheita, sztuki – dodam – miejscami bardzo śmiesznej, miejscami wzruszającej. Lis i dzik spotykają na swej drodze jętkę jednodniówkę. Oni wiedzą, że przed nią jest tylko parę godzin życia, więc nawet usiłują na początku uniknąć spotkania z owadem, bo po co im ten kłopot. Natomiast jętka nie ma świadomości, że przed nią tylko ten jeden dzień życia. Jej nowi przyjaciele (bo stworzenia szybko się zaprzyjaźniły) nie chcą jej powiedzieć, że



Piotr Gabriel i Katarzyna Prudło

Historia jednego owada

TEATR

jest skazana. Usiłują natomiast umilić jętce godziny, które jej pozostały. Nie będę sztuki streszczać, byłoby to bowiem karygodne pozbawianie widzów przyjemności z oglądania spektaklu, obfitującego w zupełnie nieoczekiwane zwroty akcji, fantastyczne perypetie i zmiany nastrojów – od akcentów komediowych po te poważne, wzruszające, wywołujące zadumę, nawet smutek.

W Śląskim Teatrze Lalki i Aktora „Ateneum” sztukę *Tylko jeden dzień* zrealizował Bogdan Nauka, reżyser dobrze znany, który już wcześniej tworzył spektakle na katowickiej scenie. Tym razem – używając języka sprawozdawców sportowych – okazał się także świetnym selekcjonerem, zaprosił bowiem do swojego zespołu dwóch Pawłów z Czech: Hubiczkę – bardzo dobrego scenografa oraz Helebranda, który wzbogacił przedstawienie kapitalną muzyką.

Kiedy zobaczyłem znajdujące się na scenie dekoracje, przyszło mi do głowy słowo „turpizm”. Zobaczyłem bowiem wielkie śmietnisko, w dodatku z typowym „wagonikiem” – standardowym pojemnikiem na śmieci, jakie można spotkać na podwórkach. Pomyślałem, że można by w tej scenerii wystawić dramat Różewicza *Stara kobieta wysiaduje* albo *Końcówkę* Becketta. A to przecież ma być scenografia do bajki dla dzieci. Szybko jednak uzmysłowilem sobie, że pomysł Hubiczki jest bardzo bliski rzeczywistości. W mediach pojawiało się mnóstwo doniesień o dzikich zwierzętach wchodzących coraz częściej do miast i szukających na śmietnikach pożywienia.

W miarę rozwoju akcji rosło moje przekonanie, że wszystko w tym przedstawieniu jest na swoim miejscu. Scenografia, muzyka, aktorzy. Parę słów o tych ostatnich. Lis – grany przez Grzegorza Eckerta i Dzik w interpretacji Piotra Gabriela nie są za te zwierzęta przebrani. Grają w złachmanionych garniturach, mają meloniki,

wyglądają na włóczęgów i można nawet nie zauważyć, że dołączono do ich kostiumów drobne elementy zdradzające ich tożsamość. Przypominają parę meneli ze sztuki Becketta *Czekając na Godota* nie tylko wyglądem ale i sposobem prowadzenia wzajemnych rozmów. Kontrastuje z nimi Jętka – miła dziewczyna ze skrzydełkami (w tej roli Katarzyna Prudło). Swoją radością życia, ciekawością świata a przede wszystkim życzliwością i dobrocią zaraża dwóch nieudaczników, którzy przegrzebują śmietnisko w poszukiwaniu jedzenia. Ta trójka głównych bohaterów praktycznie nie znika ze sceny. Swoją grą czasem roześmieszają, czasem wzruszają, potrafią pokazać co to jest i jak funkcjonuje empatia, dzięki której rodzi się przyjaźń. Bardzo udane role całej trójki, najlepiej świadczyła o tym owacja po premierze.

Ale są w tej sztuce jeszcze dwie osoby. Ewa Reyman gra Jętkę nr 2. Skąd ona wie (jeśli ta nr 1 nie wie), że też ma przed sobą tylko jeden dzień? A właściwie już tylko godziny. Siedzi samotnie i wpatrując się w klepsydry odlicza czas do śmierci. To nie jedyna niekonsekwencja w tekście Baltscheita. Być może autorowi chodziło o kontrast między dwiema Jętkami. Ta pierwsza jest przykładem, że nawet krótki jeden dzień można przeżyć szczęśliwie, jeśli ma się dobrych przyjaciół. Druga, zestresowana, nerwowa, samotnie czeka na śmierć.

Piotr Janiszewski zagrał Świerszcza. Postać to dziwna. Nie mówi ani słowa, nie bierze udziału w akcji, zaraz na początku wdrapuje się na dekorację i... gra. Wprawdzie nie na skrzypcach, jak zwyyczajne bajkowe świerszcze, tylko na gitarze. Ale jego (a właściwie Pavla Helebrand) muzyka nie jest ilustracją. Ona nadaje rytm całemu widowisku, sprawia, że akcja toczy się w zróżnicowanym tempie, akcentuje niektóre momenty, czasem wprowadza pauzy. Dobry pomysł z tym Świerszczem.

Zacząłem od krytycznego spojrzenia na sztukę Baltscheita przez „mędrca szkiełko i oko”. Natomiast „czucie” silniej mówi do mnie. To bajka z mądrym przesłaniem, traktująca o rzeczach ważnych, przy tym nie nudna. Przedstawienie w „Ateneum” bardzo mi się podobało, zachęcam więc do odwiedzenia teatru z dziećmi własnymi, krewnymi i znajomymi. Zapewniam – dzień z Jętką będzie piękny.

BOGDAN WIDERA

Martin Baltscheit: Tylko jeden dzień. Przekład Lila Mrowińska-Lissewska. Reżeria Bogdan Nauka. Scenografia Pavel Hubiczka. Muzyka Pavel Helebrand. Premiera: Śląski Teatr Lalki i Aktora „Ateneum”, Katowice 26 września 2014.

Katowiccy stypendyści na estradzie „Silesii”

Równoległe z festiwalem w Wygiew-
zowie „Silesia” co roku realizuje
cykl koncertów dla tych, którzy chcie-
liby w tym czasie posłuchać dobrej
muzyki nie ruszając się z Katowic.
Zazwyczaj występują na nich młodzi ar-
tyści. Tak było i tym razem – w przed-
ostatnim tygodniu września, a więc
w przededniu urodzin Miasta Katowice
odbyła się seria występów młodych
i bardzo młodych muzyków, których po-
łączył zaszczytny fakt posiadania stypen-
dium przyznanego przez władze miej-
skie. W niedzielę 14 września w Domu
Kultury na Koszutce prezentowali się:
pianistka Agnieszka Porzuczek, skrzy-
paczka Agnieszka Sawicka i wioloncze-
listka Anna Cierpisz. Akompaniowała
Krystyna Makowska. Mimo młodego
wieku (zresztą dość zróżnicowane-
go – pianistka jest już po studiach, na-
tomiasz wiolonczelistka dopiero po ma-
turze), młode panie legitymują się już
nagrodami konkursowymi i innymi
pięknymi osiągnięciami. Program zesta-
wiono z trzech bloków, w ramach któ-
rych każda z nich grała kolejno po jed-
nym utworze. Agnieszka Porzuczek
zaprezentowała kilka bagatel Beethove-
na, które są dość trudne w interpretacji,
bo wymagają zmierzania się ze specy-
ficznie „nagą” fakturą fortepianową
(ma się wrażenie, że w niektórych miej-
scach Beethoven wręcz poskąpił nut,
a przecież dysponował instrumentem
o daleko bardziej delikatnym brzmieniu,
niż współczesne), oraz *Barkarole* Cho-
pina – dość łatwą z kolei do ogarnięcia,
pełną przyjemnie bogatych splotów
dźwiękowych, które skojarzyły się nie-
gdyś Iwaszkiewiczowi z wodorostami.
Wyzwaniem dla skrzypaczki i wiolon-
czelistki były utwory solowe. Agniesz-
ka Sawicka wykonała dość pewnie,
choć jeszcze niezupełnie *con bravura*
pierwszy kaprys Paganiniego z opusu 24,
natomiast Anna Cierpisz dosłownie
„wycierpiała” graną przez siebie *Suitę* G.
Cassado – utwór pretendujący do hisz-
pańskiego ognia, w rzeczywistości nud-
ny, „wymęczony” i zdecydowanie
za długi. Bardziej efektownie i natural-
nie wypadły w wykonaniu obu artystek
tradycyjne numery popisowe: *Polo-
nez D-dur* Wieniawskiego, *Introdukcja*
i Rondo capriccioso Saint-Saensa oraz
Wariacje na temat z opery „Mojżesz” Pa-
ganiniego. Przed naszymi artystkami do-
piero otwiera się życie, mają więc jesz-
cze dużo czasu, żeby wybrać odpowiedni
dla siebie repertuar, jako że w dobrym
wyborze tkwi połowa sukcesu.

Koncerty dedykowane Romanowi Bergerowi

Staraniem krakowskiego Oddziału
Związku Kompozytorów Pol-
skich 21-22 września w Cieszynie od-

MIĘDZY NUTAMI



były się koncerty dedykowane Roma-
nowi Bergerowi – wybitnemu kompo-
zytorowi pochodzącemu z Cieszyna,
mieszkającemu na Słowacji. Z kra-
kowskim środowiskiem kompozytor-
skim Roman Berger związany jest
od dawna. To tam właśnie odkryto go
jako artystycznego patrona czechosło-
wackiej Aksamitnej Rewolucji, a wcze-
śniej – zapalonego przeciwnika reżimu,
tam też miał Berger wiele wykonań
swoich – niełatwych w odbiorze – dzieł
(nie ujmując zasług katowiczanom – nie
stracili oni nigdy kontaktu z artystą, któ-
ry jednak, w latach 70. czy 80., nie mógł
być oczywiście przez nich promowany
jako zwolennik antykomunistycznej
ideologii). Koncerty zorganizowano
dzięki pomocy cieszyńskiego zboru
ewangelickiego i miejscowej szkoły
muzycznej. Pierwszy z nich odbył
w kościele Jezusowym. Był to koncert
muzyki organowej w wykonaniu wybit-
nego krakowskiego organisty Jerzego
Kukli. Na przepięknym, choć wielokrot-
nie przerabianym i niestety już mocno
podniszczonym (przez niejaki „kołat-
ki”, jak objaśnił Jerzy Kukla w progra-
mie koncertu) XVIII-wiecznym instru-
mencie zabrzmiała *Fantazja i fuga*
c-moll Jana Sebastiana Bacha, trzy
preludia chorałowe Jana Gawlasa – cie-
szyńskiego kompozytora związanego ze
środowiskiem ewangelickim, nauczy-
ciela Romana Bergera, fragment monu-
mentalnego *Exodusu* samego Bergera
(*Labyrintos*; całe dzieło jest dedykowa-
ne Janowi Gawlasowi) oraz trzy ostat-
nie części cyklu *Les corps glorieux* Oli-
viera Messiaena. Tak dobrany program
ukazał różne oblicza duchowości mu-
zyki: od prostoliniowości Bacha i Gawa-
lasa, poprzez Bergerowskie „filozofo-
wanie” dźwiękami, do wizjonerstwa
Messiaena. Dość trudnego w odbiorze
programu wysłuchało w niedzielny,
deszczowy wieczór niewiele osób, ale
koncert zrobił wielkie wrażenie.

Podobnie jak drugi, zorganizowany
dzięki pomocy dyrekcji Państwowej
Szkoły Muzycznej I i II stopnia oraz

Cieszyńskiego Zamku Przedsiębior-
czości i Sztuki, który użyczył sali.
Wypełniły go tylko trzy utwory, posia-
dające jednak niezwykle ciężar gatun-
kowy. Tym razem kompozycja Berge-
ra (*Konwergencje I* na skrzypce solo
z lat 1968-1970, utwór dedykowany
wieloletniemu prezesowi krakowskie-
go Oddziału ZKP i głównemu promo-
torowi krakowskiego „renesansu” Ber-
gera Jerzemu Stankiewiczowi) została
„otoczona” utworami Henryka Mikołaja
Góreckiego (mało znana *Mała fan-
tazja* na skrzypce i fortepian op. 73
z 1997 roku) oraz Krzysztofa Pendere-
ckiego (finał *II Sonaty* na skrzypce i for-
tepian z 1999 roku). Wykonawczyniami
koncertu były Kaja i Justyna
Danczowska. Licznie tym razem zebra-
na publiczność (w tym duża grupa
uczniów szkoły muzycznej) słuchała
w niezwykle skupieniu muzyki, o któ-
rej została dowcipnie uprzedzona przez
Panią Profesor, iż jest bardzo trudna.
Faktycznie, słuchanie *Konwergencji*
to była walka, zmaganie się z ogranicze-
niami psychologii słuchania, domaga-
jącej się tego, by ucho było „prowadzo-
ne” jakimś dostępnym, wydeptanym
traktem, o którym mniej więcej wiadomo,
dokąd prowadzi. Narracji, którą sto-
suje Berger, nie można nawet porównać
do ścieżki (podaję definicję geograficz-
ną tejże ścieżki: „najmniejszy szlak ko-
munikacyjny”). Raczej do skalistej tur-
ni – ale cóż to za przygoda pokonywać
owe uskoki i wądoły... Przeciwnie
Górecki: słuchanie jego późnych utwo-
rów można przyrównać do spaceru
po wiejskim ogródku, równiutko
podzielonym na grządkę obsadzone a to ru-
miankiem, a to nagietkami, a to innymi
drobnymi kwiatkami. Bardzo lubię
takie ogródki, cudowny w nich spokój
i nie trzeba się wspinać. Finałowa *Son-
ata* Pendereckiego to okaz tak zwane-
go „zdrowego” dramatyzmu. Kompo-
zytor trzyma się ściśle dawnych
kanonów dotyczących rozwijania for-
my muzycznej, a materia utworu jest
bardzo ciekawa: słuchacz zostaje wcią-
gnięty w ową „intertekstualną” grę,
w której fantami są quasi-cytaty z dzieł
wielkich kompozytorów przeszłości,
od Beethovena do Szostakowicza.

Obydwa koncerty dedykowane Roma-
nowi Bergerowi (kompozytor niestety
nie mógł na nie przybyć, na koncercie or-
ganowym reprezentował go brat Jan
– malarz, związany z Akademią Sztuk
Pięknych w Bratysławie) były czymś
więcej, niż okazją do posłuchania spo-
rej dawki muzyki współczesnej. Były
wydarzeniem, które zostanie zapisane
w miejskich annałach. Wydarzeniem,
które sam Roman Berger tak opisał
w przedmowie do programu, pod datą 9
września 2014: „Wielkiego szczęścia
w życiu potrzeba, by po wymuszonym
«exodusie» z rodzinnego miasta wrócić
doń (niejako «w ostatniej chwili») choć
tylko symbolicznie-muzycznie”.

MAGDALENA DZIADEK

JANOSCH Szczęśliwy, kto poznał Hrdlaka



znak

Janosch: *Szczęśliwy, kto poznał Hrdlaka*.
Przeł. Emilia Bielicka. Kraków 2014, ss. 174,
okł. Twarda.

Zbiór minitraktatów i testament gorzkich prawd

Szczęśliwy, kto poznał Hrdlaka to kolejna powieść niemieckojęzycznego pisarza pochodzącego z Zabrza przedstawiająca Górny Śląsk w okresie dwudziestolecia międzywojennego. Janosch rozprawia się w niej przede wszystkim z upiorami własnego dzieciństwa, ze zmorami nawiedzającymi niejedną rodzinę – ponizaniem, biciem, wzdargą, poszukując ich wytłumaczenia w nieświadomości rodziców, którzy często nie wiedzą, co jest słuszne, a co nie, w ich życiowym zagubieniu i niewłaściwych wzorcach przejętych z domu, szkoły czy nawet kościoła. W ten właśnie sposób autor tłumaczy, skąd się wzięło piekło, jakie jednemu z głównych bohaterów książki – Norbertowi Fürchtgottowi Mance – zafundowali nie tylko ojciec i matka, ale także babka, wpajająca wnukowi przekonanie, że gdy będzie niegrzeczny, to jego mama umrze i wtedy otrzyma okrutną macochę.

Z kart powieści wyłania się bolesna rzeczywistość wielu polskich ognisk rodzinnych, które zamiast płonąć miłością, wypalają dusze swoich członków nienawiścią, stałym podtrzymywaniem wysokiego poziomu lęku, ponizaniem psychicznym i fi-

zycznym. Tak było i jest nie tylko na Śląsku. Horst Eckert to tylko opisał w dosadnym stylu, nie pozostawiającym miejsca na wątpliwość, czy taka okrutność jest możliwa. Jest i, co więcej, każdy jest do niej zdolny. I robotnik, i urzędnik, i Polak, i Niemiec, i wierzący, i niewierzący. To po prostu ludzka przywara, z którą jedni walczą, wznosząc się na wyżyny spokoju, miłości, dobroci, wręcz anielskości, jak Hrdlak, a inni z tej czy innej przyczyny się jej poddają, upadając jak Elza i Hannek Mainkowie.

Trzeba też podkreślić, że niestety Janosch ma słuszną, zauważając fałszywość deklarowanego przez bohaterów jego prozy chrześcijaństwa, bo co to za *caritas*, która nie kocha nawet najbliższych?! Jakże miłować będzie obcych, a tym bardziej Boga, którego nie widzi, skoro gardzi synem, córką, ojcem, matką...? Inną kwestią jest rozszerzenie tej krytyki na całą religię i przypisywanie jej winy za wszystkie grzechy popełniane w domowym zaciszu, za skrzywienia edukacyjne szkoły i wiele innych niegodnych człowieka zachowań, jakie wypełniają powieść. Sądzę, że w tym miejscu autor dokonał krzywdzącego uogólnienia, ale nie ono jest istotą jego religijnych refleksji.

Szczęśliwy, kto poznał Hrdlaka to zbiór minitraktatów na różne tematy, splecionych w spójną fabułę. Jednym z esejów, które zaczepione są w głównym wątku na podobieństwo kotwicy, rozumianej jako element składniowy języka HTML, jest rozważanie osnute wokół religii chrześcijańskiej, Boga, przykazań, etycznych norm, buddyźmu oraz jego wskazówek. Janosch, który sam jest buddystą, w swoim eseistycznym studium wychodzi od krytyki niemoralności opisywanych przez siebie postaci, następnie przechodzi przez krytykę kościoła i religii jako przyczyn owej nieszlachetności, aby ostatecznie osiągnąć przekonanie, że w życiu trzeba zmierzać taką ścieżką, by dojsz do nirwany, dzięki której unikniemy ponownych narodzin, niegwarantujących nam lepszej egzystencji od poprzedniej. Ten swoisty traktat w powieści jest w rzeczywistości zapisem drogi, jaką zapewne musiał przejść autor podczas wieloletnich osobistych poszukiwań sensu życia, które wypełnione jest cierpieniem, nienawiścią, obłudą i wieloma innymi formami zła. Pisarz szukał zrozumienia i znalazł takie, jakie ostatecznie zawarł w książce, jednak pomimo dosadności wielu krytycznych sformułowań nie narzuca on czytelnikowi własnych przekonań. Wyboru drogi musi dokonać każdy sam.

Konstruując postać Hrdlaka na podobieństwo buddyjskiego mnicha, zawarł w nim także, z pewnymi zastrzeżeniami, subtelne odbicie Jezusa. Hrdlak – dla tzw. normalnej części społeczeństwa głupol i dziwak – wyraźnie odcina się od otoczenia nie żadnym wariactwem czy niższym poziomem kultury, ale właśnie wyjątkową szlachetnością postępowania (nie mał oddaje własne życie za konia), dobrocią (dzieli się pokarmem, chociaż sam jest biedny), schłodnością (jego dom – choć trudno nazwać go budynkiem, bo to jakiś sklecony z blachy, kartonów i desek boks

– jest zawsze uprzątnięty i czysty), opanowaniem i umiejętnością milczenia, gdy inni bluzgają przekleństwami na prawo i lewo. Jednym słowem, Hrdlak to miejscowy święty, eremita, mnich, w pewnym sensie nowe wcielenie Jezusa na miarę ówczesnych czasów i miejsca, w którym przyszło mu żyć. Potwierdzeniem takiej interpretacji może być także fakt, iż pojawia się on znikąd i znika równie tajemniczo.

W powieści Janoscha odnaleźć możemy jeszcze wiele minitraktatów, jak chociażby o sukni ślubnej panny młodej, filozoficznych poszukiwaniach Cwi Bońskiego oraz jego przyjaciela Ballestrema, a także, chyba najważniejsze, o etnicznych korzeniach ludzi zamieszkujących Śląsk oraz o zwyczajach panujących w ich domach. Z obu ostatnich esejów mógłby wyniknąć i zapewne wyniknie zaciekle spór o przedstawienie Górnoszlązaków w bardzo złym świetle – jako potomków Hunów, Kirgizów, Tatarów, Besarabów i innych Mongołów, a w najmniejszym stopniu Niemców, choć do tych ostatnich chcieliby być najbardziej podobni. Trzeba więc tę kłótnię zdusić w zarodku i podkreślić uniwersalizm prozy Eckerta. Chociaż umieścił on akcję fabuły w jakiejś Kłodnicy na Śląsku, to jednak ów pozorny konkretny posłużył mu jedynie jako pretekst do rozważań o naturze człowieka w ogóle – stąd eseje o przemocy w rodzinie, o niemoralności wierzących i poszukiwaniu nowej drogi wiary, a także o mieszance etnicznej i kulturowej, której efektem jest zbieranina rozmaitych zwyczajów, tradycji i obrzędów nie zawsze dobrze rozumianych, a więc często źle przekazywanych z dodatkiem własnych interpretacji, przesądów i rozmaitych dziwactw. Zresztą wspomnianą Kłodnicę trudno umiejscowić na mapie, gdyż gmina o tej nazwie powstała dopiero po II wojnie światowej, a siedzibą jej władz była obecna dzielnica Kędzierzyna-Koźla. Jest jeszcze oczywiście Ruda Śl. Kłodnica, no i rzeka, prawostronny dopływ Odry.

Czy Janosch chciał w ten sposób ośmieszyć Górnoszlązaków? Czy chciał pokazać światu, że śląska ziemia jest zacofanym, brudnym, jak i pełnym charakterów grajdołkiem? Gdy odczytamy jego powieść z odpowiedniej perspektywy, a zatem jako zbiór rozważań filozoficznych, etycznych, religijnych, kulturowych, psychologicznych, które spleciono w jedną narrację, mającą kilka wątków fabularnych, wówczas oderwiemy się od konieczności nakładania na nią śląskiego filtra i zauważymy, że ona o wiele bardziej krytykuje nas jako ludzi i obnaża nasze ludzkie słabości, które w każdym zakątku świata są takie same. *Szczęśliwy, kto poznał Hrdlaka* to również swego rodzaju testament autora, który dzieli się w nim nie tyle pięknymi i cnotliwymi mądrościami, jakie zebrał w ciągu życia, ile gorzkimi i bolesnymi prawdami, od których dobrze jest nie uciekać, ale stanąć z nimi twarzą w twarz, by zobaczywszy zło, jakie trapi ludzkość, dostrzec w niej także takie jasne perły, jak Hrdlak, często zatopione w błocie codzienności. Ten, kto je wyłowi, będzie szczęśliwy.

KATARZYNA BERETA

Piotr Matywiecki pisze książkę pod tytułem *Świadomość* doskonale wiedząc, że jest to wyczyn karkołomny. Na blisko osiemdziesięciu stronach lawiruje pomiędzy filozofią i poezją, raz szukając oparcia w komentarzach do Heraklita z Abdeiry, innym razem snując heideggerowskie oraz husserlowskie (autor kpi nieco z redukcji fenomenologicznej) medytacje o świadomości.

Za każdym razem na kartach tej książeczki, z uporem godnym sprawy, Matywiecki nasłuchuje i bada, śledzi język poezji oraz mowę przyrody, szukając metafory tego, co mógłby nazwać świadomością. Wynajduje ich bez liku. Jak łączy to w całość?

Książka ta zrobiona jest na zasadzie rozszerzania refleksji o świadomości o kolejne kręgi tematyczne: hymny, wyznania wiary, dygresje, próby uniwersalizowania pojęcia świadomości. Jest to, innymi słowy, szkoła myślenia, ale myślenia poetyckiego. Ludwig Feuerbach pisał o podatności pojęć filozofii na rozwinięcie jako próbieru przydatności danej propozycji teoretycznej. Pojęcie świadomości przez swą wieloznaczność i rozległość znakomicie się do tego nadaje.

Autor zdając sobie sprawę z gatunkowej zawiloci dzieła, którego się podjął, nazywa je poematem prozą, który karmi się filozofią lub traktatem filozoficznym używającym języka poezji. Funkcja poetycka, czyli udziwnienie, przeniesienie w konteksty nieoczywiste lub pozornie oczywiste rozważań o tym, co się przydarza „ja”, to naczelną zasadą twórczą i narzędzie tego minitraktatu. Gdy poszukamy w historii polskiej literatury podobnych inspiracji, to zobaczyć możemy, że momentami lektura książki Matywieckiego przywodzi na myśl *Confiteor* Przybyszewskiego, a innym razem *Genезis z ducha*, wreszcie na wskroś współczesne eseje Krzysztofa Rutkowskiego, inspirowane Giorgio Agambenem. Książka Matywieckiego to piękny okaz w dorobku Instytutu Mikołowskiego, który być może – podobnie jak wiersze Pawła Końjo Konnaka – doczeka się nominacji do liczących się w Polsce nagród literackich.

Objętość nie jest tu przeszkodą ani tym bardziej świadectwem lekceważenia tematyki, gdyż Matywiecki pisze bardzo gęsto. Są to medytacje wymagające, a ich Czytelnik, śladem znacznym przez Jamesa Joyca, mógłby cierpieć na idealną bezsenność. Ten kontekst zresztą przywołać można w odniesieniu do słów autora, które stanowią aluzję do metody strumienia świadomości: „Chcę, żeby to, co piszę, było świadomością” (s. 7) – pisze w jednym ze zgrabnych paraaforyzmów.

Definicji świadomości na kartach tego eseju jest wiele. Każdy z sześćdziesięciu dziewięciu rozdziałów zaczyna się

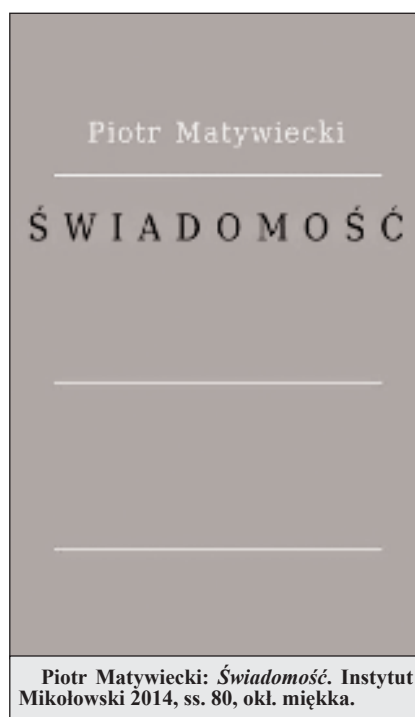
od refleksji na jej temat i zawiera rozmaite próby ujęcia tego tematu. Rozrzut dyscyplinarny i geograficzny twórczych inspiracji jest szeroki. Raz z pomocą przychodzą mędrcy z Chin, innym razem Heraklit zwany też Ciemnym, czy teolog Paul Tillich.

Matywiecki wie, że świadomość jest przedjęzykowa a uzgodnienie interdyscyplinarnej definicji nie do końca jest jego ambicją. Bibliografia tematu jest przytłaczająca swym ogromem. Dlatego Matywiecki w pełni tego świadom próbuje sformułować istniejące już propozycje w twórczym rozwinięciu (a jakże po feuerbachowsku). Celowo wykorzystuje jedno z mott, wzięte z klasyki filozofii dialogu – Martina Bubera, by wyrazić także swą autorską motywację: „(...) odniesienie człowieka do własnego jestestwa i do własnej jaźni nie znalazło takiego spełnienia i przemienienia, i jak się zdaje, nie może znaleźć” (s. 5).

W ten sposób *Świadomość* Matywieckiego staje się też autorską próbą samoantropologii, samopoznania na najbardziej fundamentalnym poziomie. Dialektyka tej książki oscyluje wokół „ja” i „ja”. Także „ja”, które mówi za „my”, więc ogólnoludzkiego, istotowego oraz osadzonego w konkretnie życiowym, najprościej byłoby powiedzieć, że może przede wszystkim „ja” zanurzonego w świecie. Wymianę pomiędzy „ja” i światem eseista nazywa właśnie „elementarną mową”. Jest to komunikacja niemalże ewangeliczna („Niech wasza mowa będzie: tak, tak i nie, nie”). W jej słowniku mieści się tylko tyle i aż tyle.

Funkcja poetycka tych esejów wyraża się także w tym, że świadomość autora poetyzuje świat tak, by to życie naśladowało literaturę, wbrew zasadzie tradycyjnej *mimesis*. Z rozbijającą szczerością Matywiecki przyznaje, że w oknie, przez które ogląda „przemarsz pór roku”, widzi jerzyki, jednak woli nazywać je jaskółkami, gdyż to słowo bardziej mu się podoba. Jawne to zastosowanie autorskiej licencji poetyckiej, ale także polonistycznej formułki definiującej funkcję poetycką jako projekcję zasady ekwiwalencji z osi wyboru na oś kombinacji. Matywiecki stwierdza nawet: „Chcę przez to powiedzieć, że mało ważne są słowa i ich znaczenia, kiedy latają razem z jaskółkami, jak jaskółki” (s. 9). Ujawnia wówczas swoje Adamowe „ja” (gdyż jak Adam nazywa rzeczy i zwierzęta), czyli jest poeta.

Książkę tę należy czytać powoli i wiele razy. Brak spisu treści ma być także zachętą do czytania jednym tchem. W dookólnym ruchu lektury Matywieckiego, podobnie jak czytany przez Tadeusza Sławka Jacques Derrida, zdaje się kroczyć swoją myślą w rytmie jakiegoś niezwykłego tańca. Dajmy na to – włoskiej tarantelli: miarowo, szybko



O Świadomości Piotra Matywieckiego

z fantazją, ale też z druzgocącą świadomością ubywania, którą nadrabia gęstością kroków (myśli) mających oddalić od nieuchronności. Wszak tarantella nosi w sobie pamięć rytuału, miała chronić przed śmiertelnością ukąszeniem. Czyż nie tego samego chce uniknąć Matywiecki?

Autor mówi: „świadomość wszędzie w sobie podąża za śmiercią” (s. 73). By ostatnimi słowami pogłębić jeszcze elegijne zamknięcie i zakończyć w duchu Rainera Marii Rilke: „W chwili śmierci jest się nieśmiertelnie świadomym, jest się świadomością daną raz na zawsze, jest się życiem (s. 79)”. Szczelina, prześwit, który domyka się wraz ze śmiercią, jest rozbłyskiem, których wytrawnym poszukiwaczem i kolekcjonerem – Matywiecki, dlatego też świadom raz danego życia, autor pisze o świadomości, czyli o tym co przedjęzykowe, co jest gąbką, która sączy, w tylko sobie wiadomy sposób, świat.

MAREK MIKOŁAJEC



Jay David Bolter: *Przestrzeń pisma. Komputery, hipertekst i remediacja druku*. Przel. A. Małeczka, M. Tabaczyński. Kraków 2014, ss. 276.

Książka = kultura

Książka jest niezwykłym przedmiotem, który towarzyszy kulturze ludzkiej na wszystkich etapach jej rozwoju, wyznaczając nie tylko sposób przekazywania myśli i wiedzy, ale także poziom technologiczny. Jak zauważa we wprowadzeniu Michał Tabaczyński: „książka jest sumą możliwości cywilizacji na danym etapie rozwoju zarówno jeśli chodzi o sposoby jej technicznej reprodukcji i dystrybucji, jak i odnośnie do formy istnienia oraz prezentacji jej treści”. Znaczenie książki jest zatem ogromne: stanowi bowiem model danego etapu cywilizacji, symbol kultury. Począwszy od zapisków na kościach, glinianych płytkach, przez opasłe manuskrypty pisane na cielęcej skórze, naśladowane przez książki drukowane metodą Gutenberga, aż po wychodzące spod drukarskiej prasy, będącej odzwierciedleniem produkcji seryjnej epoki przemysłowej, masowo produkowane książki.

„Każdą z tych przemian – pisze Jay David Bolter – możemy nazwać ‘remediacją’, co oznacza, że nowsze medium zajmuje miejsce starszego, jednocześnie zapożyczając i reorganizując pewne cechy pisma właściwe medium starszemu oraz zmie-

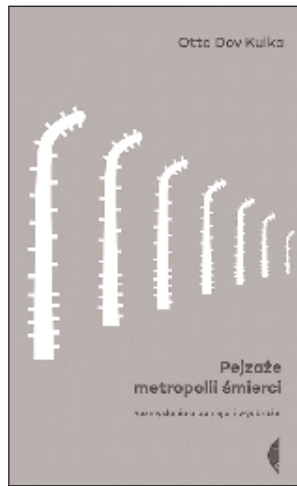
niając jego kulturową przestrzeń (...). Remediacja to proces kulturowego współzawodnictwa pomiędzy technologiami”.

Obecnie mamy do czynienia z kolejnym etapem remediacji druku. Najnowsza cyfrowa technologia zmienia styl czytania i pisania. Autor zwraca uwagę na interaktywność cyfrowych tekstów, które nie tylko „naśladowują” książkę drukowaną, ale przede wszystkim wychodzą poza nią, oferując nowe możliwości tak piszącym, jak i przede wszystkim czytelnikom. Ci ostatni sami stają się twórcami czytanych tekstów. Dzieje się to dzięki hipertekstom, odsyłającym do innych tekstów lub miejsc w tym samym utworze, dzięki czemu każda lektura jest czymś odmiennym. Współcześni czytelnicy nie czytają zatem jednakowego tekstu.

Lektura *Przestrzeni pisma* jest spacerem po znanych nam przestrzeniach. Choć publikacja pisana była wiele lat temu, wciąż sprawia wrażenie świeżej i aktualnej. Wizjonerski talent Boltera naprawdę robi wrażenie. Przeszkadza jedynie to, że wciąż powtarzane są te same tezy. Owszem, są interesujące, ale za trzecim razem przestają być zachwycające. Przekaz Boltera tak mocno wbija się w umysł czytającego, że ten przyjmuje jego rozważania za własne. Stąd wrażenie, że czytamy coś, co bardzo dobrze już znamy.

Autor sprawnie, choć skrótkowo pisze o całej historii książki, podkreślając, że niezależnie od jej materialnej formy książka zawsze pozostanie książką. I nie jest tak naprawdę istotne, czy została zapisana na papirusie czy jest zestawem cyfrowych danych zapisanych na płycie CD lub plikiem w czytniku. W obu przypadkach doskonale spełnia swoją rolę – jest kompatybilna z epoką, w której powstała. Daje to nadzieję piszącym, że książki nigdy nie zginą, po prostu dopasują się technologicznie do swoich czasów. W obecnej epoce dominują komputery, sieć internetowa. Nic zatem dziwnego, że także ten obszar zaadaptowała dla siebie książka. Bolter zwraca także uwagę, że eksperymenty formalne z jej udziałem wcale nie są odkryciem ostatnich lat. Książka musi się zmieniać, tak jak zmienia się świat wokół nas.

KATARZYNA KRZAN



Otto Dov Kulka: *Pejzaże metropolii śmierci. Rozważania o pamięci i wyobraźni*. Przel. M. Szczubialka. Wołowiec 2014, ss. 167, okł. twarda.

O fizycznej obecności Boga w krematorium i o obsesji śmierci

Pejzaże metropolii śmierci wpisują się w szeroki nurt literatury obozowej. Otto Dov Kulka – historyk, emerytowany profesor Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, członek zarządu Instytutu Yad Vashem i były więzień obozu Auschwitz-Birkenau – przeprowadza czytelnika przez osobiste wspomnienia, sny, filozoficzne rozmyślenia nad oświeceniowym piekłem oraz bolesne powroty do miejsc, w których utracił własne dzieciństwo. Autor próbuje zrozumieć przeszłość i wydobyć z tego, co pozostało w jego pamięci, metafizyczny sens. Przy czym, jak sam zaznacza, są to metafory czegoś, co w tamtym czasie wydawało się rozrastać w swoisty światowy porządek. Jako historyk analizuje konstrukcję tego ostatniego, dostrzegając w śmierci całą ówczesną rzeczywistość, zwłaszcza takimi miejscami, jak obozy koncentracyjne. Szczególnie zaś Auschwitz, który nazywa „metropolią śmierci”.

Narracja Kulki wymyka się genologicznym klasyfikacjom,

dzięki czemu książka stanowi wyjątkowe połączenie świadectwa ocalałego z Zagłady, esejistycznych rozważań z pogranicza poezji i filozofii oraz historycznej analizy. Jest to pozycja obowiązkowa nie tylko dla osób naukowo interesujących się Holokaustem, ale także dla wszystkich, którzy poszukują głębszego wytłumaczenia obsesji śmierci, jaka zawiadnęła światem podczas II wojny światowej. Opętania, które położyło się cieniem na kolejne dekady po 1945 roku. Paranoi, od której nie są wolne także i nasze czasy. Zupełnie, jakbyśmy nie wyciągnęli żadnych wniosków z dymiących krematoriów.

W tej wymykającej się schematom publikacji wiele jest cennych obrazów. Warto przytoczyć tutaj jeden: sen o przyzywaniu fizycznego istnienia lub fizycznej obecności Boga w krematorium. Kulka, wychowany w religijności judaistycznej, nie mógł ominąć pytania: gdzie był Bóg, gdy ludzie ludziom gotowali taki los? Senne marzenie, o którym wspomina, daje zaskakującą odpowiedź, wskazówkę, mgliste przecucie, że był On tam, gdzie ciała stawały się podobne do żagwi. Autor tak oto opisał tę boską obecność: „I ujrzałem – straszliwą rozpacz Boga, który tam był (...). Początkowo czulem go (tylko) jako tajemnicze promieniowanie bólu płynące z czarnej pustki nierozpalonej części pieca krematoryjnego. Promieniowanie nieznośnie dotkliwego bólu, jednocześnie tępego i przeszywającego. Potem zaczął przybierać postać ogromnego embriona, skulonego z bólu w półmroku, gdzie pulsowała tylko odrobina światła (...). Bóg w śnie Kulki znajduje się w samym centrum ludzkiego łęku, cierpienia, poniżenia, opuszczenia i wreszcie okrutnej śmierci. Jest tam cichy i niewidoczny, nie narzuca się, jakby zawstydzony tym, co Jego stworzenie jest w stanie uczynić, jakby przybity boleścią i niemocą, bo cóż może uczynić Stwórca ograniczony wolnością swego dzieła? Chociaż wszechmogący, nie może jednak odebrać człowiekowi wolności! Siedzi więc w krematorium niczym zakładnik patowej sytuacji.

Pejzaże metropolii śmierci to książka, która zaskakuje głębią rozważań, jak również ograniczonymi odpowiedziami, opisami z jednej strony uciekającymi przed patosem, który niczego nie tłumaczy i nie oczyszcza, z drugiej dalekimi od szokowania czytelnika okrucieństwem, choć równocześnie pełnymi twardego realizmu. Publikacja Kulki to lektura obowiązkowa dla każdego, kto chce budować poważną refleksję nad problemem Holocaustu.

KATARZYNA BERETA

Niemal cały Londyn zwiedzić można z jednego punktu – London Eye, wielkiego młyńskiego koła, będącego jednocześnie wieżą widokową. Z wysokości, nie biorąc udziału w pedzie miejskiego życia, odizolowani od problemów i codzienności podziwiać możemy piękno tego miasta. Tak, mniej więcej, czułam się czytając książkę Grzegorza Muchy. Opowieść, złożona ze skrawków miłosnych spotkań kochanków, opatrzona jest bardzo trafnym podtytułem – dzienniki szczęśliwe.

Grzegorz Mucha czyni nas świadkami i uczestnikami chwil wspólnie spędzonych przez kochanków. Podglądamy ich wyciekane spotkania, rozmowy i intymne zbliżenia. Tak, *London eye* to książka o miłości. Po przeczytaniu pierwszych stron można ją bez żalu odłożyć na półkę z banalnymi historiami o zakochanych. Jeśli jednak nie zniechęcimy się stereotypem „starszy mężczyzna – studentka”, jeśli nie zaszukujemy książki jako subtelnego erotyku, spotkać nas może całkiem przyjemna niespodzianka. Bo wbrew początkowej, pobieżnej ocenie książka Grzegorza Muchy jest pozycją dla osób, które lubią poddawać dogłębną analizę czytanej właśnie pozycji.

Zwróciłam na to uwagę dopiero, gdy w akcję wmiszał się pewien rudy kot. Nie dałam mu się jednak zwieść i nie spakowałam bagaży, licząc na to, że narrator zaprasza mnie w tajemniczą podróż do krainy Carlosa Ruiza Zafóna. Z uśmiechem przyjąłam kolejne „manowce” i z wytrwałością kolekcjonera zbierałam wskazówki pozostawione przez autora, odczytując – mam nadzieję właściwie – prawdziwego jego intencje. „Tu cię mam” – pomyślałam, czując przy tym satysfakcję z roz-

szyfrowania chytrego planu, gdy na jednej ze stron znalazłam fragment mogący być autorecenzją czytanej powieści.

Historia kochanków wiedzie nas przez znane ulice Katowic, Bytomia i Gliwic, prowadzi przez Berlin i Szkocję, pokazuje Hongkong i, przede wszystkim, Londyn. Nie jest ważne, gdzie dzieje się akcja, bo nie ma znaczenia nic, co dzieje się w książce. Żaden z rozpoczętych wątków nie musi dotrzeć do finału. Liczy się bowiem jedynie intymna obecność pary kochanków. Przenikanie się ich ciał i umysłów. „Napiszmy własną historię; historię toczonych intrygami kochanków, którzy nic sobie z tego nie robią” – prosi w pewnym momencie bohaterka książki, Kinga. A autor – bohater-pisarz nie waha się spełnić jej pragnienia. Zapytacie, czy jest to na pewno jego własna historia? Tego nie wiem i nie zamierzam rozstrzygać. Nie będę zgadywać mimo tego, że rozwiązaniu tej kwestii służyć mogą wskazówki – opowieść zaczyna się od wątpliwości głównych postaci, czy chcą się swoją historią podzielić, a na okładce czytamy, że opisane wydarzenia oparte są na faktach.

Opowieść o kochankach zilustrowana została fotografiami, a miejsce wykonania wielu z nich rozszyfrować mogą zapewne jedynie bohaterowie powieści. Na pozór oczywiste, nic nie jest jednak dosłowne, bo przecież i tak nie ma znaczenia.

Książkę – od momentu, w którym wdamy się w grę przygotowaną przez Grzegorza Muchę – czyta się w jeden wieczór. Pozostaje po niej uśmiech i życzenie, by kochankowie trwali w owej intymnej rzeczywistości.

ADRIANA URGACZ-KUŹNIAK



Dzienniki
szczęśliwe

www.poradniajazykowa.pl

**Czy można mówić w Ikea?
Czy nazwę IKEA można odmieniać
w taki sposób?**

Myszę, że można, zwłaszcza że nie powoduje to zakłóceń w komunikacji.

IKEA jest skrótcem głoskowym, utworzonym z pierwszych liter nazwy rozwiniętej, które czyta się łącznie podobnie jak zwykłe wyrazy, czyli jako sumę kolejnych głosek. Znamiernymi skrótcami głoskowymi są np. PESEL – Powszechny Elektroniczny System Ewidencji Ludności, MEN – Ministerstwo Edukacji Narodowej, NIK – Najwyższa Izba Kontroli czy OBOP – Ośrodek Badania Opinii Publicznej.

Jak dowiadujemy się z internetowego serwisu firmy (www.ikea.pl), a także ze Słownika skrótów i skrótowców Jerzego Podrackiego, skrótowiec IKEA powstał z połączenia pierwszych liter imienia i nazwiska założyciela tego przedsiębiorstwa, Ingvara Kamprada, oraz nazw miejsc, w których dorastał: farmy Elmtarydi i parafii Agunnaryd.

Przywołane wyżej przykłady polskich głosekownych nie nastrożają problemów w odmianie ani zapisie form odmienionych, wszystkie bowiem kończą się na spółgłoskę i dlatego w naturalny sposób zostają włączone do deklinacji męskiej – spotkamy więc formy: PESEL-u, MEN-u, NIK-u, itp. Nazwa IKEA natomiast kończy się na -a, co w polszczyźnie powoduje włączenie jej do deklinacji żeńskiej, pomimo że ostatnia litera skrótu nie jest wymienną końcówką odmiany. Zapewne z punktu widzenia obokrajowca nazwa IKEA nie powinno się odmieniać, ale Polacy podejmują próby „oswojenia”, przypisując ją do znanych sobie deklinacji i odmieniając IKEA na wzór rzeczowników pospolitych, takich jak idea, orchidea, kamea, czy też podobnie zakończonych nazw geograficznych: Judea, Korea, Bazylea, Gwinea. Z pewnością to, co zgodne z duchem naszego języka (czyli odmiana wyrazów), nie jest zjawiskiem, które należałoby zganić. Odmiana tej nazwy już się upowszechniła i nie powoduje zakłóceń w komunikacji,

nadal bowiem wiadomo, o jaką firmę idzie, i trudno byłoby pomylić nazwę z jakimkolwiek innym wyrazem, bo jest ona popularna, często używana.

Formy odmiany można byłoby zapisywać jako zestawienie początkowych wielkich liter i końcówki połączonych łącznikiem (dywizem), np. IKE-i, ale na stronach internetowych częściej spotykamy się z zapisem bez oddzielania końcówki: IKEI, IKEÅ, IKEĖ. Według mnie najlepszym rozwiązaniem jest jednak zapis z początkową wielką literą, co wiąże się oczywiście z dopisywaniem odpowiednich końcówek odmiany bezpośrednio do „tematu”, czyli: M. Ikea, DCMs. Ikei, B. Ikeę, N. Ikeę. Przy okazji warto podkreślić, że Wielki słownik ortograficzny języka polskiego PWN dopuszcza dwojaką pisownię: IKEA oraz Ikea. Polacy nie uważają tej nazwy za skrótowiec, co nie jest zjawiskiem odosobnionym, ponieważ podobnie było np. z Cepelią, czyli CPLiA – Centralą Przemysłu Ludowego i Artystycznego, czy z nazwą przedsiębiorstwa DESA – Działa Sztuki i Antyki, która stała się Desą. Nazwę IKEA można byłoby też oczywiście pozostawić w formie nieodmienionej, zwłaszcza zapisaną wielkimi literami, ale myślę, że normą stało się już odmienianie.

KATARZYNA WYRWAS

Gronie. Historia – kultura – sztuka. Wydawnictwo poświęcone Żywiecczyźnie i Beskidom. Nr XIII. Wyd. Towarzystwo Miłośników Ziemi Żywieckiej, Żywiec 2013, s. 280.

Zawsze cieszę mnie publikacje dotyczące regionów, czy jak kto woli – „małych ojczyzn”, ukazujące się staraniem społeczności lokalnych. *Gronie*, choć to już XIII numer tego wydawnictwa, trafiły do mnie po raz pierwszy, więc zapoznałem się z nimi z ciekawością. Jak w wydawnictwach tego rodzaju dominuje historia, czemu trudno się dziwić, bowiem w zespole redakcyjnym jest wielu historyków. Ale przy nazwiskach autorów artykułów zawartych w publikacji, niezależnie od ich profesji, pojawia się często słowo „pasionat” z dodatkami – regionu, kultury regionalnej, turystyki. Takie określenie gwarantuje, że teksty powstały „z potrzeby serca”. W tym tomie zaprezentowano sylwetki założycieli Towarzystwa Miłośników Ziemi Żywieckiej, są też materiały z czasów II wojny światowej, ale można też znaleźć napisane z humorem wspomnienie o żywieckiej gastronomii, przenoszące czytelnika w odległe czasy peerelowskiej rzeczywistości.

Grzegorz Sztoler: *Bojszowianie. Kalendarium z historii zespołu folklorystycznego. Okruchy ze śpiewanych dziejów „Bojszowskich Babeczek” (ok. 1961-1982) i „Bojszowianek” (1983-1992)*. Wyd. Stowarzyszenie Rozwoju Zawodowego Śląska i Małopolski, Bojszowy 2014, s. 168.

Piękne, albumowe wydawnictwo z mnóstwem archiwalnych zdjęć, które obok tekstu dokumentują historię rozpiewanych Bojszów. Miałem okazję rozmawiać z autorem (współpracownikiem naszego miesięcznika i członkiem GTL), więc wiem, ile było trudności przy kompletowaniu materiałów do tej książki. Z czasów dawniejszych zachowało się niewiele dokumentów, zresztą i później nie zajmowano się specjalnie dokumentowaniem działalności. Poza archiwami, wycinkami z prasy, jakimiś ulotnymi drukami, najbardziej przyczyniła się do powstania tego monograficznego szkicu ludzka pamięć. Miała w tym swój udział pani Maria Gondzik (1920-2013), która zgodziła się zapisać z myślą o książce własne wspomnienia. Myślę, że w tym przypadku należy wymienić jeszcze jedno nazwisko: Mariusz Mikołajczyk. Jego dziełem jest opracowanie graficzne publikacji.

***Wspomnienia przy świecach (pamięci L. Kasprzyka i członków Stowarzyszenia Autorów Polskich Oddział w Będzinie)*. [Red. Bolesław Ciepiela]. Wyd. Stowarzyszenie Autorów Polskich Oddział w Będzinie, Będzin 2014, s. 130.**

Ludwik Kasprzyk był zasłużonym prezesem Fundacji im. Jana Kiepury w Sosnowcu. Jego biogram otwiera tę książkę. Życiorysowi towarzyszą inne materiały, w tym wspomnienia pośmiertne. W dalszej części zatytułowanej *Postacie, o których pamięć nie może zaginąć* znajdziemy sylwetki zmarłych członków Stowarzyszenia Autorów Polskich Oddział Będzin. Są to: Krystyna Pryślak, Waldemar Maciążek, Włodzimierz Wójcik, Zdzisława Gwiazda i Mirosław Ponczek. Do ich biogramów dołączono rozmaite materiały (zdjęcia, materiały z prasy, wspomnienia itd.). Trzecia część to zarys wiadomości o Stowarzyszeniu Autorów Polskich Oddział w Będzinie i spis członków tej organizacji. W książce znalazły się także wiersze napisane przez twórców Stowarzyszenia poświęcone pamięci zmarłych koleżanek i kolegów. Publikacja na pewno ważna dla tego środowiska, którego aktywność mam okazję obserwować od lat.

Ferdynand Goetel: *Anakonda. Dzieła wybrane, tom 8*. Wyd. „ARCANA”, Kraków 2014, s. 216.

Wielki kryzys, kopalnia „Józef” w Zagłębiu Dąbrowskim, amerykański kapitał o wiele mówiącej nazwie „Anakonda” nastawiony wyłącznie na zysk itd. itp. Zdawałoby się, iż powieść bardzo aktualna i można dziś wyciągać z niej praktyczne wnioski. Niestety, nie. Goetel biedził się nad *Anakonądą* przez wiele lat, wydana została zresztą po jego śmierci. Mimo swoich wizyt w miejscu, które chciał opisać, nie za bardzo mu się udało. Mam wrażenie, że polscy pisarze z dworowo-ziemiańskiej krainy trafiający w poszukiwaniu tematu na Śląsk, do Zagłębia, w świat wielkiego przemysłu, byli jak badacze podróżujący po Amazonii. Widzieć – widzieli, gorzej było ze zrozumieniem i tej egzytyki, a tym bardziej tubylców. Postacie opisywane przez Goetla są papierowe, a dialogi sztuczne (choćby ten o biedaszybach między Jerzym a „wyrostkiem”). Osobiście lubię czytać takie rzeczy staromodne, z dzisiejszej perspektywy – naiwne, bo pokazują jak zmienił się świat, jak odeszliśmy od dawnych wyobrażeń, nawet form ekspresji.

Józef Musiol: *Ramiona wagi*. Wyd. „Antykwa”, Kraków 2014, s. 272.

Autor, prawnik, sędzia, urodzony na Śląsku, ale mieszkający w Warszawie, przyzwyczaił nas do tego, że pisze książki historyczne, najczęściej związane ze swoim regionem albo zajmuje się publicystyką. A tu niespodzianka – *Ramiona wagi* są bowiem powieścią, opatrzoną w dodatku zastrzeżeniem, że podobieństwo osób czy zdarzeń do rzeczywistości jest zupełnie przypadkowe. Nie do końca jednak wierzę, że to tylko fikcja. Po pierwsze dlatego, że bohaterem jest sędzia. Po drugie – w sprawach, które do niego trafiają, pobrzmiewają echemo jakieś wątki nagłaśniane przez media i związane z naszym wymiarem sprawiedliwości. Powieść ma ciekawą strukturę. Najogólniej – jest typowy opis, równoległe – rejestracja myśli bohatera o sprawach zawodowych i prywatnych, wreszcie – dokumenty, które do sądu trafiają. Te trzy nurty narracji zaznaczone są różnym drukiem, co ułatwia lekturę. To, co bohater myśli o swoim zawodzie (więc i o swoim życiu) jest bardzo interesujące i dające materiał do własnych refleksji. Polecam, dobrze się czyta.

Sławomir Matusz: *Piosenka o okienkach. Podwórko Szpilmana*. Seria: Biblioteka Toposu, nr 100. Wyd. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2014, s. 72.

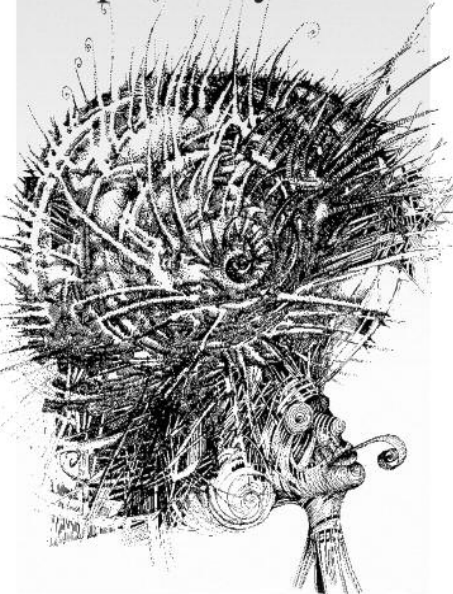
Ta piosenka nie jest bynajmniej o panience z okienka. Tytułowe okienka pochodzą z terminologii komputerowej, łączą się z monitorem, legalnym „Windowssem”, internetowymi kamerami. Jak na książeczkę poetycką to pomysł śmiały, ale Matusz w kolejnych *Piosenkach* dowodzi, że można z informatycznego słownictwa budować całkiem udane koncepty poetyckie. Np. „Funeralne okienko”: *co powinniśmy zrobić/ jeśli tata mama babcia/ dziadek siostrzyczka/ lub mały braciszek/ nie reagują już na nic?// zapalić im/ wirtualną świeczkę/ albo zrestartować komputer*. W tych wierszach jest niezgoda na zastany świat, jest bunt. Ale na miejscu autora dokonałbym jednak trochę ostrzejszej selekcji tekstów. W wielu z nich chodzi bowiem o to, żeby możliwie mocno i dobitnie jakieś „świętości szargać”. Proszę bardzo, nie mam nic przeciwko temu. Jednak – nie od dziś wiadomo, że zbyt potężna dawka takiego obrazoburczego krzyku, czy szyderstwa – zwyczajnie znieczula.

W zgodnej opinii środowisk językoznawczych w dotychczasowych opracowaniach poświęconych dialektowi śląskiemu opisano już najważniejsze zjawiska leksykalne i gramatyczne. Obecna wrywkowo w wielu słownikach, nie doczekała się natomiast odrębnego książkowego dokonania śląska frazeologia – jakże wyrazista, kryjąca w sobie co niemiara typowo gwarowych słów, odbijająca przy tym cały kulturowo-obyczajowy pejzaż naszego regionu. Z ogromnym dla tego zainteresowaniem zasiadłem do lektury „Słownika frazeologizmów i typowych połączeń wyrazowych w gwarach śląskich” autorstwa Lidii Przymuszały, który ukazał się w roku 2013 nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego. Już sama objętość tego dokonania – 503 strony – pokazuje jego kompendialną wartość. Jego zawartość zasługuje na równie wielki szacunek.

Odżyły więc – przechowywane jako wspomnienie tarnogórskiej młodości, od tamtych czasów nieuchronnie coraz rzadziej przeze mnie używane, zarejestrowane w słowniku wyrażenia i zwroty: *mieć ipi* – „być niespełna rozum” (najczęstsze w konstrukcji *ty mosz ipi* – z popularnym dopowiedzeniem *aż ci we łbie kipi*), wariantywnie wobec *mieć klupane//mieć świra*, *brać na klin* „brać na kolana”, *brać się do domu* „zbierać się do domu, do odejścia”, *być blank głupim* „nic nie rozumieć, nie wiedzieć, o co chodzi”, *być na klachach* „być na plotkach”, *dostać psińco*, *mieć psińco* „nic nie dostać”, „nic nie mieć”, *o mało wiela* „o mało co, omal, o trochę”, *smolić wszystko* „nie przejmować się niczym, lekceważyć, bagatelizować” (najczęstsze w konstrukcjach *jo to smola* i w rozkaznikowym *smól to!* – popularnym także w mojej wrocławskiej rodzinie), *wiela jest na zegarze?* „która godzina?”, znane mi od Ojca *żyć na krykę* „żyć bez ślubu kościelnego”, wariantywnie wobec *żyć na knebel//żyć na kryję czy za starej Polski* „przed wojną, pozytywnie o czasach przedwojennych, też: bardzo dawno”.

Szczególnym sentymentem darzę frazeologizmy z typowo śląskimi słowami – z reguły staropolonizmami: *ani się kupy nie dzierży* „o sposobie opowiadania: bez składu i ładu, bez sensu”, *ani się starka o tym nie dowiedzą* „coś będzie zachowane w dyskrecji”, *brusić chodniki* „niepotrzebnie chodzić, wałęsać się”, *brusić pyskiem po kimś* „obmawiać, szkalować kogoś”, *brusić sobie zęby na coś* „mieć na coś chętkę, cieszyć się na coś”, *brusić sobie zęby na kogoś//na kimś* „żywić do kogoś urazę, szykować się do rozprawienia się z kimś”, *być na wyćwice* „przebywać gdzieś, aby otrzymać surowe wychowanie”, *być w zoce* „być w poszanowaniu”, *była mu gańba* „było mu wstyd”, *chodzić na pąc//na pącie* „chodzić na pielgrzymkę”, *chodzić na skubaczki* „chodzić na wspólne darcie pierza”, *chodzić zadądrana jak stara zawitka* „o kobiecie brudnej, niechlujnej” (*zadądrana* „brud-

Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

Frazeologizmy gwar śląskich

na, niechlujna”, *zawitka* „panna z dzieckiem”), *co cię pizło?* „co ci przyszło do głowy?”, *dać pozór* „dać bacznie, przypilnować, doglądać”, *skocz mi do rzyci!* „mam cię gdzieś, nie będę się tobą przejmował”, *dostać od kopidola łopatą w zadek* „umrzeć”, *drzysnąć do kalendarza* „umrzeć”, *dzierżec mieszek w garści* „mieć ciągle wydatki”, *dzierżec się kupy* „trzymać się razem”, *dzierżec się cycka* „być niesamodzielnym, niedojrzałym, nadmiernie uzależnionym od matki”, *dzierżec się jak ożrały plotu* „trzymać się uparcie, kureczowo, z determinacją”, *fulać trzy po trzy* „opowiadać głupstwa, mówić bez sensu”, *łazić jak mucha z kiszki* „chodzić ociężale” (*kiszka* „kwaśne mleko”), *mieć moc//mocka czegoś* „mieć czegoś bardzo dużo”, *na stare roki* „na stare lata, na starość”, *nie porażać* – np. *porażać* „nie móc patrzeć”, *podle czegoś, kogoś* „według czegoś, kogoś” (por. tytuł moich wykładów na kasecie sprzed lat: *Śląsko godka podle Miodka*), *przyjść na krzywe pyski* „pokłócić się”, *ro-*

bić ostudę „przynosić wstyd”, *robić za blazna* „żartować, kpić z kogoś”.

W wielu połączeniach wyrazowych mamy słowa przyswojone z języka niemieckiego – często znane i w innych regionach: *być fertig z czymś* „coś skończyć”, *być fest, ale na pysku* „być silnym, ale tylko w gębie”, *być frech//frechownym* „być bezczelnym”, *być kaput* „o czymś, o kimś skończonym, zniszczonym, zepsutym, nienadającym się do użytku”, *jest komuś ganc jedno* „jest komuś wszystko jedno”, *chodzić na wander* „włóczyć się”, *ciśnie komuś na blazę* „ktoś odczuwa potrzebę oddania moczu, odczuwa nacisk na pęcherz”, *mieć oczy//oko z knefla* „być mało spostrzegawczym”, *narobić larma* „narobić hałasu”, *puklaty jak kamela* „garbaty jak wielbłąd”, *wygłądać jak haderlak/hadras* „wyglądać jak łachmaniarz”, *zrobić coś do waserwagi* „zrobić coś dokładnie, precyzyjnie”, *furt a furt* „ciągle, bez przerwy”, *za bajtla, za frelki* „w czasach dzieciństwa, młodości, gdy się było chłopcem, dziewczyną”.

W licznych frazeologizmach zachowały się archaizmy gramatyczne, np. pozostałości po rzeczownikowej odmianie przymiotników: nie tylko *po lekku* (wym. *poleku*), ale i *do biala* „do osiągnięcia bieli”, *po biału* „o sposobie ubierania się: na białe, w bieli”, *do goła* „zupełnie, całkowicie, do cna”, *po blisku* „niedaleko, w małej odległości, obok”, *po czarnu* „w kolorze czarnym, w czerni”, *po próżnu//po próżnicy* „daremnie”, *z darma* „daremnie” albo czasownikowe formy z pierwotnym bezdźwięcznym przedrostkiem, np. *iść księdza seblec* „spóźnić się na nabożeństwo”.

Charakterystyczną też grupę tworzą konstrukcje nawiązujące do protestantyzmu Śląska Cieszyńskiego, będącego – historycznie rzecz ujmując – reakcją na ultrakatolicyzm Habsburgów. Przywołajmy te z przymiotnikiem *twardy*: *twardy jak luter* (*spod Cieszyna*), *twardy jak luter w Wielki Piątek*, *twardy jak luter z Wyszni Brony* i *twardy jak luterska wiara koło Cieszyna* – wszystkie sprowadzając się do znaczenia „wierny, wytrzymały”.

Jak pewnie Państwo zauważyli, formy gwarowe pochodzące ze słownika Lidii Przymuszały przytoczyłem za autorką w postaci literackiej, np. *haderlak*, *ciśnie na blazę*, chociaż w swoim życiu słyszałem tylko brzmienia *haderlok*, *ciśnie na blaza*. Zapisy odpowiadające fonetyce języka ogólnego w wymiarze całego leksykonu były koniecznością. Niech się na mnie opolska językoznawczyni nie obrazi, jeśli na koniec zaprotestuję jednak przeciw „galatom”, „fararzowi” czy wyrażeniu „po ćmaku”, bo to tak, jakby – dajmy na to – mówić i pisać o „krupniakach” zamiast *krupniokach*!! Te ostatnie przecież wraz z *galotami* – z regionalnym kwalifikatorem śląskości – weszły do ogólnych słowników języka polskiego. Taki sam status brzmieniowy mają zarówno *farorz*, jak i *po ćmoku*.

Czy biblioteka jest dla pani miejscem atrakcyjnym? – zapytałam (bardziej pod wpływem chwili, niż w jakimś konkretnym celu) seniorkę, która chciała zobaczyć dawną salę porodową. Sala porodowa to obecnie czytelnia Gminnej Biblioteki Publicznej w Kozach. Indagowana przeze mnie pani była zachwycona miejscem. Choć nie odpowiedziała wprost na moje pytanie, to bez wahania stwierdziła, że mamy idealne warunki do pracy. I to jest prawda.

Od marca 2014 r. biblioteka, łącznie ze znajdującą się w jej strukturach Izbą Historyczną im. Adolfa Zuberera, zajmuje powierzchnię 451 m² w części wyremontowanego Pałacu Czeczów. Pałac, który powstał na przełomie XVII i XVIII wieku, kilkakrotnie zmieniał właścicieli, a swą nazwę przyjął od ostatniego rodu Czeczów de Lindenwald. Lata jego świetności skończyły się we wrześniu 1939 r. Po II wojnie światowej służył mieszkańcom, pełniąc różne funkcje. Była w nim szkoła rolnicza, ośrodek zdrowia z izbą porodową, apteka, świetlica środowiskowa, harcówka. Koncepcja odrestaurowania obiektu zrodziła się pod koniec ubiegłego wieku, gdy ostatni potomek rodu Czeczów przekazał go gminie, by stał się miejscem działalności kulturalnej. Dzięki środkom unijnym oraz gminnym powstała nowa przestrzeń kultury, która wzbogaca ofertę kulturalną, turystyczną Kóz i całego regionu. Oficjalne otwarcie Pałacu odbyło się 12 czerwca 2014 r. Już w ciągu trzech pierwszych miesięcy funkcjonowania biblioteki odnotowaliśmy prawie 1200 czytelników, którzy w tym czasie odwiedzili nas przeciętnie trzy razy, wypożyczając 7700 książek.

Powszechne zainteresowanie nowymi wnętrzami stało się doskonałą okazją do poszerzenia oferty bibliotecznej. Skoncentrowaliśmy się na wypracowaniu nowych cyklicznych zajęć, atrakcyjnych dla różnych grup wiekowych. Działalność pozaczytelniczą wiążemy z popularyzowaniem lokalnej historii, bowiem w naszych strukturach znajduje się Izba Historyczna im. Adolfa Zuberera. Realizujemy takie przedsięwzięcia, jak:

Oj, dzieje się w Pałacu – warsztaty skierowane do dzieci szkolnych. Ciekawostki historyczne łączymy z zabawami plastycznymi. Do tej pory odbyły się cztery spotkania: „Życie w dawnych Kozach”, „Strój ludowy dawnych mieszkańców”, „Od przydrożnej kapliczki po kościół”, „Od ziarna do chleba”.

Poznaj swoje korzenie – dzieci w różnym wieku uczestniczą w spotkaniach wzmacniających ich poczucie przynależności do miejsca zamieszkania swoich przodków. Służyły temu zajęcia „Koziańskie zwyczaje i obrzędy wiosenne”, „Koziańskie strój ludowy”.

Salon Przeszłości adresowany jest do młodzieży i dorosłych. Do tej pory odbyły się trzy spotkania zatytułowane: „Architektura Pałacu. Historia i współczesność”, „Wokół Hermana Czeczka – czasy świetności Pałacu”, „Kawalerowie przestworzy”.

Pałacowe Spotkania ze Sztuką – przed Świętami Wielkanocnymi zapre-

„Abecadło, czyli litery wielkie i małe”, palcem po mapie odbyły „Wyprawę na wyspę skarbów”.

Bajkowy świat i Maluch w bibliotece przyciąga najmłodszych co najmniej raz w tygodniu. Czytanie bajek połączone jest z zabawami plastycznymi i ruchowymi.

Majowy **Dzień Matki** obchodziliśmy sześciokrotnie z przedszkolakami i pierwszakiem. Z każdego spotkania dzieci zabierały wykonane przez siebie prace (m.in.: laurki, flakoniki, majowe łąki, portrety mam).

Lamiemy bariery – czyli indywidualne kursy komputerowe dla seniorów. W ciągu dwóch miesięcy zgłosiło się 27 chętnych, którzy łącznie 100 godzin spędzili w bibliotece, ucząc się podstaw obsługi komputera. Kilku kursantów kupiło już własny laptop.

III Kojzka Nocy Muzeów, podczas której Izbę Historyczną odwiedziła ponad setka zwiedzających, zainteresowanych lokalną historią i kulturą oraz nowymi wnętrzami tego małego koziańskiego czy też „kojzkiego” muzeum (jak od trzech lat

w tej archaicznej formie głosi tytuł lokalnej nocy muzeów). Wiele osób odnalazło swoich przodków w starych dokumentach oraz na archiwalnych fotografiach. W ten wieczór snuto ciekawe historie rodzinne i wspomnienia z dzieciństwa.

Przeprowadziliśmy konkursy dla dzieci: „Dobry Duch Pałacu Czeczów”, „Lokomotywa pełna kolorów”, „Odjechany komiks”, a dla dorosłych „W hamaku z książką”. Ogłosiliśmy konkurs na Czytelnika Roku 2014.

Drugi tydzień lipca upłynął nam pod hasłem: „**Same atrakcje w letnie wakacje**”. Przygotowaliśmy dla dzieci gry rekreacyjno-sportowe, zajęcia plastyczne, pokaz mody z sesją fotograficzną, atrakcje w Izbie Historycznej, eksperymenty z cyklu „Fizyka na wesoło”. Z kolei nasza jedyna filia słynie z atrakcyjnych, cotygodniowych zajęć plastycznych, których efektem są małe dzieła sztuki wykonane przez najmłodszych czytelników. Wspólne ogniska, noce pod namiotami i zabawy w przylegającym ogródku są ulubioną rozrywką młodych kozian.

Od maja br. jesteśmy wydawcą miesięcznika samorządowego „Koziańskie Wiadomości”, w którym w obszerniejszy sposób reklamujemy naszą aktywność. Mamy też na swym koncie pierwsze wydawnictwo, folder *Pałac Czeczów – Kultura – Turystyka – Ludzie*, który opracowaliśmy na zlecenie Urzędu Gminy. Przygotowujemy się do wydania przewodnika po Izbie Historycznej.

Zmieniliśmy stronę internetową www.gbkozy.pl, wydłużyliśmy godziny otwarcia biblioteki.

Przed nami kolejne wyzwania, bowiem zainteresowanie biblioteką jest ogromne. W krótkim okresie funkcjonowania w nowych warunkach przekonał się, że jesteśmy potrzebni i coraz bardziej doceniani. Ale też odczuwamy ciężar odpowiedzialności za systematyczne zapewnianie tej nowej przestrzeni kultury, której jesteśmy ważnym podmiotem.

Fot. z archiwum GBP w Kozach



W strukturach biblioteki działa Izba Historyczna

Gminna Biblioteka Publiczna w Kozach

Nowa przestrzeń kultury

zentowaliśmy „Motywy pasyjne w malarstwie El Greco”, w maju „Rzeźbę polską XX wieku”, we wrześniu „Moralizatorsko-sielankową wizję wsi w obrazie „Żniwa” P. Bruegela zw. Chłopskim”. Ten cykl zyskał uznanie wśród młodzieży, która szuka nowych możliwości rozwijania swoich plastycznych zamiłowań.

Książkowe tajemnice przeznaczone są dla dzieci wczesnoszkolnych. U nas dowiedziały się już „Na czym polega druk”, tworzyły własny styl pisania na spotkaniu



„Od kapliczki po kościół” – spotkanie z cyklu „Oj, dzieje się w Pałacu”

KRYSTYNA KUSAK
dyrektor Gminnej Biblioteki Publicznej
w Kozach

Z okazji 149. urodzin Katowic

Tradycją już stało się, że kolejne „urodziny” miasta są okazją do uhonorowania zasłużonych dla kultury Katowic Nagrodą Prezydenta Miasta Katowice. W tym roku otrzymali je:

- **Marcin Herich** – reżyser i aktor teatralny, inicjator i organizator Międzynarodowego Festiwalu A PART, prowadzący od 10 lat Teatr A PART.

- **Tomasz Konior** – wybitny architekt, twórca nowej siedziby NOSPR, sali koncertowej „Symfonia” i nowej części Akademii Muzycznej w Katowicach oraz wielu innych projektów.

- **Zespół Akordeonistów Katowice – Kleofas** mający na swym koncie wybitne osiągnięcia artystyczne, kultywujący śląskie tradycje muzyczne.

- **Orkiestra Dęta KATOWICE – KLEOFAS** w 80-lecie istnienia Orkiestry.

Innym wydarzeniem było odsłonięcie kolejnych rzeźb znakomitości artystycznych Katowic w Galerii Artystycznej przy placu Grunwaldzkim. Swoje rzeźbiarskie wizerunki otrzymali światowej sławy kompozytor, wybitny twórca muzyki symfonicznej i filmowej Wojciech Kilar i artysta malarz, grafik i krytyk sztuki Andrzej Urbanowicz. W uroczystości uczestniczyli – prócz przedstawicieli władz miasta – bliscy krewni i przyjaciele obydwu znakomitych artystów.

Galeria powstała w 2004 roku. Swoje miejsce mają tu m.in. kompozytor Henryk Mikołaj Górecki, aktor Zbigniew Cybulski, pisarz Alfred Szklarski, artysta malarz Jerzy Duda Grac, aktorka Aleksandra Śląska, grafik Paweł Steller.

(wk)



Laureaci Nagrody Prezydenta Katowic

Fot: Zbigniew Sawicz



Wojciech Kilar ma swoje miejsce wśród największych

Fot: Arkadiusz Ławrywianiec



Andrzej Urbanowicz wrócił do Katowic

Fot: Arkadiusz Ławrywianiec



Opolskie Szmaragdy 2014

Na scenach w Filharmonii Opolskiej i na Placu Wolności, pod patronatem Marszałka Województwa Opolskiego Andrzeja Buły, odbył się II Wojewódzki Przegląd Twórczości Artystycznej Opolskie Szmaragdy, podczas którego wystąpiły 54 zespoły, a także 30 twórców regionalnych reprezentujących poszczególne gminy regionu.

Każdy z uczestników otrzymał oryginalną statuetkę „Opolskich Szmaragdów” wręczoną przez Marszałka Województwa Opolskiego Andrzeja Bułę i Barbarę Kamińską Członka Zarządu Województwa Opolskiego – pomysłodawczynię idei Przeglądu. Życiem tętniło miasteczko kultury, gdzie regionalni twórcy prezentowali swoje dzieła artystyczne. W ciągu dwóch dni uczestnicy mogli zobaczyć ręcznie haftowane prace, kroszonki, malowaną porcelanę oraz obrazy wykonywane techniką intarsji. Dużym zainteresowaniem cieszyły się pokazy kowalstwa i garncarstwa, a także warsztaty ręcznie malowanej porcelany.

Sukces tegorocznej edycji przeglądu potwierdza szeroką potrzebę stykania się z kulturą oraz zainteresowanie twórczością artystów regionalnych. Wydarzenie przyciągnęło przedstawicieli różnych grup wiekowych, co świadczy o uniwersalności programu artystycznego realizowanego podczas tegorocznej edycji Opolskich Szmaragdów. Artyści i twórcy udowodnili, że nasz region niczym szmaragd tym cenniejszy jest, im więcej w nim szlachetnych domieszek.

Opolskie Szmaragdy, zorganizowane przez Departament Kultury, Sportu i Turystyki Urzędu Marszałkowskiego Województwa Opolskiego, współfinansowano ze środków Unii Europejskiej w ramach Schematu III Pomocy Technicznej Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007-2013 oraz z budżetu Województwa Opolskiego.



Zespół Rytmix z Niemodlina



W miasteczku kultury odbywały się warsztaty malowania porcelany



Teatr „Faska” z gminy Jemielnica



Grupa „Inwencja” z Brzegu



Widowisko muzyczno-teatralne „POP-rostu FILM” w wykonaniu grup artystycznych z Kędzierzyna-Koźła



Publiczność zgromadzona przed sceną na Placu Wolności



Pani Marszałek Barbara Kamińska wręcza statuetkę „Opolskie Szmaragdy”

Szmaragdowe talenty

Po likwidacji Wojewódzkiego Domu Kultury (początek lat 90.) na Opolszczyźnie brakowało placówki, która podjęłaby się organizacji regionalnego przeglądu twórczości amatorskiego ruchu artystycznego. Nie były w stanie zorganizować takiego przedsięwzięcia lokalne instytucje kultury ani organizacje społeczno-kulturalne, nie dysponujące odpowiednim potencjałem kadrowym i finansowym. Podczas kolejnych edycji Nagrody Marszałka Województwa Opolskiego (w tym roku piętnasta) wielu laureatów – animatorów i twórców kultury, działających w środowiskach lokalnych – wskazywało na fakt, że istnieje potrzeba zorganizowania wojewódzkiego forum prezentacji amatorskiego ruchu artystycznego. Roli organizatora podjął się zatem Urząd Marszałkowski Województwa Opolskiego. Dla podkreślenia rangi przedsięwzięcia – przegląduowi nadano nazwę „Opolskie Szmaragdy”, nawiązując do wielokulturowego bogactwa regionu i różnorodności form artystycznej aktywności, wielopokoleniowego kręgu zespołów i twórców – tworzących pejzaż kulturowy Śląska Opolskiego. W ubiegłym roku pierwsza edycja imprezy zaskoczyła organizatorów wysokim poziomem artystycznym i sporym zainteresowaniem ze strony twórców i zespołów. Na scenie Filharmonii Opolskiej wystąpiły wówczas 44 zespoły (m. in. teatry, kabarety, chóry, zespoły wokalne-instrumentalne, soliści), a blisko 30 twórców ze wszystkich gmin województwa wystawiło rękodzieła i prace plastyczne. Uczestnicy przeglądu zostali uhonorowani oryginalnymi statuetkami „Opolskich Szmaragdów”. Zaneta Plońnik, piosenkarka i opiekun artystyczny Klubu Wokalisty z Domu Kultury w Krapkowicach mówiła wówczas z radością – ta piękna statuetka zajmie honorowe miejsce w naszej pracowni w macierzystym domu kultury. Organizatorzy zapewnili artystom promocję w prasie, radiu i telewizji, szerokiej publiczności ukazano dorobek zespołów i twórców indywidualnych, którzy stali się nie tylko perełkami lokalnej kultury, ale również wizytówkami województwa. Najlepsi spośród ich grona zostali zaproszeni do reprezentowania samorządu województwa opolskiego podczas imprez ogólnopolskich i międzynarodowych. W Alba Regii (Szekesfehervar) – stolicy partnerskiego regionu Opolszczyzny na Węgrzech – podczas koncertu z okazji obchodów Dnia Przyjaźni Polsko-Węgierskiej znakomicie zaprezentowali się uczestnicy pierwszej edycji „Opolskich Szmaragdów”. Zespół „Inwencja” z Klubu Garnizonowego w Brzegu, pod kierunkiem Janiny Koronkiewicz, wspomniany Klub Wokalisty z Krapkowic oraz rewelacyjny zespół szantmenów „Shantażyści” z Lewina Brzeskiego, zachwycili węgierską publiczność. Podczas tegorocznej, drugiej edycji „Opolskich Szmaragdów” na scenie Filharmonii Opolskiej i na plenerowej estradzie wystąpiła rekordowa liczba 54 zespołów (ponad 800 uczestników) reprezentujących tradycje kresowe, śląskie, romskie oraz mniejszość niemiecką. W miasteczku kultury w drewnianych domkach liczne grono twórców ludowych wystawiło swoje oryginalne prace (m. in. kroszonkarskie, hafciarskie, garncarskie, malowaną porcelanę, kowalstwo artystyczne). Opolska publiczność długo oklaskiwała występy artystów, które zabawnie i sprawnie zapowiadali – Julian Mere i Karol Straszburger. Obaj goście z Warszawy byli zaskoczeni i zachwyceni poziomem artystycznym i różnorodnością wykonawców przeglądu. Prezentacje estradowe m. in. Teatru „Faska” Karoliny Buhl, „Inwencji” czy też młodzieży z Kędzierzyna-Koźla z programem musicalowym oraz wielu innych zespołów zapewne na długo pozostaną w pamięci publiczności „Opolskich Szmaragdów”, największego przeglądu amatorskiego ruchu artystycznego województwa opolskiego, który zasługuje na uznanie i kontynuację podczas następnych edycji.

JANUSZ WÓJCIK

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Jubileusz Harry'ego Dudy

Spotkanie z okazji jubileuszu 50-lecia pracy twórczej Harry'ego Dudy – poety, publicysty i społecznika (autora i współautora 41 pozycji, w tym 18 zbiorów poezji) – odbyło się w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej im. Emanuela Smółki w Opolu. Harry Duda to zasłużona postać dla opolskiego środowiska literackiego, b. wieloletni prezes Oddziału ZLP w Opolu, inicjator kilkudziesięciu plenerów poetyckich, kronikarz opolskiego życia literackiego, wydawca i redaktor ponad sześćdziesięciu książek opolskich autorów w założonej i kierowanej przez siebie Oficynie Literackiej „Wers”. Ważne miejsce w jego twórczości zajmuje tematyka biblijna i ewangeliczna. Napisał m. in. trzynastozgłoskowcem (prawie 10 tys. linijek) dzieło pt. „Jezus Chrystus. Poetycka wizja czterech Ewangelii” z dedykacją Janowi Pawłowi II na dwutyściecie chrześcijaństwa (wręczone Papięzowi w Rzymie w grudniu 1999 r.; II wydanie ukazało się w 2013 r. ze stosownym zezwoleniem władzy kościelnej), za którą otrzymał Nagrodę im. Marka Jodłowskiego. Dokonał ponadto ujęć poetyckich wszystkich ksiąg dydaktycznych Starego Testamentu (drukem ukazały się m. in. Psalmi, Księga Hioba i „Pieśń nad Pieśniami”) oraz ksiąg „Genesis” i „Exodus”. Zajmował się również problematyką ekologiczną i medyczną oraz tematyką katyńską. Podczas spotkania zgromadzeni mogli usłyszeć jego wiersze (czytane głównie przez jubilata), nawiązujące do różnych okresów życia poety. Nie zabrakło też okolicznościowego tortu i lampki wina. Jubileuszowi 50-lecia pracy twórczej Harry'ego Dudy towarzyszyła wystawa w galerii biblioteki.

Jednym zdaniem

■ Narodowe Czytanie Trylogii Henryka Sienkiewicza z udziałem aktorów Teatru im. Jana Kochanowskiego, dyrektorów instytucji kultury, nauczycieli i dziennikarzy, przedstawicieli władz samorządowych regionu i miasta, zorganizowano na Placu Wolności w Opolu; wydarzeniu towarzyszył zespół kameralny FO „Opole Quartet”, wystawa „Sienkiewicz znany i nieznan” oraz warsztaty plastyczne „Henryk Sienkiewicz inspiracją dla młodych artystów”.

■ Wystawę Domu Spotkań z Historią w Warszawie pt. „W obiektywie wroga. Niemieccy fotoreporterzy w okupowanej Warszawie 1939–prezentując 250 unikatowych fotografii wykonanych przez kompanie propagandowe Wehrmachtu i Waffen-SS otwarte w opolskiej siedzibie Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach i Opolu.

■ Podczas VI Dąbrowskich Spotkań z Poezją Śpiewaną „Zameczysko” na scenie przy zamku w Dąbrowie wystąpili: Kuba Sienkiewicz, Jacek Wąsowski, Tadeusz i Piotr Woźniakowie, Andrzej Korycki oraz zespoły „Albo i Nie”, „Bohema”, „Cisza jak ta”, „Małżeństwo z rozsądku”.

Nowa wystawa etnograficzna

Stałą wystawę etnograficzną: „Etnografia Opolszczyzny – tradycja i zmiana” uroczyście otwarto w Muzeum Śląska Opolskiego. Pokazano na niej przemiany na opolskiej wsi zachodzące od XIX do połowy XX w. Sceny plebejskie, wydarzenia rodzinne i traumatyczne przeżycia czasu wojny i powojenne przedstawiono za pomocą fotografii, eksponatów, prezentacji multimedialnych, wzbogaconych o mapę przesiedleń, na której można zobaczyć miejsca pochodzenia i osiedlania się dawnych i nowych mieszkańców Śląska Opolskiego, z uwzględnieniem „wędrówki ludów” Kresowian z przedwojennych województw: lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego. Fragmenty Polskiej Kroniki Filmowej sprzed lat z obrazkami z Opolszczyzny i zapisy fonograficzne wzbogacają walory wystawy. Prace nad gromadzeniem zbiorów i przygotowaniem wystawy „Etnografia Opolszczyzny” trwały kilka lat. Imponujący efekt końcowy jest owocem współpracy trójki autorów – kustosz Elżbiety Dworzak (zmarłej w ubiegłym roku), która zajmowała się stroną historyczną oraz etnografów: Małgorzaty Goc i Piotra Grzelaka.

II Święto Płonów i Targi Miodów

Sezon imprez plenerowych w Muzeum Wsi Opolskiej zwińczyło II Święto Płonów połączone z Targami Miodów. Bogaty program imprezy zainaugurowało nabożeństwo z poświęceniem płonów w zabytkowym kościółku drewnianym z Gręboszowa, następnie przez skansen zespołów folklorystycznych i pracowników muzeum. Impreza zakończyła się wręczeniem nagród laureatom III Wojewódzkiego Konkursu Malowania Porcelany. W budynku administracyjnym otwarto wystawę fotograficzną z Rymarzowa pt. „Zatrzymane czas”. Dla publiczności przygotowano bogatą prezentację tradycyjnego rzemiosła i rękodzieła artystycznego, pokazy kulinarne w zabytkowych kuchniach oraz gry i zabawy dla najmłodszych.

■ V Dzień Kultury Kresowej w Bogdanowicach (gmina Głubczyce) zainaugurowała msza św. w intencji Kresowian w sanktuarium Matki Bożej Bolesnej z Monasterzynek, następnie prelekcje kresowe wygłosili prof. Stanisław Nicjcia i prof. Maria Kalczyńska.

■ VI Ogólnopolski Plener Malarski „Kluczbork organizowany przez Stowarzyszenie Miłośników Kultury i Sztuki „Irys” odbywający się pod Honorowym Patronatem Marszałka Województwa Opolskiego zgromadził artystów plastyków z różnych miast w kraju i zagranicy, którzy na płótnie uwieczniali malownicze zakątki Kluczborka i prezentowali je na wystawie poplenerowej.

■ Polskie pieśni ze śpiewników ruskich z końca XVII i pocz. XVIII w. zaprezentował zespół „Camerata Cracovia” podczas koncertu pt. „Kantaty polskie i ruskie”, który odbył się w Muzeum Piastów Śląskich w Brzegu.

■ Wernisaż dzieł polskich artystów plastyków, którzy tworzą poza granicami kraju odbył się w ramach 4. odsłony Biennale Ars Polonia w Galerii Sztuki Współczesnej w Opolu; gościem specjalnym wernisażu była Elżbieta Dzikowska (wyróżniona tytułem Honorowego Obywatela Miasta Opola).

Wielkie wystawy w małej galerii

To, co dzieje się w niewielkich spółdzielczych domach kultury, zwykle nie przebiega się do prasy, o tym się nie dyskutuje. Istotny jest wyłącznie fakt, że istnieją, że się ich nie likwiduje. Standardowa działalność – zajęcia dla dzieci, seniorów, kółka zainteresowań, czasem nauka języków obcych i okolicznościowe imprezy z okazji Dnia Dziecka czy popularne Mikołajki, to w zasadzie wszystkie propozycje programowe. I właściwie po to istnieją.

Na mapie tych spółdzielczych domów kultury z pewnością przez ćwierć wieku wyróżniał się Spółdzielczy Dom Kultury „Odeon” w Czeladzi, obchodzący właśnie 30-lecie istnienia. Prowadzi go Czeladzka Spółdzielnia Mieszaniowa.

Jakim cudem udało się w nim stworzyć bez mała profesjonalną galerię sztuki? Bo kto tam nie wystawiał, aż trudno uwierzyć: najznamienitsi artyści plastycy z województwa śląskiego, a także artyści dopiero wchodzący w życie artystyczne, którzy dziś są już profesorami Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Środowisko plastyczne Czeladzi okazało się na tyle przężne i na tyle dobrze zorganizowane, że przygotowywali cykliczne wystawy prac autorów związanych z tym miastem. Wystarczy wymienić Andrzeja Czarnotę, Ewę Czarnotę, Zbigniewa Blukacza, Irenusza Walczaka, Piotra Kossackowskiego, Zygmunta Brachmańskiego, Remigiusza Dulkę, Annę Palys-Zatorską, Mariusza Wnukowskiego. Pomiędzy nimi, ci znani bardziej w środowisku lokalnym, jak Aleksandra Kamińska, Teresa Strojniak, Jan Powalka i jego synowie Michał i Krzysztof, Alicja Studziak, Witold Głuźniewicz.

We wrześniu odbyła się z okazji jubileuszu tej placówki wystawa zatytułowana „Na przełomie”. Pomysł kuratora – Alicji Studziak był prosty, ale okazał się fantastyczny: wystarczyło, że każdy, kto tu wystawiał w minionym 30-leciu zaproponował jedną ze swoich prac. Okazało się, że zaproszono 54 artystów! – malarzy, grafików, rzeźbiarzy, fotografów i tyle prac stanowiło wystawę! Nie odmówił nikt. Spotkanie po latach było wrzuszające!

Jak to wszystko było możliwe? Oczywiście wszystko zależy zawsze od tych, którzy mają pomysły, kochają sztukę i artystów. Czeladź miała szczęście, że przez ponad 20 lat kierownikiem „Odeonu” była Danuta Kmiecik. Zawsze dyskretnie pomagająca, ale mająca niezwykłą zdolność zjednywania ludzi. Doprowadziła do tego, że w mieście, które przez te wszystkie lata nie miało (za wyjątkiem istnienia przez siedem lat galerii „Elektrownia”) i nadal nie ma profesjonalnej galerii sztuki, w tym niewielkim „Odeonie”, przystosowanym na miarę możliwości do ekspozycji prac najlepszych artystów, mogły zaistnieć wystawy, które wielu artystów po dziś dzień ma swoimi artystycznym dossier. Szkoda, że i tej galerii już też nie ma, bo jubileusz czasem pokazują, że bywa, iż zdarzają się ludzie niezastąpieni – jak Danuta Kmiecik w czeladzkim „Odeonie”.

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Prof. Wiesław Banys Honorowym Ambasadorem Kongresów Polskich 2014

25 września 2014 r. w Kielcach odbyła się uroczysta gala Ambasadorów Kongresów Polskich. Podczas wydarzenia tytuł Honorowego Ambasadora Kongresów Polskich 2014 przyznany został JM Rektorowi Uniwersytetu Śląskiego, przewodniczącemu Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich prof. zw. dr. hab. Wiesławowi Banysiowi. W imieniu prof. Wiesława Banysia tytuł odebrał prof. dr hab. Dariusz Rott, który również znajduje się w gronie osób uhonorowanych tym tytułem.



Tytuł przyznawany jest osobom organizującym w Polsce spotkania i wydarzenia z dziedziny biznesu, nauki, kultury i sportu, promującym w swych międzynarodowych środowiskach wiedzę o atutach naszego kraju, przyczyniając się do decyzji o wyborze Polski na miejsce następnego międzynarodowego wydarzenia.

Program Ambasadorów Kongresów Polskich jest realizowany przez Polską Organizację Turystyczną oraz organizację pozarządową – Stowarzyszenie Konferencji i Kongresy w Polsce. Adresowany jest do najbardziej wybitnych osobistości świata nauki i stowarzyszeń profesjonalnych.

Dom Śląski otwarty

Wystawą poświęconą pamięci Henryka Ślawki zainaugurował swoją działalność Dom Śląski w Katowicach – nowa inicjatywa Związku Górnośląskiego.

Mieści się w siedzibie organizacji w Katowicach przy ul. Stalmacha 17. Jego pomysłodawczynią i inicjatorką jest dr Lucja Stanicz-

kowa – wiceprezes Związku Górnośląskiego, regionalistka i ekspert edukacji regionalnej. „Dom to nie są same mury. Dom to jest pewna przestrzeń, w której ludzie dobrze się czują, coś razem budują i tworzą. Życzę Związkowi Górnośląskiemu, żeby taki dom stworzył, żeby zbudował taką właśnie przestrzeń. By ten dom był dla wszystkich, nie dzielił, lecz łączył w oparciu o tradycję i wartości” – powiedział ks. abp Wiktor Skworec, metropolita katowicki.

Dom Śląski będzie też miejscem spotkań, dyskusji, wystaw i kameralnych koncertów. Pierwszym przedsięwzięciem Domu Śląskiego jest przygotowana we współpracy z Regionalnym Ośrodkiem Kultury wystawa poświęcona bohaterowi trzech narodów pt. „Henryk Ślawik – bohater na każdy czas”. Wernisaż odbył się w dniu otwarcia Domu Śląskiego.

Uczestniczyli w niej marszałek Mirosław Sekuła oraz przewodniczący Sejmiku Andrzej Gościński.

Wystawę będzie można zwiedzać do końca roku. „Pamięć o Henryku Ślawiku została wymazana, raz gdy został zamordowany w Mauthausen, a potem gdy został zapomniany po wojnie. Teraz Ślawik wrócił na swój ukochany Śląsk. Ważnym zadaniem jest, aby o nim dowiedziała się Polska, Europa, aby dowiedział się świat – to jest tego formatu człowiek. Największy polski sprawiedliwy” – dodał Grzegorz Lubczyk, były ambasador RP na Węgrzech.

Przedpremierowy pokaz filmu poświęconego Henrykowi Ślawikowi i Jozsefowi Antallowi odbył się w Bibliotece Śląskiej. W tytułowe



Dom Śląski przy ulicy Stalmacha.

Fot. Z. Sawicz



W uroczystości otwarcia wziął udział metropolita katowicki abp Wiktor Skworec.

Fot. Z. Sawicz

Jednym zdaniem

■ Uroczystości upamiętniające 75. rocznicę spalania Wielkiej Synagogi Katowickiej odbyły się 19 września br. z udziałem Zespołu Śpiewaków Miasta Katowice „Camerata Silesia” pod dyrekcją Anny Szostak, którzy wykonali m.in. utwory Krzysztofa Pendereckiego „Prosimy Cię” i „Psalm 134”.

■ Jan Żądło (baryton) i Ewa Danilewska (fortepian) byli solistami koncertu zorganizowanego przez Instytucję Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia” w Muzeum Archidiecezjalnym podczas którego wykonali utwory Chopina, Mozarta, Moniuszki, Debussy’ego i Szymanowskiego.

■ 149. Urodzinom Miasta Katowice towarzyszyły koncerty „Młodzi twórcy kultury” z udziałem Agnieszki Porzuczek (fortepian), Agnieszki Sawickiej (skrzypce), Anny Cierpisz (wiolonczela), Katarzyny Poździł (sopran), Pawła Janoty (baryton) i Bogusławy Ciepierskiej (fortepian), które odbyły się w MDK „Koszutka”, MDK „Południe” w Piotrowicach i MDK „Południe” w Podlesiu.

■ Z kolei w Sali „Parnassos” Biblioteki Śląskiej koncertowali Swietłana Kaliniczko (sopran), Adam Sobierajski (tenor), Stanisław Kuflik (baryton) i Halina Mansarlińska (fortepian), którzy zaprezentowali koncert z cyklu „Skizce do opery” – Giuseppe Verdi – „Traviata”.

■ Scena teatralna Pałacu Młodzieży zainaugurowała swą działalność przedstawieniem „Bu-

rza” Szekspira, w adaptacji i reżyserii Henryka Adamka, a która została pokazana w ramach cyklu teatru dla dzieci „Baśnie Pana Szekspira” przygotowanego przez Stowarzyszenie Teatralne Tępis.

■ Promocja książki „Moje Katowice” Lecha Szarańca będącej zbiorem felietonów mówiących o historii miasta, jego świeckiej i sakralnej architekturze, instytucjach kultury i nauki, zakładach przemysłowych i wybitnych osobowościach, odbyła się w Bibliotece Śląskiej.

■ Muzeum Miejskie w Siemianowicach Śląskich gościło podczas wieczoru autorskiego dr. Eugeniusza Deptę – lekarza i poetę.

■ W swojej siedzibie w Koszęcinie Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” zainaugurował 12 września nowy sezon artystyczny 2014/2015, a podczas koncertu „A to Polska właśnie” została wręczona Beacie Kosok nagroda „Mecenas Silesiae”.

■ W Galerii Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach do końca października można oglądać wystawę Jeanine Cohen i Javier’a Fernandez’a.

■ „Noce aktywności” to projekt serii performance’ów rozpisany na pięć miesięcy, którego organizatorem jest katowickie BWA, a artyści biorący w nim udział to Filip Berendt, Bowik, Bartek Buczek, Mateusz Choróbski, Magda Farczak, Michał Gayer, Mateusz Hajman, Ola Kozielec, Adam Łaska, Iza Łeska, Małgorzata Markiewicz, Anna Orłowska, Sławek Pawszak, Łukasz Ro-

postaci wcielił się Krzysztof Globisz i Piotr Fronczewski. Autorem scenariusza jest Grzegorz Łubczyk.

Jubileusz Piotra Szalszy

Z okazji 70. rocznicy urodzin i 50 lat pracy artystycznej, w Katowicach, w dniu 4 listopada 2014 podczas wieczoru jubileuszowego, na gościnnej scenie Teatru Korez w Katowicach, odbędzie się polska prapremiera monodramu Thomasa Bernharda pt. „Po prostu skomplikowane” (Producent SU Production – Katowice) w reżyserii Piotra Szalszy, z udziałem znanego aktora katowickiego p. Antoniego Gryzika, w scenografii Małgorzaty Suwalskiej. Tłumaczenie – Marek Szalsza.

Z kolei 11 listopada na wiedeńskiej scenie „Theater Brett” odbędzie się druga część jubileuszu z okazji 30-lecia pracy artystycznej Piotra Szalszy w Austrii – na inaugurację 10. Międzynarodowego Fetiwalu Teatrów Małych Form Europy Środkowej. W ramach tego wieczoru przedstawiona zostanie katowicka realizacja monodramu „Po prostu skomplikowane” w wersji polskiej z napisami niemieckimi.

Wydarzenie to współrealizuje Wiedeńsko-Krakowskie Stowarzyszenie-Kulturalne (Prezes – Zofia Beklen) przy współpracy z Wydziałem Kultury miasta Katowice, miasta Wiednia oraz Instytutu Polskiego w Wiedniu.

„Po prostu skomplikowane” to rodzaj wewnętrznej spowiedzi artysty z wielkim doświadczeniem życiowym – mówi Piotr Szalsza. Mężczyzna, który właśnie uzyskał głęboki wgląd we własną przeszłość. To bardzo osobista konfrontacja. Walka ze starzeniem się i z samotnością. Szukanie odpowiednich odpowiedzi na pytanie o sens życia, zbliżającego się pomału do końca.

Janosch znów w Zabrze

15 września 2014 r. w Teatrze Nowym w Zabrzu odbyła się uroczysta premiera powieści Janoscha *Szczęśliwy, kto poznał Hrdlaka*. Spotkanie zorganizowali prezydent Zabrze Małgorzata Mańka-Szulik i redaktor naczelny Wydawnictwa Znak Jerzy Illg.

Organizatorzy rozpoczęli od prezentacji fragmentu reportażu *Janosch w Polsce*, zrealizowanego przez TVP Katowice przed 21 laty. Następnie dyskusję na temat życia, twórczości oraz najnowszej publikacji Janoscha poprowadziła Aleksandra Klich, dziennikarka „Gazety Wyborczej”, autorka książki *Cały ten Kutz. Biografia niepokorna*. W dyskusji udział wzięli: prof. zw. dr hab. Aleksander Nawarecki – historyk i teoretyk literatury, profesor Uniwersy-

tetu Śląskiego, autor zbioru esejów, wspomnień, narracji o Śląsku pt. *Lajerman*; dr Angela Bajorek – biografka Janoscha oraz Dariusz Walerjański – historyk, badacz historii Żydów na Górnym Śląsku i obrońca zabrzańskich zabytków.

Osoba i twórczość Janoscha stały się przyczynkiem do poruszenia wielu rozmaitych wątków. Walerjański wymienił miejsca z czasów dzieciństwa pisarza, które pozostały jeszcze w Zabrze, m.in. drewniany kościół św. Jądwi (tu był ochrzczony), kamienice przy obecnej ul. Piekarskiej oraz ul. 3 Maja, w których mieszkał, czy żydowski cmentarz, na którym przyszły prozaik lubił spacerować. Dr Bajorek dotknęła wielu traumatycznych doświadczeń z dzieciństwa Janoscha, opowiedziała o swojej współpracy z nim, wspominała tak-



że o jego awersji do prawdziwego imienia Horst, które nadano mu na cześć nazisty Horsta Wessela. Prof. Nawarecki określił najnowszą książkę opublikowaną przez Znak jako „powieść ściśniętego gardła”, która oczyszcza czytelnika, ale w pewnym sensie niezupełnie. Dostrzegł również w nadawaniu dziwnych imion bohaterom – Cholonek i Hrdlak – głębszy zamysł autora. Pierwsze ciągnie nas w dół, kojarzy się z czymś prymitywnym, prostym, związanym z ziemią – i taka była postać o tym imieniu, zresztą ku ziemi ciążył także podtytuł powieści *Cholonek, czyli dobry Pan Bóg z gliny*. W imieniu Hrdlak prof. Nawarecki dostrzegł coś z hebrajskiego *ruah*, biblijnego tchnienia, które unosi nas w górę.

Rozmowa z publicznością pozwoliła poruszyć kolejne ważne i trudne tematy dotyczące Śląska, m.in. problem stygmatyzacji osób posługujących się gwara w peerełowskich szkołach w regionie, a także kwestię, czy opisy i oceny Janoscha nie są dla Ślązaków niesprawiedliwe, czy na pewno przedstawia on Ślązaków, a może bardziej lokalnych charakterów. Ostatecznie stwierdzono, że jeżeli utrwalili w swej prozie tych ostatnich, jeżeli pokazał śląską patologię, to miał do tego prawo, bo taką rzeczywistość poznał w dzieciństwie.

Pod patronatem „Śląska”

Tyszanie w I połowie XX wieku

„Ludzie, miejsca, zdarzenia. Tyszanie w I połowie XX wieku” to tytuł nowej wystawy, którą od 31 października można będzie oglądać w Muzeum Miejskim w Tychach. Prezentowana będzie w sali ekspozycyjnej przy ulicy Katowickiej 9.

Autorką scenariusza wystawy jest Agnieszka Ociepa-Weiss, kustosz w Dziale Historii Miasta.

Wystawą tą muzeum chce ocalić od zapomnienia sylwetki zasłużonych ludzi oraz obudzić wśród zwiedzających potrzebę pielęgnowania wspomnień o tych, którzy przez swą pracę, działalność społeczno-kulturalną na trwałe zapisałi się w pamięci ich współczesnych.

Ekspozycja przypomni postaci Jana Wiczorka, naczelnika Tychów w okresie międzywojennym, czy księdza Jana Kapicy, proboszcza parafii pw. Św. Marii Magdaleny. Pokaże historię rodzin mieszkających od pokoleń w Tychach i w sąsiednich gminach, które obecnie są dzielnicami miasta Tychy. Zwiedzający wystawę zobaczą między innymi zdjęcia i dokumenty rodziny Losków i Baronów z Tychów, Czardybonów z Paprocian i Skibów z Wilkowiec.

Na wystawie znajdzie się również sekwencja poświęcona pierwszemu stacjonarnej kinu w Tychach, nazwanemu później „Halką” (od opery Stanisława Moniuszki, która doczekała się kilku filmowych adaptacji). Zaaranżowana zostanie sala kinowa, w której widzowie będą mieli okazję obejrzać kilka krótkich filmów Polskiej Agencji Teletegraficznej, użyczonych przez Filmołkę Narodową w Warszawie – partnera wystawy. Wystawa potrwa do 28 marca 2015 roku.

Z tematem wystawy związane będzie VIII Tyskie Sympozjum Historyczne „Ludzie dwudziestolecia międzywojennego. Obywatele Tychów i gmin ościennych”, które odbędzie się 27 listopada br. Warto tu podkreślić, że Tychy intensywnie rozwijały się w okresie międzywojennym. W 1934 roku Tychy stały się gminą wiejską na prawach miejskich. W tym roku miasto obchodzi 80-lecie otrzymania praw miejskich.



Karolina i Antoni Niestrój z dziećmi, ok. 1918. Zbiory MMT

dziewiec, Radosław Sirko, Szymon Szewczyk i Kuba Woynarowski.

■ Przedstawieniem „Lucji z Lammermoor” Opera Śląska w Bytomiu zainaugurowała jubileuszowy, 70. Sezon artystyczny.

■ „Open Chopin” w reżyserii Roberta Talarczyka to komiks muzyczny z udziałem Sebastiana Cybulskiego, Mai Hirsch, Michała Chorośńskiego, Anety Todorczuk-Perchuć, Tomasza Dedecka i Honoraty Witaińskiej zrealizowany przez Teatr Śląski.

■ Mapy i plany z własnych zbiorów kartograficznych pokazało Muzeum Miejskie w Tychach.

■ Na wystawę „41x Nopomuk” – fotografia Jana Zegańskiego zapraszało Muzeum Archidiecezjalne w Katowicach.

■ W Miejskim Ośrodku Kultury w Sławkowie można było oglądać wystawę „W kręgu...”.

■ Galeria „Ciasna” w Jastrzębiu-Zdroju zapraszała na wystawę fotografii „Kolory (t) mojego miasta” autorstwa Joanny Bratko-Lityńskiej.

■ Rezydentką Międzynarodowego programu „Projekt Metropolis” organizowanego przez Fundację Imago Mundi oraz CSW Kronika w Bytomiu, opartym na serii rezydencji artystycznych na Śląsku i Zagłębiu Dąbrowskim, zmierzającego do stworzenia współczesnego portretu regionu przy użyciu narzędzi sztuk wizualnych była Aleksandra Wasilkowska – architektka, absolwentka Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej oraz Ecole d'Architecture de Bretagne we

Francji, która w 2010 roku reprezentowała Polskę na XII Międzynarodowym Biennale Architektury w Wenecji projektem *Emergency Exit* (wspólnie z Agnieszką Kurant), a miejscem rezydencji były Tychy.

■ Wystawę fotografii Jakuba Byrczka pt. „Zapach łąk i niebo” pokazała Galeria Ciasna w Jaworznie.

■ *Ziemia pszczyńska* to kolejna wystawa, którą można było oglądać w Galerii Muzeum Miejskiego w Tychach, mieszczącej się w Centrum Medycznym „Paprocany”.

■ Galeria Drugiego Planu Domu Kultury w Rybniku-Chwałowicach zapraszała na wystawę fotografii Roberta Wolańskiego prezentującej gwiazdy polskiego filmu.

■ 8 września na terenie nowej siedziby Muzeum Śląskiego w Katowicach została podpisana umowa przez prof. Małgorzatę Omilanowską, minister kultury i dziedzictwa narodowego oraz Alicję Knast, dyrektor Muzeum Śląskiego w Katowicach na dofinansowanie projektu ze środków Mechanizmu Finansowego Europejskiego Obszaru Gospodarczego i Norweskiego Mechanizmu Finansowego 2009-2014 dotyczącego rewitalizacji pokopalnianych obiektów znajdujących się na terenie Muzeum.

■ Muzeum Śląskie po raz kolejny włączyło się w obchody Europejskich Dni Dziedzictwa, a otwarł je wykład plenerny Przemysława Piwowarczyka „Rawa – rzeka w służbie miasta”.

■ W Galerii Szyb Wilson można było zobaczyć prace artystów nieprofesjonalnych z całego województwa

śląskiego w ramach II Śląskiego Przeglądu Sztuki Artystów Intuicyjnych „Artisma”.

■ 12 września odbyło się uroczyste otwarcie odnowionej i przebudowanej siedziby Domu Miasta Saint-Etienne w Katowicach, do której wprowadzi się również francuskie stowarzyszenie Alliance Française w Katowicach.

■ W „Benedyktynie” Biblioteki Śląskiej odbyła się promocja Postylli „W Słowie Prawda” ks. bpa Tadeusza Szurmana.

■ Muzeum w Chorzowie zaprasza na wystawę: „W chorzowskim garnizonie 1922-1939” – wystawę, która wpisala się w uroczystości związane z odsłonięciem tablicy upamiętniającej 75 Pułk Piechoty stacjonującej w Chorzowie, „Konservacja-ratunek dla zabytków. Prezentacja zbiorów Działu Etnografii” oraz „Świat baśni śląskich Gustawa Morcinka”.

■ Również Muzeum w Chorzowie zapraszało na wykład dr. Jacka Kurka rozpoczynający nowy cykl spotkań „Granice historii – Historia bez granic” zatytułowany „Muzyka i Przyjaźń, czyli wędkując w kraju pięknych saren”.

■ XII Gliwickie Dni Dziedzictwa Kulturowego odbywały się pod hasłem „Rezydencje wśród łąk i lasów...”.

■ Wernisaż grupy malarzyk PO CO I DLA KO-GO... odbył się 19 września w Miejskim Domu Kultury Południe w Katowicach.

Szkoła starsza od miasta

O sosnowieckim „Staszicu” zawsze było głośno. Nic dziwnego skoro od zarania szkoła nosiła „piętno” przodownika. Była pierwszą szkołą średnią, jaka powstała w Zagłębiu Dąbrowskim. Jej fundator, niemiecki przemysłowiec Heinrich Dietel, wyprzedzając potrzeby błyskawicznie rozwijającego się regionu (głównie dzięki własnej przedsiębiorczości) zainwestował w edukację przyszłych kadr pracowniczych rozwijającej gospodarki. Był rok 1894, kiedy w jednym z budynków, pierwszej w Królestwie Kongresowym przędzalni czesankowej (własności H. Dietla) uroczyste otwarto Szkołę Realną, protoplastę dzisiejszego Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Staszica. Miasto Sosnowiec jeszcze nie istniało (dopiero 8 lat później osada nad Przemszą uzyskała prawa miejskie), choć wieś Sosnowice liczyła wówczas ponad 60 tys. mieszkańców. W 1888 r. hojny darzyńca przekazał do użytku szkoły neorenesansowy 3-kondygnacyjny gmach, zbudowany wg projektu Antoniego Jasińczyka-Jabłońskiego. Warto nadmienić, że przeczorny przemysłowiec zaabbał także, aby uczniowie nie spóźniali się na zajęcia i zorganizował dla nich transport... specjalnym pociągiem. Przez kolejne dekady architektonicznej świetności obiektu dorównywał poziomom nauczania. Wśród kadry pedagogicznej znalazły się m.in. takie sławy jak fizyk Waldemar Zillinger, autor najbardziej znanego „Zbioru zadań z fizyki”, z którego korzystały kolejne pokolenia nie tylko licealistów, dyrektor szkoły od 1933 r. do końca II wojny światowej, choć rzecz jasna podczas wojny pełnił tę funkcję nieformalnie, kierując tajnym nauczaniem, wybitny geolog i biolog Witold Wypiański, kompozytor Władysław Powiadowski, u którego brał pierwsze lekcje śpiewu Jan Kiepura... Na listę znamienitych absolwentów na pewno nie wystarczyłoby tutaj miejsca. Od września 1957 r. szkoła straciła swój „męski” wizerunek, wprowadzono bowiem koedukację. W dziejach okazałego obiektu także wiele się zmieniło, w 1970 r. licealistów przeniesiono do oddległego budynku po szkole podstawowej, a gmach „awansował” do rangi akademickiej, goszcząc Wydział Techniki Uniwersytetu Śląskiego. Fundator zapewne nie miałby nic przeciwko tej zmianie, wszak życzeniem jego było, aby budynek służył nauce i oświacie. Akademicy jednak opuścili neorenesansowe wnętrza a od 2013 r. gmach stanowi własność miasta, rodzinie Kulisiów odmówiono zakupu, choć odrestaurowany przez nich pałac Dietelów odzyskał swoją pierwotną świetność. W bylej Szkole Realnej Kulisiowie zamierzali uruchomić galerię i urządzić miejsce spotkań artystycznych. Co będzie w zamian? Miejscy włodarze zdecydowali: centrum integracji i aktywizacji społecznej. W październiku odbędą się huczne obchody 120-lecia Liceum im. S. Staszica. Niejeden z rodziny Staszicowskiej zapewne odwiedzi swoją starą „budę”, tylko czy jest jeszcze co oglądać?

MARIA SZTUKA

ZAGŁĘBIE NOTATNIK KULTURALNY

Jubileusz 50-lecia pracy twórczej

25 września w Muzeum Zagłębia w Będzinie Romuald Korus świętował swój niezwykle jubileusz: 50-lecie pracy twórczej. Znany będziński malarz i grafik jest absolwentem ASP w Krakowie, uprawia malarstwo sztalugowe, grafikę artystyczną, prasową, malarstwo sakralne, witraż i rysunek. Artysta ma w swoim dorobku kilkadziesiąt wystaw indywidualnych i zbiorowych o zasięgu ogólnopolskim i międzynarodowym, jest laureatem wielu nagród i wyróżnień. W założonej przez siebie w Ośrodku Kultury w Będzinie pracowni malarstwa sztalugowego (dla amatorów) stworzył miejsce spotkań, w którym pod okiem malarza dojrzewają ukryte talenty. Zwieńczeniem jubileuszowej uroczystości był wernisaż „Romuald Korus – malarstwo, grafika”. W trzech salach Pałacu Mieroszewskich zaprezentowano ponad 40 prac artysty. Część pierwsza obejmuje prace graficzne, m.in. z cyklu „Katyński las” i „Wołyń – Lipiec 1943”, w osobnej sali wyeksponowano malarstwo pejzażowe – 15 prac w technice pasteli. Wystawę można oglądać do 19 października.



Fot. Bartosz Gawlik/mat. Muzeum w Będzinie

VI Dni Muzeum w Sosnowcu

W niedzielę 7 września w Pałacu Schöna odbyło się Zagłębiowskie Miodobranie. Impreza wpisała się w kalendarz obchodów VI Dni sosnowieckiego Muzeum. Było nie tylko słonecznie ale i bardzo słodko, wszak miodu było pod dostatkiem, nie zabrakło także znakomitych domowych wypieków, ani wysmienitej zalewajki. Ukoronowaniem uroczystości była okazjonalna wystawa „Apimondia 2013 w Kijowie w obiektywie pszcze-

larzy” przygotowana przez sekcję historyczną Śląskiego Związku Pszczelarzy oraz posadzenie pamiątkowego Dębu Wolności, którego dokonali: w imieniu Ordynariusza Sosnowieckiego kanclerz kurii ks. Mariusz Karaś, prezydent Sosnowca Kazimierz Górski, prezes Zagłębiowskiego Koła Pszczelarzy Roman Bochenek, nadleśniczy Nadleśnictwa Siewierz Kazimierz Szylko oraz dyrektor Muzeum Zbigniew Studencki. Drzewko ufundowały Lasy Państwowe. Nie lada atrakcją było Leśne Koło Fortuny, rozwiązywanie zagadek wciągnęło nie tylko najmłodszych, można bowiem było zdobyć drzewko do przydomowego ogródka. Mistrz pszczelarski z koła w Czeladzi Antoni Bieniecki wprowadził słuchaczy w tajniki wiedzy na temat jak założyć rodzinną pasiekę a dyrektor Centrum Pediatry w Sosnowcu dr Andrzej Siwiec przekonywał do leczniczych właściwości miodu, po pokazie miodobrania przyszedł czas na degustację.

Gdzie dziewczęta z tamtych lat?

23 września w Bibliotece Głównej w Sosnowcu odbyło się otwarcie historyczno-biograficznej wystawy zatytułowanej *Gdzie dziewczęta z tamtych lat? Losy kobiet walczących o niepodległość*. Wernisaż poprzedziły: wykład Anny Mikulskiej z Fundacji Generał Elżbiety Zawackiej w Toruniu pt.: „Krystyna Skarbek – As wywiadu drugiej wojny światowej” oraz projekcja filmu dokumentalnego *Miałam szczęśliwe życie* o gen. Elżbiecie Zawackiej. Jak pisze Agnieszka J. Cieślakowa w pracy *Ochotnicza Legia Kobiet 1918–1922*: „Od niepamiętnych czasów kobiety były przede wszystkim ofiarami wojen, ale zawsze były i takie, które chwyciły za broń w obronie rodziny, mienia czy też z pobudek patriotycznych, wspartych czasami bojowym temperamentem”. Na wystawie przedstawiono, w perspektywie historycznej, udział polskich kobiet w działaniach pomocniczych, samarytańskich i wojskowych, począwszy od czasów najdawniejszych XIII i XIV wieku, poprzez konflikty polsko-tatarskie, wojny polsko-tureckie XVII w., wojny napoleońskie, powstanie listopadowe i styczniowe, okres walk o niepodległość i suwerenność w latach 1914–1921, wojskową służbę Polek w okresie międzywojennym i w czasie II wojny światowej: w kampanii wrześniowej, Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, w Wojsku Polskim, w Powstaniu Warszawskim, kończąc na powojennej konspiracji. Ekspozycję można zwiedzać do 7 listopada.

Jednym zdaniem

■ 1 września w Miejskim Klubie im. Jana Kiepury, w Energetycznym Centrum Kultury w Sosnowcu otwarto wystawę prac plastycznych Adama Smetany.

■ 8 września miały miejsce obchody 75. rocznicy zniszczenia Wielkiej Synagogi w Będzinie.

■ 15 września w Energetycznym Centrum Kultury w Sosnowcu odbył się koncert inauguracyjny sezon artystyczny 2014/2015 w wykonaniu Śląskiej Orkiestry Kameralnej.

■ 20 września w sali koncertowej przy Zespole Szkół Muzycznych w Sosnowcu gościli:

Monika Borzym, Dawid Podsiadło oraz Energy Band.

■ 22 września w Miejskim Klubie im. J. Kiepury odbyła się teatralna adaptacja plenerowego widowiska *Będzin 2013–1943*. Performance przypomniał tragedię 120 tysięcy zamordowanych zagłębiowskich Żydów.

■ 28 września w sali koncertowej przy Zespole Szkół Muzycznych w Sosnowcu wystąpiła Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Śląskiej pod dyrekcją Mirosława J. Błaszczyka z udziałem Konstantego A. Kulki.

Marzenie emeryta

Prawie pięciuset młodych autorów nadesłało ponad 1200 tekstów na kolejną „Lipę”. Jest to najstarszy przegląd dziecięcej i młodzieżowej twórczości literackiej – wizytówka kulturalna Bielska-Białej i Spółdzielni Mieszkaniowej „Złote Łany”. Pokażcie mi bowiem drugą spółdzielnię, która – już od 31 lat – inspirowane kolejne pokolenia do pisarskiej aktywności! Nieustająca to „wina” dyrektorki klubu „Best” Reny Edelman. Jak zwykle jurorzy pod kierunkiem Tomasza Jastruna nagrodzili stu laureatów drukiem w „lipowej” antologii – wydanej przez miasto w twardej oprawie. Jak zwykle też najwięcej laureatów było z Beskidów, Śląska i Zagłębia. Spośród mieszkańców województwa śląskiego w gronie uczniów podstawówek laureatami „Lipy” 2014 zostali: Wiesław Cader; Zuzanna Fojcik, Aleksandra Golek, Wiktoria Habdas, Kamila Jochacy, Jakub Mieszczak, Marysia Stanek, Aleksandra Syposz i Jakub Szeziak z Żywca, Marta Grzegorzczak, Maria Holubińska, Wiktoria Kowrygo, Nina Strzelczyk i Jędrzej Szymanek z Bielska-Białej, Natalia Maszkowska z Częstochowy i Zuzanna Żyrek z Miłówki. Wśród gimnazjalistów naszego województwa nagrodzono Natalię Gajownikę z Kóz, Karolinę Kręcioch, Alicję Kuś z Bielska-Białej, Julię Kuraś z Rędzin, Martę Ormaniec z Buczkowic, Annę Piątek i Martę Rusek z Mikołowa, Wiktoria Rocznowską i Aleksandrę Uracz z Dąbrowy Górniczej. Spośród uczniów szkół średnich laureatami zostali: Julia Dziubek, Mateusz Hankowski, Kacper Kominia, Agata Naruszewicz, Filip Peringer i Elżbieta Zamorowska z Bielska-Białej, Patryk Frosztęga z Czechowic-Dziedzic, Daria Schimke z Jaworza i Filip Wyrwalski z Żywca.

Jednym z entuzjastów „Lipy” jest jej juror Juliusz Wątroba, który twierdzi, że przeżycia i refleksje młodych literatów – poparte wyobraźnią „wciągają” go co roku jak pragnienie piękna. Wszak wrażliwa młodzież ma świeże spojrzenie na siebie, otoczenie i przede wszystkim patrzy w... siebie. Jest to bogactwo, którego nie można kupić za żadne pieniądze, którego nie zalatwi nawet wujek poseł czy prezydent ani nie kupi i nie wyżebrze zapobiegliwa ciotka. Co z tym skarbem zrobić: czy zakopią jak ewangeliczne talenty, czy pracą będą pomnażać predyspozycje, z którymi przyszli na świat?

W tekstach najmłodszych poetów i pisarzy odnajdujemy z roku na rok coraz więcej pokładów inspiracji filmowych czy komputerowych. Młodzi ludzie odchodzą natomiast od inspirujących kontaktów z naturą. Boleję nad tym, gdyż nic nie zastąpi świata natury jako źródła poetyckiego zdziwienia. Zerwanie z przyrodą nie oznacza na szczęście zerwania z ludźmi. W tekstach polskich dzieci i młodzieży dominuje kwestia, jak zachować człowieka w człowieku? Wielu młodym ludziom, niezależnie jaką mową się posługują – wiązana lub nie – pytanie, kim jest człowiek, wydaje się stosunkowo banalne. Pytają bardziej szczegółowo o jego kondycję – od okresu prenatalnego po eschatologiczne fantazje i przypuszczenia. Signum temporis: miastem, w którym najczęściej rozgrywa się akcja „lipowych” opowieści, jest Londyn. I nie jest on bynajmniej miastem polskich emerytów, o czym moje pokolenie marzyło w młodzieńczych piosenkach. W oczach „lipowiczów” stolica UK jest miastem polskiej młodzieży. Polscy emeryci o Londynie mogą nadal tylko pomarzyć.

JAN PICHETA

BIELSKO-BIAŁA NOTATNIK KULTURALNY

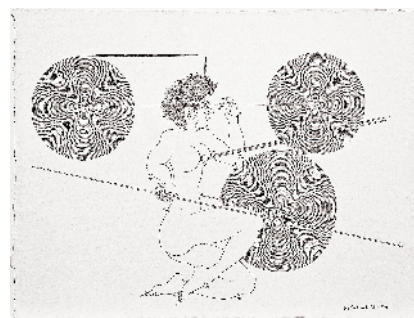
Wspaniała spójność

Bywają w BWA wystawy bardzo różnorodnej. Zdarza się, że poszczególne obiekty ekspozycji nie przystają do siebie. Tego nie można zarzucić dwóm wrześnieowym wystawom w Galerii Bielskiej BWA. Imponują wewnętrzną jednorodnością. Nie było dotąd w Polsce prezentacji płócien Piotra Grzybowskiego z lat 90., które udało się sprowadzić z USA dopiero po jego śmierci (23 sierpnia 2013 r. w Nowym Jorku). Wystawa „Faux painting. Obiekt performer” prezentuje serię wielkoformatowych dzieł pokazywanych dotąd na wystawach indywidualnych w USA. – Są to dzieła oryginalne, odbierające anonimowość technikom dekoracyjnym poprzez nadanie im



Peter Grzybowski, Cedar

statusu dzieła sztuki. Są czymś więcej niż płótnami – stają się „obiektem performer”, związanymi z filozofią twórczą artysty, a nie tylko z uprawianiem sztuki *faux painting* („falszywego” malarstwa) dla samego zarobkowania – twierdzi kuratorka wystawy Małgorzata Kaźmierczak. W przeciwieństwie do niemal w Polsce nieznanego Piotra Grzybowskiego druga wystawa była ekspozycją artysty, który już w Galerii Bielskiej BWA prezentował swe dzieła – Jana Dobkowskiego. Tym razem przedstawił aż 383 rysunki z cyklu „Pohuśtaj się na nitce życia” z lat 2001–2011. Trudno się oprzeć wrażeniu, że artysta czerpie siłę z energii ruchu ciała. Każdemu zresztą życzył tej radości, jaką daje huśtanie. Stąd tytuł wystawy. Jak twierdzi dyrektorka galerii Agata Śmalcerz, fineryjne rysunki przypominają nieco sztukę japońską, z jej mistrzowsko prowadzoną linią i pełnymi elegancji kształtami, z drugiej strony przywołują pewne elementy sztuki indyjskiej i jej ornamentalnie traktowane ludzkie ciało. Niepowtarzalność kreski Jana Dobkowskiego, jego charakterystycznych form to unikat na skalę światową. To *opera omnia* artysty, podsumowanie jego doświadczeń, osobista wypowiedź na temat sensu istnienia, filozoficzny paradygmat dotyczący obecności człowieka we wszechświecie, czerpania kosmicznej energii życia. Janusz Zagrodzki w tekście o Janie Dobkowskim „Na nitce życia” uważa, że dzieła artysty to poematy życia. Kreśli on figury i znaki swobodnie rozwijające się



Jan Dobkowski z cyklu „Pohuśtaj się na nitce życia”, 2011

w wielu kierunkach. Artysta uzyskał biegłość w kreowaniu rzeczywistości. Reżyseruje zdarzenia swobodnie kształtujące się na płaszczyźnie rysunku. Uzupelnieniem programu wrześnieowego BWA była wystawa fotografii bielszczanki Jolanty Kozłowskiej „Dzieci z krainy krokodyli”.

Bieda

Kierownictwo Teatru Polskiego w Bielsku-Białej poinformowało, że w obecnym sezonie wystawi tylko cztery premiery. Być może uda się jeszcze coś wystawić dodatkowo w Stalarni. Jeszcze mniej premier zobaczymy w Białaluce – tylko trzy. Tymczasem na początku obecnego stulecia – za kadencji Tomasza Dutkiewicza – Teatr Polski dawał średnio 10 premier rocznie, a bywało, że nawet 13. Dla wielu teatrów polskich jest to norma, np. Teatr Powszechny w Łodzi wystawia 14 premier w tym sezonie. Trudno się jednak dziwić za paści scenicznej, skoro kultura jest w stolicy Beskidów niedofinansowana. Były już kierownik literacki TP zarabiał np. na pół etatu tysiąc zł. Instruktorzy w placówkach Miejskiego Domu Kultury zarabiają na etacie 1400 zł. Niektórzy za godzinę pracy z dziećmi otrzymują po 10 zł (Bielsko-Biała jest szczególnie wyjątkiem, gdyż w sąsiedniej ubogiej w stosunku do bielskiej metropolii wiosce – Międzyrzeczu Górnym – za godzinę pracy z dziećmi instruktorzy kulturalni zarabiają po 50 zł za godzinę!). Dla porównania każdy z ponad 20 nawet mało zdolnych piłkarzy TS Podbeskidzie otrzymuje w ramach stypendium 16 tys. zł miesięcznie. Z tej samej miejskiej kasy. *O tempora, o mores!*

Poruszona wyobraźnia

26 września w bielskiej Galerii Środowisk Twórczych otwarto wystawę pt. „Poruszona wyobraźnia. Surrealizm w plakacie polskim”. Jak stwierdził Krzysztof Dydo, którego kolekcję prezentuje wystawa, jednym z ważniejszych elementów charakterystycznych dla plakatu drugiej połowy XX w., ale i początku XXI w., jest fascynacja artystów nurtem surrealistycznym... Ekspozycja demonstruje umiejętność dokonywania skrótów poetyckiego przez najlepszych polskich plakacistów, takich jak Roman Cieślewicz, Jan Lenica, Henryk Waniek czy Franciszek Starowieyski. Wystawa czynna będzie do 16 października.

Jednym zdaniem

- Od 4 do 6 września trwał w Bielsku-Białej „Polcon – festiwal fantastyki”.
- Od 13 do 21 września w Zamku Sulkowskich miały miejsce Europejskie Dni Dziedzictwa.
- 26 września bielszczanka Renata Przemysł wystąpiła w bielskim Domu Muzyki, koncert był znakomity.
- Od 1 do 3 października – w ramach cyklu „Czuli barbarzyńcy” – oglądaliśmy w Kolegium Nauczycielskim w Bielsku-Białej przegląd filmów nagrodzonych Czeskimi Lwami.

- „Bielscy książęta Sulkowscy, jakich nie znacie” to tytuł wystawy, którą rozpoczął wernisaż na Zamku Sulkowskich 3 października.
- XXII Jesienny Festiwal Muzyczny „Alkagran” odbył się od 29 września do 4 października w Czechowicach-Dziedzicach.
- 1 października w Muzeum Śląska Cieszyńskiego otwarto wystawę „Od rogluki do blendera” poświęconą kulturze kulinarnej.
- W październiku ukazał się tom wierszy bielszczanina Jana Pichety „góra issy” w wersji polskiej i angielskiej (tłumaczyła Julia Dziubek).

Wyróżniający się w kulturze miasta

Ostatni weekend sierpnia to tradycyjny już termin Dni Częstochowy organizowanych w tym roku po raz dwudziesty drugi. Były koncerty, dzień otwarty w Parku Miniatur Sakralnych Złota Góra, Jurajski Jarmark Staroci na Rynku Wieluńskim, a także XXIX Częstochowski Rajd Pojazdów Zabytkowych. Był to również czas nagradzania najbardziej rozpoznawalnych i aktywnych w dziedzinie kultury.

W piątek w Urzędzie Miasta odsłonięto tablicę upamiętniającą Marie-Thérèse Chabon, Honorową Obywatelkę Częstochowy, która wraz z mężem Pierrem przyczyniła się do podpisania umowy o partnerstwie z Lourdes oraz była założycielką Stowarzyszenia „Błękitna Gwiazda”. Wieczorem w Miejskim Domu Kultury Prezydent Miasta wręczył nagrody twórcom i animatorom kultury. Wśród nagrodzonych dominowali czterdziestolatkowie. Za całokształt działalności i osiągnięcia artystyczne wyróżniono w tym roku: aktorkę Teatru im. Adama Mickiewicza w Częstochowie, Iwonę Choluż (absolwentkę Szkoły Muzyczno-Teatralnej im. Danuty Baduszkowej w Gdyni), która na naszej scenie zagrała wiele doskonałych ról z repertuaru klasycznego oraz współczesnego, wystąpiła w bajkach dla dzieci, sprawdziła się jako asystentka reżysera oraz doskonała interpretatorka piosenek; literaturoznawcę i pisarza Konrada Ludwickiego; rozpoznawalnego nie tylko w mieście muzyka Olka Klepacza; w dziedzinie sztuk plastycznych – fotografa współpracującego od lat z naszym teatrem, m. in. autora plakatów, Piotra Dhubaka, oraz Ireneusza Kozę, dyrektora Filharmonii Częstochowskiej, za promocję i upowszechnianie kultury. Przyznano również honorowe nagrody dla Irit Amiel, która w tym roku spotkała się z czytelnikami w rodzinnym mieście i było to jedno z literackich spotkań akcji „Aleje – tu się dzieje”, a o jej twórczości dyskutowano również w budynku Otwachu z okazji premiery filmu „To jednak ja zwyciężyłam!”, oraz zmarłego w tym roku pejzażyzisty Stefana Chabrowskiego. Tytuł Mecenasa Kultury otrzymały firmy Tauron Dystrybucja S.A. oraz Multimedia Polska S.A. Wręczeniu nagród towarzyszył koncert Katarzyny Skrzyneckiej.

W sobotę Urząd Miasta razem z Radiem Złote Przeboje zaprosił mieszkańców na koncert Bajmu, Tribute to Boney M oraz zespołu Taraki, twórców hymnu kijowskiego Majdanu „Podaj rękę Ukrainie”. Imprezę prowadził Zygmunta Chajzer, a o wrażenia kulinarne zadbał Robert Sowa. Centrum Uśmiechu przygotowało program dla dzieci „Warzywołandia” na temat zdrowego odżywiania, a nieopodal stanęło Miasteczko Zdrowia z mammoobusem. Było więc smacznie, zdrowo, wesoło oraz edukacyjnie. Częstochowianie bawili się doskonale wokół sceny przy pełtli tramwajowej.

Na następny równie udany koncert nie trzeba będzie na pewno czekać do przyszłego roku, miejskich masowych imprez jest przecież coraz więcej, ale częstochowian tworzących kulturę, a także zaangażowanych w częstochowską kulturę warto obserwować każdego dnia. Marzy mi się taki lokalny snobizm na czytanie, a przede wszystkim dyskusowanie dzieł częstochowian, tych początkujących, ale również tych odnoszących już sukcesy, na śledzenie artystycznych karier muzyków, plastyków, ludzi teatru i filmu. I na szczęście zaczyna się to spełniać.

JOANNA KOTKOWSKA

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Żeglowanie w miejskiej przestrzeni

W tym roku Arteria organizowana m.in. przez Fundację Kulturoholizmu, założoną przez Martę Frej i Tomasza Kosińskiego, trwała dłużej niż zwykle (od 10 do 14 września), a wśród przygotowanych działań dominowały warsztaty. Oczywiście, były też instalacje – ogromne koty Szymona Motyla na dachu kamienicy, wystawy – *Memy* Marty Frej w Boulangerie, koncerty zespołów Nagrobki oraz Krzyż: Kross w altanie, a także performance. Wybór miejsca działań artystycznych okazał się trafiony, co potwierdził także sukces akcji letniej – „Aleje – tu się dzieje”. Aleje to centrum miasta, galeria handlowa oraz ostatnia prosta pielgrzymów; to doskonałe miejsce do zaprezentowania swoich pomysłów, ale również do konfrontacji i skandalu. W tym roku ideolodzy nieco odmiennili język. Mówi się wprawdzie nadal o (czwartym) strzale, ale obok pojawia się metafora zawirowywania przestrzeni oraz szczepienia mieszkańców przeciwko bierności i szaryzacji. Język medyczny ma zapowiadać uzdrowienie i poprawę życia.

Na placu Biegańskiego naprzeciw Wydziału Kultury, Promocji i Sportu Urzędu Miasta stanął kolorowy namiot. Jak donosili bardziej zorientowani, był to rumb – czyli platforma miejska przewożona ośmioma rowerami i ustawiana na planie róży wiatrów, by przypominać, że żeglowanie jest konieczne (idea tej instalacji kojarzy się z takimi pojęciami jak: tabor, nomadzi czy masa krytyczna). Rumb włączył częstochowską Arterię w krwioobieg ogólnopolski i ujawnił jej ideologiczny kompas. Oprócz artystów kojarzonych z Częstochową: Szymona Motyla, grupy FRIKO, kARTon, pojawili się także twórcy z innych miast, by zachęcić częstochowian do poszukiwania tożsamości (Igor Stokfiżewski postugiewał się sprawnie przykładami Nowej Huty czy Ursusa). W czasie dyskusji poruszono wiele tematów, m.in. festiwalizację kultury. Rozmawiając o tożsamości, należy jednak pytać także o pozycję artysty, czy jest on tym, który żyje wraz z mieszkańcami czy może podobnie jak w średniowieczu jedynie roznosi nowoczesne idee, wywołując ferment, albo wreszcie dba przede wszystkim o swoje utrzymanie. Wydaje się bowiem, że tożsamość Częstochowy trudno zdiagnozować z oddalenia, jeśli szukamy innej odpowiedzi niż prosta dychotomia: konserwatyzm (Jasna Góra) kontra artystycznie pobudzeni inteligenci.

Najlepsi miniaturzyści

23 sierpnia w OPK „Gaude Mater” odbył się wernisaż 8. Biennale Miniatury. Spośród 783 prac 279 autorów z 21 krajów jury zakwalifikowało na wystawę 267 prac 234 artystów. W tym roku miniatury oceniali: profesor Apoloniusz Węglowski (ASP Warszawa), Irmina Dubaniewska-Kutek (krytyczka sztuki z Warszawy), prof. Jolanta Jastrząb (kierownik Katedry Malarstwa ASP w Katowicach), profesor Grzegorz Banaszkiewicz (Wydział Sztuki AJD). Po raz pierwszy do organizatorów konkursu dołączyła Akademia im. Jana Długosza w Częstochowie.

Jednym zdaniem

■ Zagrali: Cafe & Restaurant Dobry Rok – Hania Stefaniak; plac Biegański – 7A Blues; OPK Gaude Mater – Yves; MDK – Piotr Szczepanik; klub Disco Ray – Blue Cafe; Cafe Belg – The Jet-Sons oraz Moriark Woods; Muzyczna Meta – K. K. Blues Band; boisko przy SP nr 17 – T. Love i Shamboo.
■ Wystawy: Wejściówka – Adrianna Zawadzka; CPM – *Profelowanie* Joanny Wórnyczek; PTTK – *Plakaty powstańczej Warszawy*.
■ Kolejne akcje „Po czyta!”, tym razem: Tramwaj typograficzny malowany przez Cezarego Łopacińskiego oraz spotkanie w CPM-ie z Grzegorzem „Gino” Nitą, autorem komiksu *Banzaj: Książkowa Eryka*.

Grand Prix otrzymała Elżbieta Radzikowska z Poznania za cykl *Góra 1, 2, 3*, stała uczestniczką, która dwa lata temu zdobyła wyróżnienie. Pierwszą nagrodę przyznano Andrejowi Desperakowi (dyrektor Instytutu Plastyki AJD) oraz Katarzynie Makiele-Organicze z Krakowa, drugą – Paulinie Poczętej z Chruszczobrodu oraz Barbarze Lis-Romańczukowej z Olsztyna, trzecią – Michałowi J. Wielowiejskiemu z Warszawy i Paulinie Szymczyk z Krakowa. Przyznano również trzynaście wyróżnień, a nagrodę specjalną Marzenie Rakoniewskiej z Gieratłowic wręczył Dziekan AJD. Wystawę można oglądać w sali OPK jeszcze w październiku, a jej komisarzami są Justyna Warwas i Robert Sekiewicz.

Fotograficy na start!

Podczas Dni Europejskiej Kultury Ludowej, 6 września, odbył się II Ogólnopolski Konkurs Fotografii Reportażu „Fotomaraton 2014” przygotowany przez Fundację Sztuki Fotoreportażu (prowadzoną przez Marcina Szpądrońskiego), a wzorowany na podobnych wydarzeniach europejskich. Zadanie nie jest proste. Od 9.00, gdy podano temat: *Dzień z życia europejskiego miasta*, przez osiem godzin należało zbudować ciekawą opowieść z 12 zdjęć (w tym zdjęcia dokumentujące start i metę). Dopuszczalna była zaledwie minimalna obróbka techniczna, co wymagało od uczestników sprawności warsztatowej, ale przede wszystkim intuicji i żyłki odkrywczej. A w mieście działa się naprawdę wiele i trudno było narzekać na brak inspiracji. Wystarczy wymienić choćby odbywającą się w tym czasie Krajową Wystawę Rolniczą, Festiwal Produktów Tradycyjnych, Targi Sztuki Ludowej czy występy folklorystyczne na scenie zbudowanej przed Ratuszem. Tłumy zwiedzających i wystawców.

Final odbył się następnego dnia w Pubie Sportowym „Stacherczak”, a obradom jury przewodniczył Maksymilian Rigamonti, współpracownik „Newsweeka” oraz „Wprost”. W tegorocznym konkursie wzięły udział 84 osoby, a na podium stanęli przedstawiciele regionu. Zwyciężył Marcin Jędryka, II nagrodę zdobył Jarosław Respondek, III – Grzegorz Majchrzak z Białowini. Na zakończenie odbył się pokaz nagrodzonych prac oraz otwarte warsztaty fotograficzne.

Trylogia w Parku Jasnogórskim

O powieści Henryka Sienkiewicza spierano się niemal od chwili ich powstania. Atakowano autora za nieścisłości historyczne, choć jednocześnie zaczytywano się jego narracją. Nie ma wątpliwości, że utwory te ukształtowały wyobraźnię i światopogląd wielu pokoleń Polaków, a cytaty utrwalane także przez współczesną reklamę weszły do języka potocznego. 6 września, gdy cała Polska czytała *Trylogię*, chyba w niewielu miejscach *Potop* brzmiał tak, jak w pod murami klasztoru jasnogórskiego.

Od godziny 14.00 rozpoczął się nad stawem piknik, podczas którego można było nie tylko posłuchać XVII- i XIX-wiecznej polszczyzny, gdy przedstawiciele administracji państwowej, edukacji i kultury przypominali najbardziej znane fragmenty miłosne albo sceny batalistyczne (dotyczące obrony Jasnej Góry), ale również podziwiać talenty muzyczne i taneczne Sienkiewiczaków z dwóch częstochowskich szkół. Organizatorami spotkania byli Urząd Miasta Częstochowy oraz Biblioteka Publiczna im. dra Władysława Biegańskiego we współpracy z Teatrem im. Adama Mickiewicza w Częstochowie.

■ Pierwsze spotkanie Latającego Klubu Przegląd Humanistycznej Mai i Leszka Engelkingów dotyczyło poezji.

■ We wrześniu w OKF-ie odbył się przegląd filmów wytwórni Warner Bros.

■ Promocja książki Katarzyny Bodzichowskiej *Księżna Izabela Czartoryska*.

■ Pokaz filmu *Krwawy poniedziałek w Częstochowie* Wojciecha Kolsuta, opowiadającego o wydarzeniach początku II wojny.

■ V Festiwal Muzyczny Rodziny Bachów zorganizowała Filharmonia Częstochowska oraz Stowarzyszenie Sympatyków „Collegium Cantorum”.

Hej, koło Cieszyna była wystawa...

Salwa z działka Cieszyńskiego Bractwa Kurkowego, którą odpalił wiceburmistrz Cieszyna, Jan Matuszek, otworzyła w sobotę 20 września oficjalnie w Domu PZKO w Mostach koło Cieszyna dwudniową wystawę „Hej, koło Cieszyna – Kolem Těšina”.

Atrakcyjną ekspozycję o historii i współczesności książęcego miasta przygotował prezes Miejscowego Koła Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego Czeski Cieszyn-Mosty, Władysław Kristen wspólnie z członkiniami Klubu Kobiet. A było co oglądać. Na wystawie można było podziwiać, na przykład, bogatą kolekcję czepców, żywozków i hoczków z kobiecego stroju cieszyńskiego, model cieszyńskiego zamku, strzelbę cieszyńską z warsztatu rusznikarza Jerzego Wałgi, sporo dokumentów, zdjęć, książek... Ba, była nawet specjalna kurтка, którą nie tak jeszcze dawno używali do przerzutu przez granicę butelek alkoholu przemysłowej zwani „mrówkami”.

– Cieszyn, miasto książęce, jedno z najstarszych w Polsce, na pewno na taką wystawę zasługuje – powiedział podczas wernisażu prof. Karol Daniel Kadłubiec. – Pokazuje ona najróżniejsze oblicza Cieszyna i Ziemi Cieszyńskiej. Na uwagę zasługują, na przykład, wspaniałe druki z wydawnictwa Feitzingera, które bardzo się zasłużyło w szerzenie oświaty nad Olzą. Dzięki temu był ten region kiedyś najbardziej rozczyszczonym w tej części Europy. Przepiękne są stroje cieszyńskie... Autor tej wystawy zasługuje na najwyższe uznanie – dodał znany językoznawca i etnograf.

Sam Kristen poinformował, że korzystał ze zbiorów miejscowych pasjonatów. – Nie żyjąca już zaolziańska poetka, Agnieszka Łupińska-Piegza, powiedziała w wierszu: „Patrząc ludzkie, jaka szkoda, wszystko to piękno z naszej kultury, chce zabrać woda...”. Pasjonaci, o których wspominałem, robią wszystko, żeby tak się nie stało – podkreślił autor wystawy.

Dodajmy, że wystawę wysoko ocenili również obecni na wernisażu wiceburmistrz Cieszyna Jan Matuszek i przewodniczący Rady Powiatu Cieszyńskiego Stanisław Kubicius. Kilka pieśni zaśpiewał podczas uroczystego otwarcia Chór im. Jana Pawła II ze Strumian koło Wieliczki. Jak poinformowała uczestników imprezy członkini czeskokieszyńskiego chóru „Harfa”, Ewa Sikora, oba zespoły współpracują od kilku już lat, a dyrygentem strumiańskiego chóru jest brat dyrygenta „Harfy”, Tomasz Piwki, Piotr.

Szkoda, że tę ciekawą i atrakcyjną wystawę można było zwiedzać tylko podczas weekendu. Może jakieś inne Koło PZKO zwróci się do Władysława Kristena i zaprezentuje ekspozycję u siebie? Na pewno byłoby warto.

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

Mosteckie „posiadowe tańcowani”

Dom PZKO w Mostach koło Jablonkowa rozbrzmiewał 6 września góralską muzyką, a przed budynkiem snuły się zapachy smakowitych regionalnych potraw. Mosteczanie bowiem zaprosili miłośników folkloru na drugie już góralskie „posiady”, tym razem poświęcone ludowej kulturze tanecznej.

Spotkania te odbywają się w ramach projektu „Żyje lekcje tradycji. Zachowanie wspólnego dziedzictwa kulturowego górali śląskich na pograniczu polsko-czeskim”. Projekt ten organizują mosteccy PZKO-wcy wspólnie z Muzeum Beskidzkim im. A. Podzorskiego w Wiśle, a jego celem jest przybliżanie i popularyzowanie najpiękniejszych wartości góralskiej kultury.

„Posiadowa” publiczność mogła najpierw wysłuchać wykładu, a raczej ciekawej gawędy, którą o tańcu ludowym w naszym regionie wygłosił prof. Karol Daniel Kadłubiec. Opowiadał o tym, jakie tańce pełniły funkcje w życiu naszych przodków, czym różniły się tańce góralskiej części regionu od tych dolańskich lub o tym, jak mieszkańcy Śląska Cieszyńskiego przetwarzali do tańca i muzyki, która przychodziła do nas z innych regionów.

Po gawędzie publiczność mogła sama obejrzeć tańce góralskie w wykonaniu zespołów „Górole” z Mostów oraz „Zaolzi” i „Zaolzioczek” z Jablonkowa. Jak tańczono w słowackiej części Łuku Karpackiego zaprezentował zaś gość ze Słowacji, zespół „Oravan”. O muzyczną oprawę imprezy zatroszczyły się kapelle: „Górole”, „Lipka”, „Polynica” i „Oravan”.

Sto lat od wymarszu Legionu Śląskiego

Dokładnie przed stu laty, 21 września 1914 roku, w Parku Adama Sikory mieszkańcy Śląska Cieszyńskiego pożegnali grupę ponad 400 ochotników, żołnierzy Legionu Śląskiego. Wyjechali oni do Mszany Dolnej, gdzie po reorganizacji włączeni zostali do 1. batalionu 3. pułku piechoty II Brygady Legionów Polskich. Tamto wydarzenie sprzed wieku uczczono w niedzielę 21 września odsłonięciem w Parku Sikory tablicy pamiątkowej.

Jednym zdaniem

■ Weronika Schönwald została mistrzynią Republiki Czeskiej w woltżercie. Uczennica czwartej klasy Polskiego Gimnazjum w Czeskim Cieszynie zdobyła dwa złote medale w kategorii juniorów – w klasyfikacji indywidualnej oraz drużynowej.

■ W sobotę 13 września w Cierlicku-Kościełcu spotkali się budowniczo i sympatycy Domu Polskiego im. Zwirki i Wigury. Okazją była 20 rocznica oddania obiektu do użytku.

■ Siedemdziesięciu dwóch pielgrzymów wyruszyło w sobotę 13 września z kościoła parafialnego w Czeskim Cieszynie na dwunastą pieszą pielgrzymkę do bazyliki Nawiedzenia Marii Panny we Frydku.

■ „Małi Błędowanie”, dziecięcy zespół taneczny działający pod kierownictwem Dagmar Owczarzy przy Polskiej Szkole Podstawowej w Hawierzowie-Błędowicach, reprezentowali Zaolzie na festiwalu Babilonfest w Brnie.

■ Nawsianie mają powód do dumy. Działający przy ich Kole PZKO Chór Żeński „Melodia” powrócił z Hiszpanii ze złotym i srebrnym dyplomem. Zespół występował te nagrody na odbywającym się 16-20 września w hiszpańskich miastach Lloret de Mar i Barcelona IV Międzynarodowym

Niedziela była uwieńczeniem obchodów 100-lecia wymarszu Legionu Śląskiego. Już o godz. 10.00 w Sali Sesyjnej Ratusza w Cieszynie odbyła się uroczysta połączone sesja Rady Miejskiej Cieszyna i Rady Powiatu Cieszyńskiego z udziałem m.in. przedstawicieli władz województwa śląskiego, Czeskiego Cieszyna oraz polskich organizacji z Republiki Czeskiej. Wykłady o Legionie Śląskim wygłosili Stefan Król z Książnicy Cieszyńskiej i prezes Kongresu Polaków, historyk Józef Szymeczek.

Tablicę pamiątkową w Parku Adama Sikory odsłonięto tuż przed południem. Z czeskiej strony Olzy zaś uczestnicy uroczystości, do których za mostem Wolności dołączyli żołnierze Kompanii Honorowej Wojska Polskiego i Orkiestra Reprezentacyjna Straży Granicznej, przeszli w pochodzie pod Wzgórze Zamkowe. Tam złożono wieniec pod Pomnikiem Legionistów, zabrzmiął Apel Poległych, przemówienia gości, a burmistrz Cieszyna, Mieczysław Szczurek, przeczytał wystosowany do uczestników uroczystości list prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, Bronisława Komorowskiego. O oprawę muzyczną zadbały połączone chóry z obu stron granicy pod batutą Tomasza Piwki.

Andrzej Cieślarski wystawiał w Hawierzowie

„Andrzej Cieślarski – Obrazy” taką prostą nazwę nosiła wystawa dzieł tego młodego zaolziańskiego artysty plastyka, którą można było do końca września zwiedzać w Galerii „Radost” w Hawierzowie.

Urodzony w 1981 roku w Czeskim Cieszynie Andrzej Cieślarski jest synem znanego architekta Karola Cieślara. Jest absolwentem kierunku propagacji i reklamy Średniej Szkoły Zawodowej we Frydku-Mistku i Wydziału Artystycznego – Instytutu Sztuki Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. W swoim czasie przez kilka lat był pracownikiem technicznej grupy Teatru Cieszyńskiego i to tam właśnie, w teatralnej Cafè Galeria, miał swoją pierwszą indywidualną wystawę. Obecnie mieszka w Hluczynie, współpracuje jednak nadal z czeskokieszyńskim teatrem. W aktualnym sezonie będzie autorem scenografii i lalek do sztuki „Trzy świnki” Sergiusza Michałkowskiego, którą wystawi Scena Lalek „Bajka” w reżyserii Jakuba Tomosza.

Cieślarski ma za sobą kilka wystaw indywidualnych, m.in. w Ostrawie, Bratysławie, Hluczynie, Pradze, a nawet w bawarskim Wurzburgu. Brał też udział w wystawach zbiorowych, m.in. w Częstochowie, Gliwicach, Czeskim Cieszynie, słowackiej Trnawie, czy chorwackiej Puli.

wym Festiwalu i Konkursie Chóralnym „Canço Mediterrania”.

■ 26 i 27 września mieszkańcy Pragi mogli próbować najbardziej typowych dań i smakowitych kuchni polskiej, a także posłuchać muzyki w wykonaniu kilku polskich kapel. To wszystko w ramach imprezy pn. „Dni Polskiej Kuchni i Kultury”, zorganizowanej przez Instytut Polski w Pradze.

■ Przez tydzień uczniowie Polskiej Szkoły Podstawowej im. Henryka Sienkiewicza w Jablonkowie poznawali obce kraje. Przewodnikami po ich kulturze, historii, obyczajach i tradycjach kulinarnych byli studenci, którzy przyjechali nad Olzę w ramach projektu „Edison”.

■ W ostatni piątek września na Zaolzie powrócili uczestnicy drugiego turnusu Zielonej Szkoły nad Bałtykiem. W siódmej już edycji tej inicjatywy przygotowywanej przez Kongres Polaków w RC nad Bałtyk na 12 dni wyjechali wszyscy uczniowie klas siódmych polskich szkół podstawowych na Zaolzie. Dla wielu był to pierwszy w życiu wyjazd nad polskie morze.

■ Jubileusz 30-lecia swojego Domu PZKO świętowali w ostatnią sobotę września Polacy z Milikowa-Centrum.

Pierwszą zasługą malarstwa jest – być uczcą dla oka (Delacroix)

Jeanine Cohen i Javier Fernandez
w Galerii Sztuki Współczesnej BWA
w Katowicach

welny. Takie przestrzenne ułożenie włókien stwarza strukturę, która odbiera i przetwarza światło w specyficzny sposób, pozwalając mnożyć na powierzchni tkaniny świetlne i kolorystyczne refleksy. Tu również temat nie ma znaczenia, liczy się, czysty, zmysłowy odbiór pracy. Odczytanie jej atmosfery, pozwolenie aby jej struktura przemówiła do nas poza słowami. Jak mówi sam artysta: *Na czym polega radykalność mojej twórczości? Przede wszystkim na eliminowaniu pojęć, które dla spraw artystycznych wydają mi się obce. Dlatego moich prac*

Maurice Denis pisał: *każdy obraz zanim staje się koniem bitewnym, kobiecym aktem czy bukietem kwiatów, jest przede wszystkim płaską powierzchnią pokrytą kolorami, uporządkowanymi wedle jakiejś zasady*. Podejście do obrazu od tego czasu znacznie ewoluowało, wyzwoił się on od przymusu odwzorowania rzeczywistości, otwarł na eksperyment, przestrzeń, a nawet jak twierdziło wielu, parę razy przeżył swoją śmierć. Pomimo to, kolor wciąż dla wielu artystów ma kluczowe znaczenie. Tak jest w przypadku dwojga belgijskich twórców – Jeanine Cohen i Javiera Fernandez, których prace możemy oglądać do końca października w Galerii Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach.

Wystawie, powstałej dzięki współpracy z brukselską galerią Atelier 340, towarzyszy chęć ukazania obecnego u obojga artystów poszukiwania koloru w czystej postaci oraz podkreślenie odmienności ich działań mimo zbieżności poszukiwań. Ponadto, jak informują organizatorzy, artyści ci od 30 lat są parą – ta bliskość, wzajemne dzielenie się przemyśleniami i odkryciami, wspólne wyjazdy, nie pozostają bez echa w ich twórczości.

Jeanine Cohen inspirowała miasto. Jego struktura, detale architektoniczne, kolory. Podczas swoich podróży fotografuje wszystko co przyciągnie jej uwagę – konstrukcję drewnianej palety opartej o ścianę w Tel Awiwie, czerwono-białe framugi okienne gdzieś w hiszpańskiej Tudeli czy na przykład znalezione w Lizbonie aluminiowe drzwi z fragmentem fluorescencyjnego oranżu. Jak mówi: *Fotografia to dla mnie swego rodzaju szkicownik. Zbieram wizualne znaleziska jako możliwe inspiracje dla przyszłych prac*. Pamiętając z podróży, jak możemy przeczytać w katalogu wystawy, artystka umieszcza nad biurkiem w swojej pracowni. Zbiór fotografii i znalezionych przedmiotów stanowi wyjście dla abstrakcyjnych, przestrzennych konstrukcji dopełnionych intensywnymi kolorami. Materiał, z którego Jeanine Cohen buduje swoje obiekty, to listwy przypominające malarskie krosna. Drewniane elementy tworzą trójwymiarowe układy złożone z pionów i poziomów. Niektóre z desek pomalowane są na intensywny kolor. Dopełnia on całości geometrycznej, wyważonej kompozycji. Ale to, co sprawia, że prace te są wyjątkowe w odbiorze, to efekt uzyskany poprzez pokrycie tylniej (niewidocznej dla widza) strony pracy fluorescencyjnymi farbami (zieleń, żółć, róż, błękit, pomarańcz) i zawieszenie ich w niewielkim odstępnie

Naprzeciw koloru

Kolor to „postrzegana wzrokowo właściwość przedmiotu, zależna od stopnia pochłaniania lub przepuszczania promieni świetlnych”. To ważny element naszego świata, wpływający na uczucia, psychikę, ale też oddziałujący bezpośrednio na ciało. – Czerwień podnosi ciśnienie krwi, błękit je obniża, ale pobudza pracę umysłu, jasna zieleń koi, żółć przykuwa uwagę. Kolory towarzyszą wspomnieniom, emocjom, wyobraźni. Są też podstawą malarstwa.

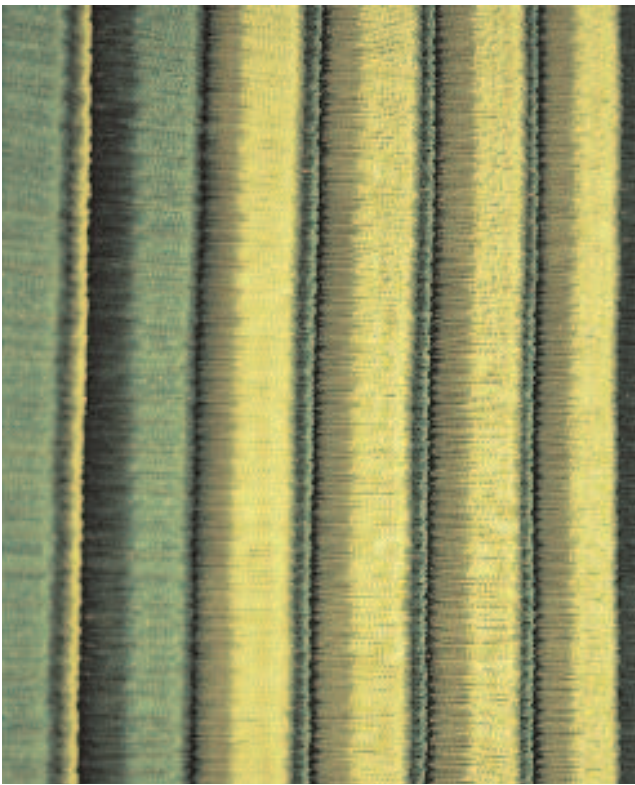
od białej ściany. W efekcie kolory te obecne są jedynie jako odbita poświata, ukazująca się na ścianie przy krawędziach obiektu. Dzięki temu asamblaż artystki stają się lekkie, odnosi się wrażenie, że lewitują w poświacie subtelnego światła. Co więcej, „wychodzą” poza swoje krawędzie, angażując ściany galerii. Tak więc miejsce, w którym są prezentowane, staje się częścią malarskiej struktury. Surowa faktura drewna – taka jaka występuje z tyłu blejtramu, brak bezpośredniej możliwości zobaczenia koloru, a jedynie dostrzeganie jego „pozostałości” w formie poświaty, wprowadzają do cyklu prezentowanych prac element dekonstrukcji obrazu. Jak podkreśla artystka, jej prace to czyste abstrakcje, narzucanie jakiegokolwiek tematu nie jest jej celem. Liczy się kolor, który pozwala odwołać się do naszych odczuć, emocji i wywoływać różnorodne, czysto sensualne skojarzenia.

Kolor, światło, przestrzeń, geometria to również kluczowe słowa dla twórczości Javiera Fernandez. Jednakże bardzo różni się jego prace od prac Jeanine. Tka on wielkoformatowe, wielobarwne, grube tapiserie o strukturze przypominającej relief. Jego prace wymagają bezpośredniego kontaktu, wymykają się reprodukcji. Wielka płaszczyzna mięsistej tkaniny oddziałuje na widza całą powierzchnią swojej różnorodnej struktury, skalą i masą. Sam artysta mówi, że widzi swoją twórczość jako ćwiczenie „ducha i ciała”. Zależy mu głównie na pracy z kolorem i materiałem w celu produkcji obiektu sztuki. Forma prac jest prawie zawsze prostokątna, co poniekąd narzucane jest przez stosowaną przez niego technikę. Wielkość jest ograniczana jedynie praktycznymi czynnikami, takimi jak wysokość ścian galerii czy objętość warsztatu tkackiego. Kolor jest głównym elementem pracy. Wszelkie piony splotu, kompozycje oparte często na zasadach złotego podziału, wprowadzają geometrię, która spaja i porządkuje całość. Światło wydobywa jej przestrzenność i sprawia, że drga ona w oczach. Uzyskanie takiego efektu wymaga od artysty mozolnej pracy. W jego tkaninach cienka, kolorowa osnowa gęsto owija wążek z grubej ba-

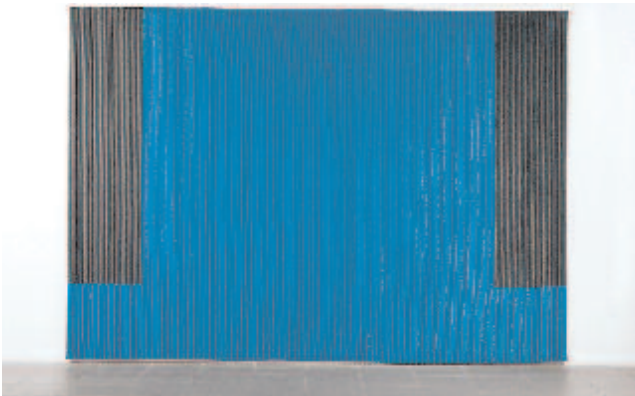
*nie dotyczy ani naturalistyczna interpretacja, ani idealistyczny cel. Nie opierają się na uczuciach ani też na potrzebie wyrażania siebie. Ale tkaniny to nie wszystko. Rozwinięciem uzyskiwanego w nich wizualnego efektu są realizacje wideo. Tu nadal ważne są kolor i tekstura. Jak możemy przeczytać w katalogu wystawy: *Ostatnie prace wideo z serii Continuum (2013–2014) są hipnotycznymi, długimi ujęciami kręconymi nieruchomą kamerą, bez wyraźnego początku i końca. Manipulacja sprawia, że obraz jest całkowicie abstrakcyjny, zredukowany do esencji, czyli subtelności koloru i złudzenia ruchu. Jednak wciąż przywołuje skojarzenia z przedmiotem, na przykład z mięsistymi, gęstymi zasłonami poruszonymi wiatrem. Kolor i wszystkie jego odcienie migotają na zagięciach tkaniny, odsyłając do pierwszego obszaru twórczości artysty (...)*. Pracy towarzyszy subtelny, trudny do określenia dźwięk przypominający szum, który stanowi dobre dopełnienie abstrakcyjnej całości.*

Dwoje artystów, minimalizm, abstrakcja, kolor. Dwie różne odpowiedzi na te same zagadnienia. Kobieta i mężczyzna. Choć w ich wypadku ciężko przyporządkować prace płci. Jeanine Cohen tworzy duże, trójwymiarowe konstrukcje z drewna, wymagające „stolarstwa” i obróbki kojarzonej z typowo „męską” pracą. Równocześnie dodaje do nich kolor i światło, które nadają pracom element kobiecy – stają się lekkie, ulotne, efemeryczne. Javier Fernandez natomiast wykonuje prace w technice tkactwa przypisywanej od zawsze kobietom. Ale jego tkaniny są monumentalne, ciężkie, o mocnej, grubej strukturze. Sam sposób tkania nie jest więc typowo kobiecy. I to dodatkowa wartość tej wystawy – jej niejednoznaczność, zacieranie granic, przemieszanie pierwiastka męskiego i żeńskiego. A wszystko to wyrażane poprzez abstrakcyjne, minimalistyczne gry z przestrzenią, barwą i światłem. Pozwalające stanąć naprzeciw prac emanujących kolorem. Kolorem dającym czystą wizualną przyjemność.

MICHALINA
WAWRZYCZEK-KLASIK

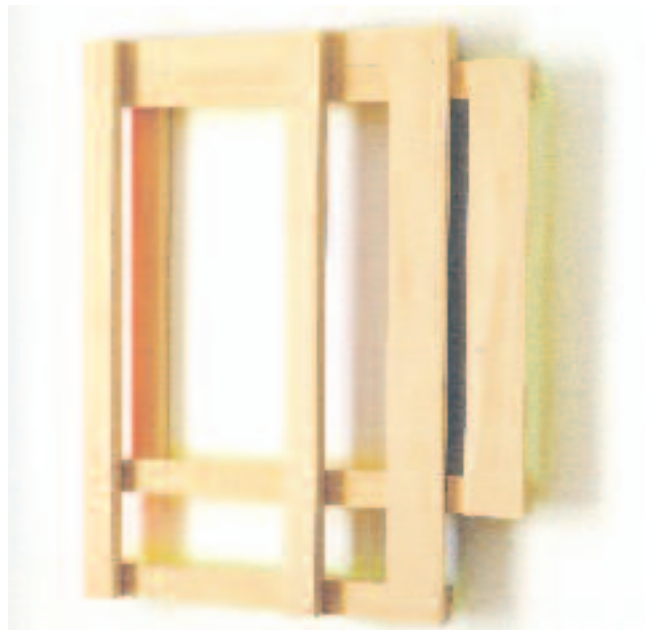


Fragment splotu tkaniny Javiera Fernandez



Javier Fernandez, blue, 280 cmx400 cm

**JEANINE COHEN
i JAVIER FERNANDEZ
BWA Katowice**



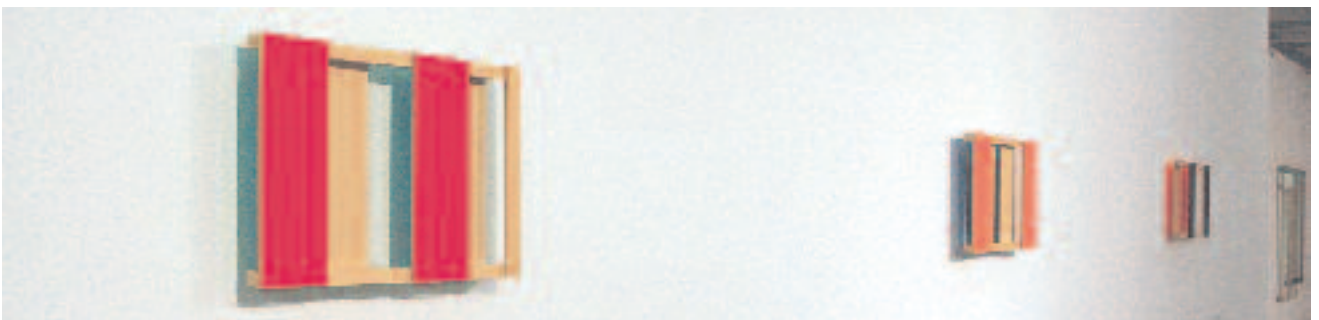
Jeanine Cohen, PLENTY OF EMPTY N XIV, 2007



Jeanine Cohen, PLENTY OF EMPTY N XXVII, 2013



Jeanine Cohen, WINTER SERIES, N 3, 2013



Prace Jeanine Cohen, fragment wystawy



„Jesteśmy w naszym wspólnym domu” – mówiła podczas oficjalnego otwarcia Joanna Wnuk – Nazarowa dyrektor naczelna i programowa NOSPR. W ceremonii otwarcia uczestniczyli m.in. b. minister kultury i dziedzictwa narodowego Bogdan Zdrojewski, prezydent Katowic Piotr Uszok, Tomasz Konior – projektant gmachu NOSPR.



Wielka sala koncertowa to 1800 miejsc rozmieszczonych na pięciu poziomach. Estrada o powierzchni ponad 250 m², zapewni komfort pracy 120-osobowej orkiestry i 100-osobowego chóru. W czołowej ścianie sali za estradą docelowo będzie umieszczony prospekt organowy.



Yasuhisa Toyota z firmy Nagata Acoustic – najsłynniejszy akustyk: „Wymyślcie architekturę tej sali, a ja wymyślę do tego akustykę”. N/s z dyrektor Joanną Wnuk-Nazarową.



Na chwilę przed uroczystym koncertem: prof. Tomasz Miczka rektor AM w Katowicach (z lewej), pianista prof. Andrzej Jasiński (z prawej), dyrygent Kazimierz Kord – w latach 1969-73 dyrektor i kierownik artystyczny WOSPR (obecnie NOSPR).



W gronie zaproszonych gości – dyrygent prof. Tadeusz Strugała (z prawej).



Na kilka dni przed wielkim otwarciem: konferencja prasowa z udziałem minister kultury prof. Małgorzaty Omilnowskiej (trzecia z lewej) oraz (od lewej): arch. Tomasz Koniora, prezydenta Katowic Piotra Uszoka, dyrektor Joanny Wnuk-Nazarowej i Alexandra Liebreicha dyrektora artystycznego NOSPR.



NOSPR

Światowa sala koncertowa dla NOSPR

Wielkie otwarcie
1 października 2014 r.
Katowice
plac Wojciecha Kilara 1

Fotoreportaż
ZBIGNIEWA SAWICZA



Dla każdego miejsca z osobna przeprowadzono studia słyszalności i widoczności.



Przewodniczący KRRTV Jan Dworak i Waldemar Dąbrowski dyrektor Teatru Wielkiego w Warszawie.



W nowej Sali NOSPR zapewne również będzie można wziąć udział w koncercie Józefa Skrzeka.



„Zadzwonili” i zagraли Wojciechowi Kilarowi w trakcie wykonania „Krzesianego”, podczas nadania jego imienia reprezentacyjnemu placowi przed NOSPR.

